

polska zbrojna



CENA 6,50 Zł (W TYM 8% VAT)

NR 1 (861) STYCZEŃ 2018

INDEKS 417 459 ISSN 0867-4523

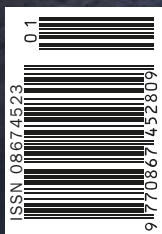
450 ml życia

Honorowi
krwiodawcy
w mundurach

DOWODZENIE

ERA LIDERÓW

MISSION COMMAND, CZYLI ZARZĄDZANIE
PRZEZ CELE W POLSKIM WOJSKU



polskaZbrojna

PORTAL INFORMACYJNY I MAGAZYN
PUBLICYSTYCZNY O POLSKIEJ ARMII



ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 840 400

WOJSKO
POLSKIE

Twoja armia – Twoja duma!

Polecamy!

*Izabela Borańska-Chmielewska, redaktor naczelna magazynu
Anna Putkiewicz, redaktor naczelna portalu*



Z SZEREGU WYSTĄP

IZABELA
BORAŃSKA-
-CHMIELEWSKA

STRACH PRZED POPEŁNIENIEM BŁĘDU,
A W EFEKCIE PRZED PORĄŻKĄ WPŁYWA
NA CZŁOWIEKA PARALIŻUJĄCO, HAMUJE
JEGO KREATYWNOŚĆ, OPÓŹNIA PODEJ-
MOWANIE DECYZJI I DZIAŁANIE ORAZ NIE POZWALA
W PEŁNI WYKORZYSTAĆ WIEDZY I UMIEJĘTNOŚCI.

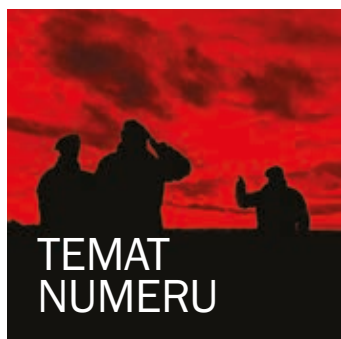
Konsekwencje takiego paraliżu mogą być daleko idące i wojsko jest świadome tego mechanizmu. Opanowanie strachu jest kluczowe przy delegowaniu zadań i powierzaniu ich wykonania podwładnym – po obu stronach. Zaufanie dowódcy do swoich żołnierzy i odwrotnie, żołnierzy do dowódcy pozwala na efektywne zastosowanie mission command, czyli zarządzania przez cele. Dzięki takiemu modelowi zadanie wyznaczone przez dowódcę może być dobrze wykonane w krótkim czasie, żołnierz zaś ma wolną rękę w sposobie jego realizacji. Nasi wojskowi dopiero uczą się współpracować na zasadach mission command. Jak podkreślają dowódcy, metoda ta ma plusy i minusy, jednak jej zalety zdecydowanie przyćmiewają wady. O sile lidera, efektywnym powierzaniu zadań i wykorzystywaniu specjalistycznej wiedzy oficerów przeczytacie Państwo w styczniowym numerze.

Jubileuszowy 2018 rok, sto lat od odzyskania przez Polskę niepodległości, to dobry czas na przypomnienie wspaniałego dorobku naszej ojczyzny. W bieżącym numerze i kolejnych jedenastu wydaniach miesięcznika będziemy prezentować zagadnienia i dziedziny, które są kluczowe dla naszego kraju. Zaczynamy od dowodzenia, pamiętając o tym, że stulecie obchodzi w październiku fundament naszego wojska, czyli Sztab Generalny WP. Przedstawiamy też ojców polskiej armii, w tym wodza cieszącego się wyjątkowym autorytetem, czyli Józefa Piłsudskiego.



W numerze lutowym z kolei będziemy świętować stulecie jednego z najstarszych polskich czasopism naukowych, „Kwartalnika Bellona”, wydawanego w Wojskowym Instytucie Wydawniczym. Opowiemy o nauce wojskowej, jej początkach, osiągnięciach, historii i trudnym okresie po II wojnie światowej, kiedy została zakuta w dybły sowieckiej propagandy.

Serdecznie zapraszamy do lektury!



TEMAT NUMERU

MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK

10 Era liderów

Dowodzenie przez cele
w polskiej armii

ROBERT SENDEK

20 Pruski eksperyment



ARMIA

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

22 Tajemnice kormorana

Nowoczesny niszczyciel min

MAGDALENA MIERNICKA

28 Transylwańskim szlakiem

EWA KORSAK

32 Równać do najlepszych

MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK

36 Pierwsze urodziny

Rozmowa z gen. bryg.
Wiesławem Kukułą

MICHAŁ ZIELIŃSKI

40 Za linią wroga

EWA KORSAK, MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK

44 Jak zniknąć w mieście?

MAŁGORZATA
SCHWARZGRUBER

47 Pamiątki po Polakach

MICHAŁ ZIELIŃSKI

50 Podchody duchów

PIOTR RASZEWSKI

54 Inwestycyjny boom

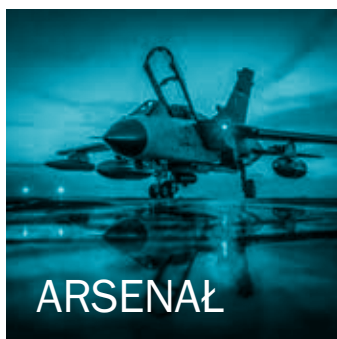
EWA KORSAK

57 Gotowi do lotu

MAŁGORZATA
SCHWARZGRUBER

60 450 mililitrów życia

Rozmowa z sierż. Robertem
Kowalewskim



ARSENAŁ

MACIEJ HYPŚ

66 Efekt tornada

Komplikacje w programie
europejskiego samolotu piątej
generacji

KRZYSZTOF WILEWSKI

72 Uskrzydlić piechotę

RAFAŁ CIASTOŃ

75 Górnopłaty Puławskiego



STRATEGIE

TOMASZ OTŁOWSKI

76 Gra o tron Saudów

Walka o władzę na Bliskim
Wschodzie

ROBERT SENDEK

82 Wojsko nie od parady

PRZEMYSŁAW OSIEWICZ

85 Wyspa niezgody

MICHAŁ ZIELIŃSKI

88 Wszystkie odcienie Birmy

TADEUSZ WRÓBEL

92 Droga bez barier

MAŁGORZATA
SCHWARZGRUBER

94 Równowaga strachu

Rozmowa z Łukaszem
Kamieńskim

TOMASZ OTŁOWSKI

97 Hybrydyzacja konfliktów





HISTORIA

PIOTR KORCZYŃSKI

100 Ojcowie polskiej armii

Rozmowa z dr. Mariuszem
Patelskim

LESZEK SURAWSKI

106 Kapitał wiedzy i doświadczenia

PIOTR KORCZYŃSKI

110 Nie masz złyj drogi do Polski

PRZEMYSŁAW WYWIĄŁ

114 Kroki milowe do wolności

ROBERT CZULDA

118 Bunt wyzwolicieli

TADEUSZ WRÓBEL

120 Pekinczyki oceanu

KRZYSZTOF KUBIAK

123 Bojowi pływacy



HORYZONTY

ANNA DĄBROWSKA

124 Charyzma ułana

Płk Zbigniew Makowiecki,
ostatni kawalerzysta

PIOTR RASZEWSKI

130 Na odpoczynek przyjdzie czas

Rozmowa z płk. Władysławem
Rokickim

ANNA DĄBROWSKA

136 Co im w duszy gra?

Rozmowa z ppłk. Tomaszem
Cholewińskim

MAŁGORZATA

SCHWARZGRUBER

138 Do zobaczenia w chmurach

ANNA DĄBROWSKA

142 Obrońcy Kresów

PIOTR KORCZYŃSKI

146 Tych akcji były tysiące

Rozmowa z Wojciechem
Königsbergiem

ANDRZEJ FAŁARA

154 Warszawa wolna!



Zdjęcie na okładce:
Michał Zieliński

Znajdziesz nas tutaj:



DYREKTOR WOJSKOWEGO

INSTYTUTU WYDAWNICZEGO

Maciej Podczaski,

sekretariat@zbrojni.pl;

tel.: 261 845 365, 261 845 685, faks: 261 845 503;

Al. Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

REDAKTOR NACZELNY POLSKI ZBROJNEJ

Izabela Borańska-Chmielewska,

tel.: 261 840 222; ibc@zbrojni.pl

SEKRETARZ REDAKCJI, Z-CIA REDAKTORA NACZELNEGO

Aneta Wiśniewska, tel.: 261 845 213

Zastępcy sekretarza redakcji

Katarzyna Pietraszek, tel.: 261 840 227;

Joanna Rochowicz, tel.: 261 845 230;

polska-zbrojna@zbrojni.pl

TEKSTY

Anna Dąbrowska, Paulina Glińska, Piotr Korczyński,

Ewa Korsak, Bogusław Politowski, Małgorzata

Schwarzgruber, Jacek Szustakowski, Krzysztof Wilewski,

Tadeusz Wróbel, tel.: 261 845 244, 261 845 604;

Magdalena Kowalska-Sendek, tel.: 725 880 221;

Rafał Ciasoń, Robert Czulda, Andrzej Fąfara,

Maciej Hypś, Krzysztof Kubiak, Jacek Matuszak,

Przemysław Osiewicz, Tomasz Otlowski, Piotr Raszewski,

Robert Sendek, Przemysław Wywiął, Łukasz Zalesiński,

Michał Zieliński

ZDJĘCIA

Michał Niwicz, Jarosław Wiśniewski

GRAFIKA

Marcin Dmowski (kierownik), Paweł Kępka, Monika

Siemaszko, tel.: 261 845 170; Andrzej Witkowski

(fotoedytor), tel.: 261 845 579

OPRACOWANIE STYLISTYCZNE

Marta Sachajko (kierownik), tel.: 261 845 244;

Renata Gromska, January Szustakowski, tel.: 261 845 502

MARKETING I PROMOCJA

Piotr Zarzycki (kierownik), Agnieszka Karaczun,

Anita Kwaterowska (tłumacz), Radosław Lechowicz,

Marta Szulc, Małgorzata Szustakowska, tel. 261 845 387,

261 845 180, faks: 261 845 503; reklama@zbrojni.pl

KOLPORTAŻ I REKLAMACJE

Poczta Polska Usługi Cyfrowe Sp. z o.o.

ul. Duninowska 9a, 87-823 Włocławek

tel: 542 315 201, 502 012 187

elzbieta.kurlapska@poczta-polska.pl

Numer zamknięto: 22.12.2017 r.

DRUK ARTDRUK ul. Napoleona 4, 05-230 Kobylka,

www.artdruk.com

PRENUMERATA

Zamówienia na prenumeratę wydań papierowych

„Polski Zbrojnej” można składać poprzez:

– www.polska-zbrojna.pl

– www.prenumerata.ruch.com.pl

– www.garmondpress.pl/prenumerata

– www.kolporter.com.pl/prenumerata

Sprzedaż bieżących wydań elektronicznych, w tym

prenumeraty wydań elektronicznych „Polski Zbrojnej”,

dostępna na: <http://e-kiosk.pl>, www.egazety.pl

PARTNER



Narodowe Archiwum Cyfrowe.

220 tysięcy zdjęć online na www.nac.gov.pl



Treść zamieszczanych materiałów nie zawsze

odzwierciedla stanowisko redakcji. Tekstów

niezamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzega sobie

prawo do skrótów.

Egzemplarze miesięcznika w wojskowej dystrybucji

wewnętrznej są bezpłatne. Informacje: 261 840 400

Zasady przekazywania redakcji miesięcznika „Polska

Zbrojna” materiałów tekstowych i graficznych opisuje

regulamin dostępny na stronie głównej portalu

polska-zbrojna.pl.

KADR



Centralny Poligon Sił Powietrznych w Ustce jest miejscem, gdzie przez cały rok intensywnie ćwiczą przeciwlotnicy wszystkich rodzajów sił zbrojnych. Na zdjęciu marynarze z 9 dplot z Ustki podczas nocnych strzelań z użyciem przeciwlotniczego zestawu artyleryjskiego Blendy.

FOT. MICHAŁ WAJNCHOLD



Szybkostrzelność teoretyczna:
700–900 strz./min.

Kaliber: 5,56 mm

Prędkość wylotowa:
890 m/s

Długość z kolbą wysuniętą/złożoną:
wersja klasyczna 900/843 mm

Grot do WOT

Żołnierze obrony terytorialnej otrzymali pierwszą partię nowych karabinków.

Dzięki tej broni i żołnierzom, którzy będą jej używać, Polacy mogą czuć się bezpiecznie”, mówił minister Antoni Macierewicz podczas jej uroczystego przekazania. Żołnierze WOT-u otrzymali broń symbolicznie z rąk płk. Jerzego Majewskiego, powstańca warszawskiego. Kontrakt na dostawę karabinków Grot został podpisany pod-

czas Międzynarodowego Salonu Przemysłu Obronnego we wrześniu 2017 roku. „Zamówiliśmy 53 tys. sztuk broni za pół miliarda złotych.”, dodał szef MON-u.

W 2017 roku dla WOT-u przekazano tysiąc karabinków, w 2018 roku trafi ich **10 tys.** „Groty mają całkowicie zastąpić beryle”, informuje płk Marek Pietrzak, rzecznik WOT-u.

Kolejne groty trafią również do wojsk specjalnych oraz jednostek operacyjnych. Zamówienie zostanie zrealizowane do 2020 roku.

Modułowy system broni strzeleckiej Grot to pierwszy po II wojnie światowej karabinek automatyczny zaprojektowany i w całości wyprodukowany w Polsce. Jego twórcami są inżynierowie z Wojskowej Aka-

Długość lufy:
406 mm

Pojemność magazynka:
30, 60 naboł

Masa broni bez magazynka – wersja klasyczna:
3650 g

Rodzaj ognia:
pojedynczy, ciągły

STRZAŁ W DZIESIĄTKĘ

Program „Strzelnica w powiecie” rusza od początku 2018 roku.

Chcemy, by był to program powszechny, a strzelnice stały się ogólnodostępne”, mówił Michał Dworczyk, kiedy przedstawiał założenia programu Ministerstwa Obrony Narodowej dofinansowania budowy i rewitalizacji strzelnic. Objęte nim zostaną obiekty już istniejące, przewidziano też budowę nowych. Aplikować do programu mogą przede wszystkim jednostki samorządu terytorialnego. W tym wypadku kwota dofinansowania przez MON ma wynieść 80% kosztów inwestycji. W program będą się mogły też włączyć organizacje pozarządowe. Jak podał Dworczyk, resort dofinansuje obiekty, których koszt wyniesie od kilkuset tysięcy złotych do dwóch milionów.

Strzelnice będą służyły przede wszystkim lokalnym społecznościom, członkom organizacji proobronnych, myśliwym, pasjonatom strzelectwa, a także żołnierzom. Program wpisuje się w szkolenie wojsk obrony terytorialnej, dlatego jako priorytetowe lokalizacje pod budowę nowych obiektów MON wytypowało pięć województw, w których są formowane WOT. W pierwszej kolejności strzelnice powstaną też tam, gdzie ich dotychczas nie ma, choć w tych miejscowościach stacjonują wojska operacyjne „Liczymy, że nasze wsparcie dla organizacji proobronnych i popularyzacja strzelectwa sportowego zachęca młodych ludzi do służby w wojsku”, dodał wiceminister. PZ, PG



Kwota dofinansowania przez MON ma wynieść

80%

kosztów inwestycji.

Zasięg: ok. 500 m

Zamówienie
53 tys. sztuk

Kontrakt
0,5 mld zł

Realizacja
2020 rok

demii Technicznej oraz z Łucznika. W marcu 2016 roku podpisano kontrakt na dostawę 150 karabinów MSBS w wersji „R”, czyli strzelającej ślepymi nabojami, dla Batalionu Reprezentacyjnego Wojska Polskiego. Po raz pierwszy żołnierze tej jednostki zaprezentowali się z nimi 3 maja 2016. PZ, EK ■

Zmiany kadrowe

Dominik Smyrgała, dotychczasowy szef gabinetu politycznego ministra obrony narodowej, został wiceministrem obrony. Przejmnie obowiązki po prof. Wojciechu Fałkowskim, który został dyrektorem Zamku Królewskiego w Warszawie, i będzie odpowiedzialny za naukę i szkolnictwo wyższe. „Zamierzam kontynuować politykę mojego poprzednika np. w kwestii podnoszenia prestiżu szkolnictwa wojskowego, ale mam też własne plany. Chciałbym m.in. zmienić nieco system prowadzenia badań naukowych i wydawania czasopism naukowych”, mówi nowy wiceminister.

Dr Smyrgała jest absolwentem Uniwersytetu Warszawskiego (Wydział Dziennikarstwa i Nauk Politycznych, Instytut Stosunków Międzynarodowych). Kształcił się też w Akademii Dyplomatycznej Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Pracował m.in. w konsulacie generalnym w Chicago oraz w departamentach promocji i polityki wschodniej Ministerstwa Spraw Zagranicznych. W 2006 roku został specjalistą w Biurze Spraw Zagranicznych Kancelarii Prezydenta.

Od 2005 roku dr Smyrgała jest związany z Collegium Civitas. PZ, PG ■



Dominik Smyrgała w resorcie obrony pracuje od grudnia 2015 roku. Na początku był doradcą ministra, potem głównym analitykiem w Ośrodku Monitorowania i Analiz MON. W sierpniu 2017 roku został szefem gabinetu politycznego ministra Antoniego Macierewicza.

Żołnierze uczą, jak się bronić

Podczas cyklu dziesięciu 90-minutowych spotkań kursantki będą się uczyć, jak się bronić przed uderzeniami czy atakiem niebezpiecznymi przedmiotami. Bezpłatne zajęcia prowadzą wojskowi instruktorzy walki wręcz. Szkolenia potrwać do kwietnia 2018 roku, a odbywają się w 46 ośrodkach szkoleniowych w 39 miejscowościach na terenie całego kraju. W zorganizowanym przez Ministerstwo Obrony Narodowej programie mogą uczestniczyć panie, które skończyły 18 lat i mają polskie obywatelstwo. Do tej pory zgłosiło się 1500 kobiet. PZ, MM ■



Z początkiem marca 2017 roku Michał Dworczyk został wiceministrem w MON-ie. Odpowiadał za koordynację współpracy z organizacjami proobronnymi oraz wspieranie budowy wojsk obrony terytorialnej.

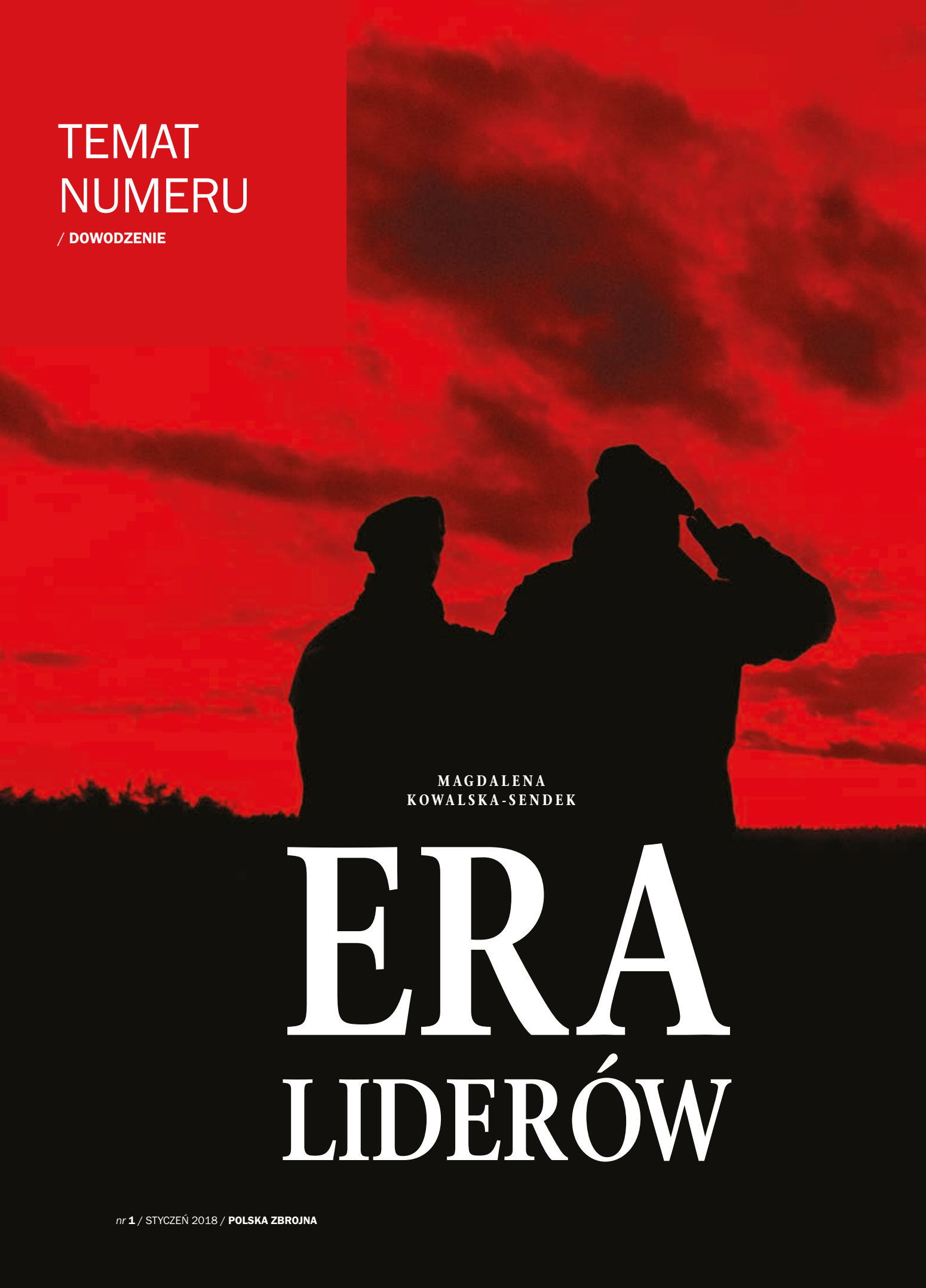
U boku premiera

Jedną z decyzji nowego premiera Mateusza Morawieckiego było mianowanie dotychczasowego wiceministra obrony narodowej Michała Dworczyka na szefa Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. „Z całym zespołem współpracowników zrobimy wszystko, żeby Kancelaria Prezesa Rady Ministrów zapewniła sprawne działanie i sprawną obsługę rządu”, mówił podczas konferencji prasowej Dworczyk. Na stanowisku w KPRM zastąpił Beatę Kempę, która pozostaje w kancelarii w randze sekretarza stanu.

Michał Dworczyk jest absolwentem Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego. Po studiach jako ochotnik ukończył szkolenie w Szkole Podchorążych Rezerwy w Zegrzu, potem służył w kompanii rozpoznania Warszawskiej Brygady Pancernej. W latach 2006–2015 był radnym Warszawy, a następnie Sejmiku Mazowieckiego. W 2015 roku uzyskał mandat poselski z ramienia PiS-u. PZ, AD ■

TEMAT
NUMERU

/ DOWODZENIE

The background of the entire page is a photograph of two soldiers in silhouette against a bright red, cloudy sky. The soldier on the right is saluting. The overall mood is dramatic and somber.

MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK

ERA LIDERÓW



Bez zaufania oraz oddawania inicjatywy podwładnym efektywne działanie i zwycięstwo nie będą możliwe.



RAFAŁ MNIEDŁO/11 LDKPanc

Czy dowódcy potrafią oddać inicjatywę swoim podwładnym, a w razie niepowodzenia ponosić odpowiedzialność za ich błędy? To spore ryzyko, ale trzeba je podjąć, by mówić o mission command.



M

ission command (MC) jest jak yeti. Krąży o nim legendy, ale nikt go jeszcze nie widział – tak o dowodzeniu przez cele mówi dziś wielu oficerów. Tymczasem nie jest ono żadną nowością. W historii wojskowości ten sposób

dowodzenia znany jest od niemal 200 lat. Dlaczego więc w polskich realiach ciągle budzi zdziwienie? Odpowiedź nie jest prosta, a kontrowersje wynikają z uwarunkowań historycznych, kulturowych i mentalnych. Czy możemy sobie wyobrazić sytuację, w której podwładny nie wykona literalnie rozkazu swojego przełożonego i sam zdecyduje o tym, co na polu walki ma zrobić jego pododdział? Z pewnością nie wszyscy dowódcy byłiby z tego zadowoleni. Tymczasem decentralizacja dowodzenia, przejmowanie inicjatywy przez podwładnych będzie najskuteczniejszą metodą kierowania siłami w obecnych i przyszłych konfliktach zbrojnych.

NA POLSKIM GRUNCIE

Rodowodu dowodzenia przez cele trzeba szukać w początkach XIX wieku, kiedy podczas wojen napoleońskich Prusy poniosły klęskę. Przeprowadzono wówczas reformę armii pruskiej, a także wdrożono nowatorski system edukacji pruskich oficerów (więcej na ten temat w tekście o Auftragstaktik, na str. 20–21). Przyjęte rozwiązania zaowocowały zwycięskimi wojnami w drugiej połowie XIX wieku – prusko-austriackiej (1866) czy prusko-francuskiej (1870–1871).

„Pruski generał i feldmarszałek Helmut von Moltke w 1888 roku mówił o przekazywaniu inicjatywy w dowodzeniu i delegowaniu odpowiedzialności dowódcom niższego szczebla. To właśnie wtedy sformułowano koncept Auftragstaktik, czyli taktyki zadaniowej”, mówi

gen. dyw. Rajmund T. Andrzejczak, dowódca 12 Dywizji Zmechanizowanej. „Skuteczność dowodzenia przez cele udowodniła armia niemiecka podczas II wojny światowej, przynajmniej w pierwszej fazie konfliktu, czyli do 1942 roku. Już po wojnie ta idea została zaimplementowana do biznesu, przemysłu i szeroko pojętego zarządzania zasobami”.

O niemieckiej myśli wojskowej z czasów I i II wojny światowej debatowano także za oceanem. W Stanach Zjednoczonych m.in. na tej podstawie uznano, że tamtejsza armia jest nazbyt zinstytucjonalizowana, a jej dysfunkcyjność potwierdził konflikt w Wietnamie. W latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia ideę Auftragstaktik skonfrontowano z doktryną sowiecką. Za przykład posłużyła wojna Jom Kippur z 1973 roku, kiedy siły izraelskie walczyły z o wiele liczniejszymi oddziałami egipskimi i syryjskimi, zorganizowanymi, szkolonymi i dozbrajanymi przez ZSRR. „To był kamień milowy dla mission command. Amerykańscy generałowie studiowali niemieckie i rosyjskie sposoby dowodzenia, a następnie skonfrontowali je z myślą wojskową US Army. Zaczęła się wtedy dyskusja o stworzeniu taktycznego modelu dowodzenia przez cele. Później ta idea zyskała nazwę »mission command«”, dopowiada gen. Andrzejczak. W wydaniu amerykańskim zyskiwał on na znaczeniu wraz z postępującą globalizacją i zmianą charakteru konfliktów zbrojnych, które z totalnych – znanych z I i II wojny światowej – zmieniły się w zarządzanie kryzysowe w różnych regionach świata. Polscy żołnierze wiedzę z tej dziedziny czerpali w pigułce na misjach zagranicznych i ćwiczeniach wojskowych państw członkowskich NATO.

„Pierwszy raz z terminem »mission command« zetknąłem się w 2004 roku podczas misji w Iraku. Amerykanie wtedy dużo o tym mówili, a ja nie umiałem odnieść tej wiedzy do polskiego nazewnictwa i zasad obowiązujących w naszej armii. Mission command kojarzyłem



Wojska koalicji podczas operacji w Iraku stosowały zasady mission command.

MINUSEM MISSION COMMAND JEST RYZYKO, ŻE ZADANIE WYKONANE BĘDZIE NIEZGODNIE Z INTENCJĄ PRZEŁOŻONEGO, CO Z KOLEI MOŻE WYWOŁAĆ NEGATYWNE NASTĘPSTWA W CZASIE WALKI

początkowo z łącznością w czasie dowodzenia”, wspomina st. chor. sztab. Andrzej Woltmann, starszy podoficer dowództwa 12 Dywizji Zmechanizowanej. „Po kilku latach znów usłyszałem ten termin. Tym razem na kursie dla amerykańskich szeregowych, którzy przygotowywali się do objęcia pierwszych stanowisk podoficerskich. Wtedy zrozumiałem, dlaczego mission command jest tak ważne i dlaczego Amerykanie tak chętnie korzystają z te-

go sposobu dowodzenia. Żołnierz ma zrozumieć cel i wizję swojego dowódcy i na tej podstawie wykonać zadanie. A jak to robi, to już ma drugorzędne znaczenie”.

Ppłk Piotr Puchała, dowódca 1 Batalionu Piechoty Zmotoryzowanej Legionów 12 Brygady Zmechanizowanej, kiedy mówi o mission command, odsyła do ratyfikowanej przez Polskę natowskiej doktryny ATP 3.2.2 Command and Control of Allied Land Forces, w której osobne



KOMENTARZ

WOJCIECH MARCHWICA



Wojskach specjalnych mission command sprawdza się lepiej niż dyrektywna metoda dowodzenia. Wynika to m.in. ze specyfiki szkolenia komandosów i w rezultacie sposobu ich działania. Dowodzenie przez cele w wojskach specjalnych stwarza więcej możliwości na szybkie dostosowanie się do zmieniającej się dynamicznie sytuacji, np. na teatrze działań.

Specyfika działań wojsk specjalnych opiera się na operowaniu niewielkimi grupami, często w dużej odległości od siebie czy od stanowiska dowodzenia. Mission command w takich warunkach pozwala na efektywne osiągnięcie założonych celów

operacji specjalnych. Dzięki jasno sprecyzowanemu celowi misji – co jest kluczowe w dowodzeniu przez cele – operatorzy sił specjalnych mają pewną samodzielność na etapie realizacji swoich zadań.

Trzeba pamiętać, że o ile cel misji jest narzucony przez dowództwo, o tyle sposób planowania przebiegu operacji w wojskach specjalnych opiera się właśnie na zasadach mission command. Proces planowania charakteryzuje się obustronną wymianą informacji i niestandardowych metod wykonania zadania na linii dowódca – wykonawcy. Niezbędne przy tym jest jednak zaufanie do podwładnych. ■

Gen. bryg. WOJCIECH MARCHWICA jest dowódcą komponentu wojsk specjalnych.



zagadnienie poświęcono dowodzeniu przez cele. Polskim odpowiednikiem natowskiego dokumentu jest doktryna „Dowodzenie i kierowanie w działaniach lądowych” z 2014 roku. „Dokument został wdrożony do użytku, tyle tylko że jest jedno »ale«”, mówi ppłk Puchała. „W przedmowie zaznaczono, że jest on przeznaczony dla dowódców i personelu dowództw mających współdziałać z siłami NATO podczas operacji sojuszniczych albo wielonarodowych. Nie odnosi się to zatem bezpośrednio do działania i szkolenia żołnierzy w kraju. Szkoda, bo to pierwszy i jedyny polski dokument wojskowy, w którym opisane jest mission command – w doktrynie nazywane dowodzeniem przez misję”, dodaje dowódca 1 Batalionu. Oficer zwraca uwagę na ważny aspekt: polska armia po wstąpieniu w struktury sojuszu dostosowała do natowskich wymogów układ rozkazu bojowego. I właśnie w nim powinna być zawarta myśl przewodnia dowódcy i opisany efekt, jaki należy osiągnąć. To, jak podkreśla ppłk Puchała, jest najważniejszy element rozkazu. „Gdy bowiem wskazane w dalszej części zadania cząstkowe nie będą adekwatne do zmieniającej się sytuacji, zawsze należy kierować się myślą przewodnią przełożonego. To właśnie daje prawną możliwość przejawiania inicjatywy.

W MC liczy się efekt, można zatem założyć, że polskie wojsko w swoisty sposób je stosuje. Może trochę po omacku, bez świadomości doktrynalnej, ale jednak”, mówi ppłk Puchała. Oficer przyznaje, że znaczenie mission command odkrywał wraz ze zdobywaniem doświadczenia zawodowego. „Jest ono ściśle związane ze szczeblami dowodzenia. Im wyższy, tym mniej klasycznego dowodzenia dyrektywnego. Dotyczy to zarówno działań obronnych, zaczepnych, stabilizacyjnych, jak i dyscypliny, motywowania, szkolenia oraz administracji czy zarządzania”, podkreśla dowódca 1 Batalionu.

DAĆ ŻOŁNIERZOM SWOBODĘ

Polska doktryna „Dowodzenie i kierowanie w działaniach lądowych” opisuje sposoby kierowania siłami lądowymi, m.in. dowodzenie przez cele. W dokumencie zapisano też, że mission command jest preferowanym przez sojuszników podstawowym sposobem sprawowania dowodzenia nad siłami lądowymi. Inną z opisanych w doktrynie metod jest zaś dowodzenie dyrektywne, ograniczające się do szczegółowo wydawanych rozkazów, które mają być dokładnie wykonywane przez podwładnych. „Obie metody się uzupełniają, a wybranie konkretnego



I D F



Kamieniem milowym dla dowodzenia przez cele była wojna Jom Kippur z 1973 roku. Wojska izraelskie walczyły wówczas z o wiele liczniejszymi oddziałami egipskimi i syryjskimi. Na zdjęciu minister obrony Mosze Dajan i gen. Chajjim Bar-Lew wśród żołnierzy.

modelu jest uzależnione np. od specyfiki zadania, kwalifikacji żołnierzy, zgrania zespołu, a także siły przeciwnika. Dyrektywna metoda jednak całkowicie wyklucza inicjatywę żołnierza”, mówi kpt. Grzegorz Garbacz, oficer sekcji operacyjnej 12 Dywizji Zmechanizowanej.

Sierż. Paweł Andrzejewski, podoficer z trzy-nastoletnim stażem w armii, przyznaje, że w jego ocenie dyrektywny sposób dowodzenia doskonale sprawdzał się do czasu uzawodowienia wojska. „Wcześniej nie było innych możliwości. Żołnierz zasadniczej służby wojskowej pełnił ją przez ograniczony czas, przechodził podstawowe przeszkolenie, a potem zdejmował mundur. Wtedy nie było czasu ani na myślenie, ani na inicjatywę – tak zresztą było wygodnie i bezpiecznie”.

Kpt. Karol Szymanowski z 12 DZ z pojęciem „mission command” zetknął się pierwszy raz kilkanaście lat temu, w czasie cywilnych studiów z zarządzania. „Dowiedziałem się, że w firmach, dużych korporacjach dowodzenie przez cele stosowane jest od dawna, a w wojsku

dopiero się tego uczymy”, mówi kpt. Szymanowski. „Jeszcze jako dowódca baterii próbowałem je wdrożyć, chciałem oddawać inicjatywę podwładnym, ale różnie się to kończyło. Podoficerowie nie zawsze byli silnymi liderami, nie zawsze byli samodzielni. Zdarzało się, że bali się odpowiedzialności za swoje decyzje. Inna sprawa, że moja inicjatywa nie cieszyła się poparciem u wyższych przełożonych”.

Czym jest więc mission command? To sposób dowodzenia, w którym najważniejsze jest osiągnięcie celu danej operacji, a mniej istotny – sposób wykonania zadania. Kładzie się tu nacisk na zrozumienie wizji przełożonego. To zdecentralizowany sposób dowodzenia, który polega na tym, że inicjatywa należy do podwładnych. „Kiedyś żołnierzowi mówiło się, co ma zrobić, jakie ma wykonać zadanie. W mission command trzeba mu wytłumaczyć, po co ma to zrobić, tak aby miał świadomość swojej misji. Takie podejście gwarantuje rozwój obu stronom: dowódcy i podwładnemu”, mówi kpt. Sławomir Lizura ze sztabu szczecińskiej dywizji.



„W mission command istnieje duże prawdopodobieństwo, że podwładny, jako specjalista w danej dziedzinie, zrobi daną rzecz lepiej, szybciej i efektywniej, niż my moglibyśmy to zaprogramować rozkazem. Ale – co ważne – on to zrobi po swojemu. Może się więc okazać, że sposób wykonania zadania przez podwładnego odbiega od naszych oczekiwań. Takie ryzyko trzeba podjąć”, przekonuje gen. dyw. Rajmund T. Andrzejczak. „Podobne rozwiązania testowałem już jako dowódca 17 Wielkopolskiej Brygady Zmechanizowanej. Teraz, jako dowódca dywizji, mam większe możliwości i widzę, że mission command w dzisiejszych czasach to najlepszy z możliwych sposobów dowodzenia. Nie zachłystuję się amerykańskimi rozwiązaniami wojskowymi czy korporacyjnymi pomysłami. My po prostu mission command ćwiczymy każdego dnia, dlatego wiem, że to się sprawdza”, dodaje dowódca.

SZTUKA NIEPOSŁUSZEŃSTWA

Kilka miesięcy temu gen. Mark A. Milley, szef sztabu wojsk lądowych USA, przyznał, że armia Stanów Zjednoczonych ciągle jest zbyt zbiurokratyzowana i scentralizowana, co może sprawdza się w garnizonie w czasie pokoju, ale

na pewno nie podczas konfliktu zbrojnego. „Jeśli warunki na polu walki się zmieniają, a oddziały tracą kontakt z przełożonymi, to dowódcy niższego szczebla nadal będą musieli osiągnąć postawione wcześniej cele”, mówił Milley. Amerykański generał podkreślił także, że armia potrzebuje zaufanej kadry, która na polu walki będzie wiedziała, kiedy odmówić wykonania pierwotnych rozkazów i wymyślić nowy plan, by zrealizować postawione zadanie. „Przestrzeganie rozkazów w wojsku to sprawa fundamentalna. Nadal będziemy to respektować, ale podwładny musi zrozumieć, że ma prawo do nieposłuszeństwa, jeśli oczywiście ma to pomóc w osiągnięciu celu. To musi być jednak zdyscyplinowane nieposłuszeństwo”, mówił Milley.

Amerykański dowódca swoje wystąpienie poparł przykładem z misji. Pewien młody oficer ma rozbić siły przeciwnika i zdobyć wzgórze 101. „Po rozpoznaniu stwierdził, że wróg wcale nie znajduje się na wzgórzu 101, lecz na 102. Czy ma zatem zrobić to, co mu pierwotnie nakazano, czy raczej osiągnąć cel i zniszczyć wroga na wzgórzu 102?”, pytał amerykański szef sztabu. Oficer odmówił wykonania rozkazu i nie zajął pierwszego wzgórza, za to samodzielnie zdecydował o zajęciu kolejnego wznie-



WSPÓLNY CEL

Z dr. Markiem Pawlakiem

**o tym, czy żołnierze mogą popełniać błędy, rozmawia
Magdalena Kowalska-Sendek.**

Czym dla Pana jest mission command?

Jest to po prostu tworzenie przestrzeni, w której można podejmować autonomiczne decyzje. Niestety, jeśli chodzi o mission command, to w naszej armii są bariery kulturowe, potrzebujemy na to wię-

cej czasu. Ale nie ma się co dziwić – implementacja tych zasad w armii niemieckiej trwa od ponad stu lat.

Dlaczego mission command jest, Pana zdaniem, źle odbierane i rozumiane?



KOMENTARZ

RAJMUND T. ANDRZEJCZAK

Dziś, wysyłając małe pododdziały na Litwę czy do Rumunii, nie jesteśmy w stanie panować nad dynamiką tego, co się tam dzieje. Inicjatywa leży po stronie dowódców niższego szczebla. Musimy już teraz przygotować taką generację kapitanów i kaprali, którzy podejmując racjonalne ryzyko, będą poszukiwać nowych rozwiązań. I kiedy oni zostaną dowódcami brygad i batalionów, naturalnie zadziałają w rytmie mission command. ■

Gen. dyw. Rajmund T. Andrzejczak jest dowódcą
12 Dywizji Zmechanizowanej.

sienia. „Nie powinien w takiej sytuacji dzwonić do swoich przełożonych i pytać o zgodę. Żołnierze muszą czuć swobodę manewru, tak by osiągnąć wyznaczony cel”, podsumował Milley.

Gen. Andrzejczak przyznaje, że na jednej z odpraw przeprowadził, z wykorzystaniem tego przykładu, test dla

swoich podwładnych. Część kadry zadziałała zgodnie z założeniami mission command. „Byli i tacy, którzy rozkaz potraktowali bardzo literalnie. To dobitnie pokazuje, że kluczowe w mission command jest zrozumienie celu, do którego wspólnie dążymy”, stwierdza generał. Dowódca 12 DZ podkreśla, że takiego działania można się nauczyć. „My to robimy na co dzień w sztabie, dowództwie dywizji, dowództwach brygad i batalionów. Ćwiczymy to na poligonach, a także w codziennej działalności administracyjnej oraz wychowawczej. Musimy się mylić, potykać. Poligony to miejsce, gdzie możemy popełniać błędy, tam wcale nie potrzebujemy piątek”, dodaje.

Kpt. Sławomir Lizura ze sztabu dywizji przyznaje, że dowodzenie dyrektywne jest w strukturach dywizji marginalizowane. „Wprowadzenie mission command nie było proste. Na początku dowódca stosował metodę dyrektywną. Mówił o swoich oczekiwaniach, a potem wyznaczał zadania. Z czasem dostaliśmy większą swobodę. Za nami jednak mnóstwo treningów, warsztatów. Rozmawialiśmy, przeprowadzaliśmy ćwiczenia, burze mózgów i... nieraz się myliliśmy. Nie boimy się jednak popełniać błędów”. Oficerowie podkreślają, że w dowodzeniu przez cele kluczowe jest jednak określenie granicy swobody, bo w zhierarchizowanej instytucji nie może być tak, że każdy robi to co chce.

A jak ta idea sprawdza się w 12 Dywizji? Kilka miesięcy temu podczas wojskowych manewrów „Saber Strike” ➔

Żeby mission command mogło działać, należy spełnić kilka fundamentalnych warunków. Jednym z nich jest obecność w organizacji nowoczesnego lidera, który swoim podwładnym będzie tworzył przestrzeń decyzyjną. Wiąże się to jednak m.in. z przyzwoleniem na to, że żołnierze mogą popełniać błędy. I tu właśnie powstaje największy dysonans: osoby, które zarządzają zespołem, mają problem z tym, by zaakceptować błędy swoich podwładnych. Dotyczy to nie tylko polskiej armii. To zjawisko bardzo powszechne w wojsku, a także w różnych organizacjach biznesowych. Jeśli chcemy dać ludziom przestrzeń do działania, to musimy zostawić miejsce także na popełnianie błędów

oraz stworzyć otwartą strukturę organizacyjną.

Od lat zajmuje się Pan szkoleniem żołnierzy, ucząc ich m.in. świadomości międzykulturowej i przywództwa. Czy pracując z oficerami, widzi Pan ich gotowość na takie otwarcie?

Przestrzeń na popełnianie błędów jest bardzo wąska. Cieszę się jednak, że problem został zauważony i jest gotowość do zmian. Chciałbym też, aby przekładało się to na rzeczywiste działanie.

Czy to oznacza, że potrzebujemy zmiany pokoleniowej?

Człowiek jest częścią systemu, dlatego wolałbym patrzeć na system,

a nie na ludzi. Szczególnie wyraźnie widać to w wojsku, które jest organizacją hierarchiczną, bardzo ściśle związaną z kulturą rozkazu. Nie sądzę, że trzeba nowych pokoleń, by dokonać zmian. Musimy pomyśleć nad kulturą zmianą systemu, który będzie bardziej otwarty na samodzielność w działaniu i podejmowaniu decyzji.

Jaka relacja łączy mission command z przywództwem?

Te pojęcia są ze sobą bardzo powiązane. Rola lidera jest szczególnie istotna, bo to on, stojąc na czele organizacji, musi stworzyć warunki do funkcjonowania mission command. I nie ma tu znaczenia, czy mówimy o wojsku, czy np. o korporacjach. ➔

szczecińska dywizja ćwiczyła z Korpusem Północno-Wschodnim. Zgodnie ze scenariuszem Dwunasta miała działać jako odwód dowódcy korpusu, ale nie do końca były sprecyzowane szczegóły, np. dotyczące czasu i dróg przemieszczenia. Nie czekając na rozkazy przełożonych, sztab 12 Dywizji przygotował sposób przemieszczenia, ugrupowanie i system dowodzenia. Inicjatywa zaprocentowała szybszym i bardziej efektywnym przemieszczeniem związku taktycznego.

Mission command zadziało także podczas ostatnich manewrów „Dragon '17”. „Dowódca 10 Brygady Kawalerii Pancernej, który w czasie ćwiczeń był moim podwładnym, dostał zadanie, by przy dużej dynamice działań do zmroku utrzymać węzeł komunikacyjny. Od niego zależało, jak to zrobi”, wspomina gen. Andrzejczak. „Oczywiście mogłem zadziać w sposób dyrektywny: napisać zarządzenie bojowe, przekazać informację o sytuacji przeciwnika. Ale zanim bym przygotował te kilka kartek, wysłał do dowódcy brygady, ten zaś dałby dyspozycje niżej, do dowódców swoich batalionów, to wszystko mogłoby się zdezaktualizować, a mnie zależało na czasie. Zaufałem mu i wyszło świetnie”, podsumowuje. Dodaje również, że ryzyko niepowodzenia tego typu misji zawsze jest spore. „Dowódca brygady mógł na przykład zużyć więcej

MISSION COMMAND TO SPOSÓB DOWODZENIA, W KTÓRYM NAJWAŻNIEJSZE JEST OSIĄGNIĘCIE CELU DANEJ OPERACJI, A MNIEJ ISTOTNY – SPOSÓB WYKONANIA ZADANIA

sił niż ja bym to zaplanował, mógł doprowadzić do nadmiernej eksploatacji pododdziałów i zbyt dużego zużycia środków bojowych. Zagrożenia można mnożyć, ale to cena, jaką się płaci za mission command. Zyskiem są czas i inicjatywa ludzi”, dodaje gen. Andrzejczak.

Oficerowie wyjaśniają, że aby dowodzenie przez cele było skuteczne, musi zgrać się kilka czynników. Wszystko jednak zaczyna się od lidera. „Mission command i leadership to sio-

Wszystko zaczyna się od sformułowania zamiaru i wizji dowódcy – bez tego nie da się zrobić następnego kroku. Lider jest w mission command twórcą i moderatorem. To on organizuje swoim ludziom przestrzeń do działania, wyznacza ramy, w których mogą się swobodnie poruszać i podejmować decyzje. Ale on musi być też gotowy na wyjście ze strefy komfortu i przyjęcie na siebie konsekwencji tych działań. W organizacji hierarchicznej tego rodzaju otwarcie musi wyjść z najwyższego poziomu, od osób decyzyjnych. Tylko dobry lider jest w stanie stworzyć w swojej organizacji ramy dla wprowadzenia zasad mission command.

Jakie cechy powinien mieć zatem dobry lider?

Pyta mnie pani raczej o oczekiwania, bo niestety mamy tu pewną rozbieżność. Z jednej strony jest to, czego byśmy chcieli, a z drugiej to, co się sprawdza. Pożądane byłoby, aby przywódca był otwarty, rozumiejący ludzi, a nawet niekiedy współczujący, tymczasem w wojsku średnio to się sprawdza. Okrutna prawda jest taka, że człowiek, który jest zdeterminowany i apodyktyczny, będzie często bardziej skuteczny, by w danej organizacji przeprowadzić zmiany. Każdy czas wymaga też innego przywództwa, specyficznych cech.

W grudniu w Akademii Sztuki Wojennej poprowadził Pan kurs przywództwa dla podpułkowników. Czy nie uważa Pan, że to trochę późno, by mówić im o cechach dobrego przywódcy?

Kursy z przywództwa dla podpułkowników są nowością. My takie zajęcia w Akademii przeprowadziliśmy po raz drugi. To seria wykładów i ćwiczeń. Myślę, że absolutnie nie jest za późno na szkolenie, choć muszę przyznać, że to wymagające zadanie. Oficerowie ze stopniem podpułkownika to osoby mające bogate doświadczenie, ukształtowane, bardzo świadome siebie i swojej wartości. Zresztą po zakończeniu kursu poja-

strzane dyscypliny, które są nierozłączne. Bo nie uda się dobrze zrealizować tej formuły bez dobrego przywódcy”, przyznaje ppłk Puchała. Trzeba mieć wizję, którą w jasny i zrozumiały sposób przekazać się podwładnym. Dowódcy niższego szczebla powinni z kolei znać cel prowadzonej operacji oraz wiedzieć, jakie zadania mają do wykonania ich odpowiednicy – dowódcy innych plutonów oraz ich przełożeni. „A wszystko spaja wzajemne zaufanie. Filar mission command jest właśnie wzajemne zaufanie i zrozumienie. Bez tego wszystko się rozsypie”, dodaje sierż. Piotr Plusa z 12 DZ.

WAŻENIE WAD I ZALET

Zalet mission command jest mnóstwo. Ten sposób dowodzenia wymusza aktywność podwładnych, angażuje w kolejne etapy prowadzenia misji, a kreatywność żołnierzy wpływa na efekt prowadzonych działań. Zaletą stosowania dowodzenia przez cele jest także to, że w razie braku jednego ognia w łańcuchu dowodzenia, system nadal będzie działał sprawnie. „Gdy nagle zabraknie dowódcy jednego szczebla, to w dyrektywnej metodzie wszystko się rozsypie. A dzięki mission command ludzie mają świadomość zadań dwa szczeble w górę i dwa w dół, a także w poziomie”, mówi st. chor. sztab. Andrzej Woltmann. Starszy podoficer dowództwa 12 DZ podaje przykład walk prowadzonych w mieście. „W terenie zabudowanym może być problem z łącznością i komunikacją niewerbalną. Mówimy o sytuacji, w której małe oddziały walczą w oderwaniu od sił głównych i nie mogą liczyć na

to, że ktoś im wyda komendę. Dowodzenie spada wówczas na liderów małych grup – dowódców drużyn, plutonów. Jeśli mają świadomość sytuacyjną, to na pewno sobie poradzą”.

Kpt. Grzegorz Garbacz z 12 DZ podkreśla zaś, że dowodzenie przez cele z jednej strony odciąża dowódcę, z drugiej angażuje jego sztab. „Każdy z oficerów ma inną specjalność wojskową, skończył inne studia, mamy też różne doświadczenia z misji, szkoleń międzynarodowych. To wszystko można przekuć w fantastyczne pomysły”.

Minusem mission command jest ryzyko, że zadanie będzie wykonane niezgodnie z intencją przełożonego, co z kolei może wywołać negatywne następstwa w czasie walki. Może także dojść do nadinterpretacji swobody, a dowodzenie scedowane na niższe szczeble wytknie się spod kontroli. Blokadą przed stosowaniem dowodzenia przez cele może być też obawa podwładnych o popełnianie błędów, dyskomfort przełożonych związany z utratą przez nich kontroli nad sytuacją i w końcu, w razie niepowodzenia – niepokój o przebieg własnej kariery.

Dowódca 12 Dywizji podkreśla, że ryzyko zawsze trzeba szacować i nie należy podejmować go bez potrzeby, ale dowodzenie przez cele jest najlepszym sposobem na utrzymanie inicjatywy i osiągnięcie sukcesu. „Daje również szansę na kreowanie kolejnych pokoleń świetnych liderów, zwycięzców i wojowników. Bez zaufania, oddawania inicjatywy podwładnym i bez dania im swobody efektywne działanie i zwycięstwo nie będzie możliwe”. ■

*Żeby **mission command** mogło działać, należy spełnić kilka fundamentalnych warunków. Jednym z nich jest obecność w organizacji nowoczesnego lidera, który swoim podwładnym będzie tworzył przestrzeń decyzyjną*

wia się podstawowy problem: co oni mają zrobić z wiedzą, którą im przekazują? Jestem przekonany, że takie kursy powinny się odbywać. Jeżeli odbiór jest bardzo pozytywny i pojawia się zapotrzebowanie na szkolenie na tym poziomie, to oznacza, że zaczynamy dostrzegać niedosyt przywództwa w armii. To jest wyzwanie. Taka sama atmosfera towarzyszyła

wprowadzaniu zajęć ze świadomości międzykulturowej. Z czasem okazało się, że ona się przydaje na każdym etapie planowania operacyjnego i prowadzenia działań. Tak samo jest i będzie z przywództwem.

Jakiego efektu spodziewa się Pan po pięciodniowym szkoleniu z przywództwa?

Chciałbym, aby kurs kończyli ludzie, którzy otworzą się na zmianę. Nasze szkolenie jest jak kropla oliwy, która powoli rozprzestrzeni się po wodzie. Pokazujemy ludziom mechanizmy przewodzenia, zarządzania grupowego, dowodzenia, mówimy o kontekście społecznym, znaczeniu komunikacji społecznej, determinacji i czynnikach psychologicznych. To szeroka wiedza, która powinna być przekazywana na każdym etapie kształcenia oficera. ■

Dr MAREK PAWLAK zajmuje się m.in. wpływem czynników kulturowych na skuteczność prowadzenia działań militarnych.

Armia pruska w XVIII wieku za panowania króla Fryderyka Wielkiego uchodziła za doskonale zorganizowaną i zdyscyplinowaną. Błyskotliwe zwycięstwa, takie jak pod Rossbach lub Lutynią w 1757 roku, gdzie wojska zwyciężały w walce z silniejszym przeciwnikiem, ugruntowały sławę pruskiego oręża. Sukcesy w dużej mierze wynikały ze znakomitego wyszkolenia i z organizacji żołnierzy. Dyscyplinę utrzymywano za pomocą surowej, wręcz brutalnej musztry, żołnierze zaś musieli bezwzględnie wykonywać rozkazy przełożonych.

Ponadto Fryderyk często osobiście dowodził oddziałami podczas walk. Przed rozpoczęciem bitwy zwykł też pilnować każdego szczegółu. Zwrócił jednak kiedyś uwagę na to, że jego dowódcy, mający duże doświadczenie z wielu stoczonych bitew, nie podejmują akcji sami, lecz

ROBERT SENDEK

Pruski eksperyment

Na wojnie, tak samo jak w sztuce, ogólne reguły nie obowiązują. I tu, i tam przepisy nie zastępują talentu. To słowa Helmuta von Moltkego, jednego z twórców nowoczesnego sposobu myślenia o dowodzeniu.

proszą go o wytyczne, przez co marnują mnóstwo cennego czasu. Trudno im się dziwić: Fryderyk potrafił być bezlitosny; mało który generał miał ochotę narazić się na gniew władcy. Ukształtowana wówczas armia pruska miała swą specyfikę – mówiono, iż szkoliła doskonałych żołnierzy i oficerów niższej rangi, ale wydała niewiele talentów dowódczych. Wszystko to złożyło się na dotkliwą klęskę, która nadeszła w czasach wojen napoleońskich. Podczas

tw. wojny IV koalicji antyfrancuskiej 14 października 1806 roku oddziały pruskie zostały pod Jeną oraz Auerstädt rozbite w pył przez wojska francuskie. Efektem była całkowita demoralizacja pozostałych wojsk, które nie były zdolne do obrony kraju. Twierdze pruskie poddawały się Francuzom bez walki. Heinrich Heine, poeta niemiecki, podsumował to później, pisząc z ironią: „Napoleon dmuchnął na Prusy i one przestały istnieć”.

Za jednego z twórców nowoczesnego myślenia o dowodzeniu uznaje się niemieckiego generała Helmuta von Moltkego.

Spektakularna klęska była impulsem do reform. Powołano komisję, która miała za zadanie zbadać przyczyny katastrofy oraz unowocześnić armię. W pracach tego gremium brali udział wybitni teoretycy myśli wojskowej, m.in. Gerhard von Scharnhorst, August von Gneisenau czy Carl von Clausewitz. Sformułowano wówczas ogólne założenia systemu, który stopniowo zaczęto wprowadzać w życie, poczynając od 1814 roku.

Miejsce dotychczasowej armii najemnej, drogiej, trudnej do zdyscyplinowania i nieefektywnej, zajęła ta z poboru. Obowiązkiem służby objęto wszystkich, a nie tylko biedniejsze warstwy społeczeństwa. Arystokracja miała ją zaczynać od najniższych stopni, a nie tak jak dotychczas – od oficerskich. Możliwe stały się też awanse oficerskie ludzi, którzy nie mieli szlacheckiego urodzenia. Promocje zależały wyłącznie od umiejętności, wiedzy i zasług. Zniesiono kary cielesne i surową dyscyplinę.

Reformy doprowadziły również do uelastycznienia taktyki oraz przekazania inicjatywy na niższe szczeble. Ulepszono system szkoleń, powołano do życia pruską akademię wojskową oraz stworzono sztab generalny, koordynujący planowanie i przebieg operacji. Dzięki przyjętym wówczas rozwiązaniom dokonana się istotna zmiana w sposobie myślenia o służbie wojskowej i prowadzeniu wojny.

DOWODZENIE PRZEZ CELE

Za jednego z twórców nowoczesnego myślenia o dowodzeniu uznaje się niemieckiego generała Helmuta von Moltkego. Gdy w 1857 roku został szefem sztabu armii pruskiej, przystąpił do pracy organizacyjnej i wprowadzania zmian w dziedzinie taktyki i strategii działania wojska. Jego otwarte, nowatorskie podejście do planowania operacji militarnych przyniosło mu sławę genialnego stratega. Tymczasem sam ironicznie podkreślał, że strategia jest użyciem zdrowego rozsądku do prowadzenia wojny. Zwykł też mówić, że żaden plan operacyjny nie sięga poza pierwsze spotkanie z głównymi siłami przeciwnika.

Uważał, że wojnę należy prowadzić inaczej niż w poprzednich epokach. Ówczesne armie były zbyt duże, walki zaś toczyły się na zbyt rozległym terenie, by jeden człowiek mógł koordynować wszystkie manewry. Z tego powodu uważał, że podwładnym należy zostawić duży margines swobody w wykonywaniu misji bojowej. Nie da się również precyzyjnie przewidzieć wszystkich możliwych sytuacji, które będą kształtować

przebieg walki. Należy zatem tworzyć plany operacyjne w taki sposób, by zostawić przestrzeń dla indywidualnych decyzji i inicjatywy oficerów co do wyboru środków i metod realizacji postawionych planów. Ich działanie powinno być ukierunkowane na cel w zgodzie z intencją dowódcy.

Przykładem nowego podejścia do kwestii dowodzenia stały się trzy zwycięskie wojny, w których Moltke brał udział: duńsko-pruska (1864), prusko-austriacka (1866) i prusko-francuska (1870–1871). Zdecentralizowana koncepcja dowodzenia pozwalała na elastyczność organizacyjną, skrócenie zaś w związku z tym czasu podejmowania decyzji ułatwiało szybką reakcję w trakcie prowadzenia działań bojowych. Od 1888 roku koncepcja dowodzenia przez cele (Auftragstaktik) stała się dla armii pruskiej oficjalnie obowiązującą doktryną.

ZADANIE NIE ROZKAZ

Słuszność tej koncepcji potwierdziła się w czasie II wojny światowej. Niemieccy dowódcy, przyzwyczajeni do samodzielności i inicjatywy, dostosowywali taktykę do sytuacji, z jaką stykali się na polu bitwy. Taki sposób walki sprawdził się wielokrotnie, ale szczególnie często przywoływany jest tu przykład bitwy o belgijski fort Eben-Emael w maju 1940 roku. Plan zakładał, że grupa żołnierzy opanuje mocno broniony fort i obezwładni zaskoczonego przeciwnika.

W trakcie działań zaszło wiele nieprzewidzianych wydarzeń. Żołnierze nie czekali jednak na rozkazy, lecz improwizowali, dostosowując sposoby realizacji zadań do aktualnych możliwości. Cel został osiągnięty: fort zdobyto, podobnie jak dwa z trzech pobliskich mostów. Pozwoliło to siłom niemieckim na szybkie przekroczenie Mozy, a w konsekwencji na błyskawiczne zajęcie Belgii. Podobnych przykładów skutecznych działań niemieckich oficerów w nieprzewidywalnych warunkach wojny było więcej. Wielu żołnierzy mówiło później, że zwykle otrzymywali zadania do realizacji, rzadko zaś konkretne rozkazy.

Ten nowatorski sposób dowodzenia, odmienny od stosowanego w czasie II wojny światowej w armii sowieckiej czy amerykańskiej, gdzie wymagano precyzyjnego wykonywania poleceń, stał się po zakończeniu wojny przedmiotem zainteresowania nie tylko teoretyków wojskowości, lecz także np. menedżerów. Inicjatywa, samodzielność i kreatywność w osiąganiu celu zaczęły być postrzegane jako atut, ponieważ zwiększały skuteczność działań. Stopniowo główna idea Auftragstaktik przenikała także do zachodnich armii i stała się impulsem do dyskusji nad efektywnością dowodzenia przez wyznaczanie celów. Koncepcja ta przyjęła nazwę „mission command”.

ARMIA

/ MARYNARKA WOJENNA



Nowy niszczyciel min
ORP „Kormoran” ma
być następcą wysłu-
żonego ORP „Mewa”.
Będzie m.in. repre-
zentował Polskę
w stałych zespołach
sił obrony przeciwni-
kowej NATO.



ŁUKASZ ZALESIŃSKI

TAJEMNICE KORMORANA

**Jest cichy, zwrotny,
doskonale wyposażony.**

Po latach oczekiwań marynarka wojenna
wreszcie dostała nowy okręt.

MARCIN PURMAN/8 FOW



P

ierwsze wrażenie: wszystko lśni nowością. Od maszynowni, przez mesy, kabiny, aż po mostek i zewnętrzne pokłady. Banalne? Być może. Ale na taki moment polscy marynarze czekali kilkanaście lat. Ostatni okręt

prosto ze stoczni dostali w 2001 roku, kiedy do służby wszedł ORP „Kontradmiral Xawery Czernicki”. A przecież w przypadku „Kormorana” to co dobre wcale nie kończy się na pierwszym wrażeniu...

CISZA NA MORZU...

28 listopada przy nabrzeżu w centrum Gdyni stanęły okręty należące do obu polskich flotyll. Tego dnia trawione kryzysem siły morskie świętowały 99. rocznicę powstania. Marynarze pojawili się tutaj jednak przede wszystkim po to, by powitać nową jednostkę. „ORP »Kormoran« to pierwszy znak, że Polska dumnie wraca na Bałtyk”, podkreślał minister obrony narodowej Antoni Macierewicz. Chwilę później nad nowoczesnym niszczycielem min załopotała białoczerwona bandera. Potem okręt odbił od brzegu i ruszył na morze. Nie na długo jednak. Cumy rzucił w pobliskim porcie wojennym, gdzie na zajutrz zameldowaliśmy się na jego pokładzie. Wraz z załogą mieliśmy przejść do nabrzeża, z którego na co dzień korzysta macierzysta jednostka „Kormorana” – 13 Dywizjon Trałowców. Zaledwie kilkanaście minut rejsu po portowych basenach, ale taką okazję trudno przegapić.

Na mostku panuje poruszenie. „Okręt 601 z basenu numer dziesięć do basenu osiem. Czy można?”, pyta przez radio kmdr ppor. Michał Dziugan, dowódca ORP „Kormoran”. „Proszę bardzo”, przychodzi odpowiedź z kapitanatu gdyńskiego portu. „Silniki 20, 30, 50 naprzód, ster w lewo”, słychać kolejne komendy. Rozlega

się sygnał tyfonu, czyli okrętowej syreny. Ruszamy! ORP „Kormoran” w mgnieniu oka odchodzi od nabrzeża i niemal w miejscu obraca się, by obrać właściwy kierunek. Tak zwrotna nie jest chyba żadna z polskich jednostek. „To kwestia pędników cykloidalnych”, tłumaczy kmdr por. Piotr Sikora, dowódca 13 Dywizjonu Trałowców. Na dziobie „Kormoran” ma ster strumieniowy. Na rufie jednak, zamiast tradycyjnych śrub, konstruktorzy zamontowali dwa pionowe koła z pięcioma łopatkami. Dzięki ich wychyleniom niszczyciel min może wykonywać błyskawiczne manewry. Choćby w miejscu okręcić się wokół własnej osi.

Kolejne zaskoczenie: mimo że załoga uruchomiła dwa potężne silniki Diesla, „Kormoran” po portowym basenie sunie niemal bezszelestnie. A przecież może poruszać się jeszcze ciszej. Został wyposażony w trzy agregaty prądotwórcze. Podczas przejścia morzem zwykle pracuje jeden, który dostarcza na pokład energię elektryczną. Kiedy jednostka wchodzi na pole minowe, uruchamiane są dwa kolejne. Zastępują one wysokoprężne silniki. „Dla okrętu przeznaczonego do zwalczania min to sprawa kluczowa. Wiele z nich zostało zaprojektowanych tak, by wybuchać pod wpływem dźwięku o odpowiednio wysokim natężeniu”, przypomina kmdr por. Sikora. Przed minami reagującymi na pole magnetyczne załogę ma ustrzec specjalna konstrukcja kadłuba, który został zbudowany z amagnetycznej stali.

Tymczasem nasz krótki rejs dobiega końca. ORP „Kormoran” ustawia się w optymalnej pozycji i dobija do nabrzeża. Teraz będziemy mieć czas, by dokładnie obejrzeć jednostkę.

GDZIE OCZY, GDZIE SERCE...

„Mostek?! Jaki mostek? To GSD, czyli główne stanowisko dowodzenia!”, powtarzają marynarze na większości polskich okrętów, ale nie na „Kormoranie”. Tutaj pomieszczenia przeznaczone do kierowania jednostką i realizacji zadań



„Marynarze zostali wyszkoleni do obsługi poszczególnych elementów związanych z funkcjonowaniem jednostki. Teraz musimy zgrać to wszystko w całość”, mówi kmdr ppor. Michał Dziugan.



MARCIN PURMAN / 8 FOW

NISZCZYCIEL MIN ORP „KORMORAN” DO SŁUŻBY WSZEDŁ POD KONIEC LISTOPADA, A RESORT OBRONY ZAPALIŁ ZIELONE ŚWIATŁO DLA BUDOWY KOLEJNYCH DWÓCH OKRĘTÓW TEGO TYPU

bojowych zostały rozdzielone. W górnej części mamy więc klasyczny mostek, a gdzieś pod pokładem – BCI, czyli bojowe centrum informacji. „Taka organizacja pozwala lepiej chronić okręt. Zdarza się bowiem, że na pokładzie pojawiają się osoby postronne, na przykład piloci, którzy pomagają podczas wejścia do nieznanego portu. Rzecz w tym, by najściślej strzeżone tajemnice były z dala od ich wzroku”, tłumaczy kpt. mar. Kacper Sterne, zastępcę dowódcy „Kormorana”.

Tak więc na mostku członkowie załogi uruchamiają jednostkę (można to zrobić za pomocą jednego przycisku!), śledzą wskazania dwóch radarów, mapy nawigacyjną i taktyczną. „Do dyspozycji mamy system umożliwiający sterowanie okrętową siłownią oraz stanowisko operatora głowicy optoelektronicznej, pozwala ona śledzić ruch wokół zarówno w dzień, jak i w nocy”, wylicza kpt. mar. Sterne.

Żaden z wcześniejszych niszczycieli min takiej głowicy nie miał. Inną nowość to stanowisko łączności GMDSS powiązane z miejscem dla marynarza odpowiadającego za sygnalizację taktyczną. „Na starszych jednostkach sygnalista stał na zewnątrz. Tutaj nie musi”, przyznaje kmdr por. Sikora. Na mostku znajduje się też DP, czyli stanowisko dynamicznego pozycjonowania okrętu. „Kiedy »Kormoran« musi stanąć na przykład po to, by opuścić do morza pojazd podwodny, a potem poczekać, aż wróci, wystarczy nacisnąć przycisk. System utrzymuje jednostkę w odpowiedniej pozycji. Za pomocą DP możemy też zaprogramować trasę przejścia z pojazdem Double Eagle, który z pokładem połączony jest za pomocą światłowodu”, tłumaczy kpt. mar. Sterne.

Mostek, jak powtarzają marynarze, to takie oczy i uszy okrętu. Serce znajduje się gdzieś pod pokładem. ➔



Na ORP „Kormoran” rozdzielone zostały pomieszczenia przeznaczone do kierowania jednostką i realizacji zadań bojowych. Klasyczny mostek znajduje się w górnej części okrętu, a centrum dowodzenia bojowego – w dolnej.

UMOWĘ NA BUDOWĘ ORP „KORMORAN” PODPISANO JESIENIĄ 2013 ROKU. DWA LATA PÓŹNIEJ ZOSTAŁ ZWODOWANY, ZAŚ W LISTOPADZIE 2017 ROKU WYKONAWCA OFICJALNIE PRZEKAZAŁ GO MARYNARCE WOJENNEJ

„Gdzieś”, bo dokładnej lokalizacji podawać nie należy. To BCI, gdzie gromadzi się wszystkie informacje z okrętowych sensorów. Z części stanowisk kierować można na przykład pojazdami podwodnymi. Pomagają w tym wielofunkcyjne konsole broni podwodnej. Rozmieszczone na pozostałych stanowiskach wielofunkcyjne konsole operatorskie umożliwiają wysyłanie meldunków, a w razie potrzeby także sterowanie jednostką. I to za pomocą joysticka. „Wszystkie elementy uzbrojenia zostały spięte w całość dzięki systemowi zarządzania walką SCOT-M”, tłumaczy kmdr ppor. Dziugan. To dzieło polskich konstruktorów z Centrum Techniki Morskiej w Gdyni.

Załoga ORP „Kormoran” ma do dyspozycji cztery rodzaje pojazdów podwodnych. Double Eagle Mk III służy do poszukiwania min. Wypożyczony został w identyczną antenę co zainstalowany na okręcie sonar główny. „Pod wodę opuszczany jest na światłowodzie. Przez cały czas ma kontakt z pokładem, na który dociera

obraz z kamery. Porusza się po wyznaczonym wcześniej obszarze i schodzi na głębokość nawet 500 m”, wyjaśnia kmdr ppor. Dziugan. Pojazd może pracować równocześnie z głównym sonarem, co pozwala załodze na przeszukanie znacznie większego akwenu niż to mogły zrobić starsze niszczyciele min.

Kolejny pojazd to Hugin, bezzałogowa jednostka, która porusza się po wyznaczonej wcześniej trasie i rejestruje zalegające na dnie obiekty. Marynarze mają jeszcze do dyspozycji morświna, który podkłada toczone, czyli ładunki do niszczenia min, oraz głuptaki – zarówno w wersji inspekcyjnej, jak i bojowej. Pierwsze identyfikują niebezpieczne znaleziska, drugie w razie potrzeby potrafią się wraz z nimi zdetonować. „Kormoran” został jednak przeznaczony nie tylko do zwalczania min. Może je również stawiać.

Ochronę przed atakami z wody i powietrza mają zapewnić okrętowi trzy wielkalibrowe karabiny maszynowe oraz 23-milimetrowa armata Wróbel. Tylko do pewnego czasu, bo docelowa



„Do tej pory w zespołach było tak, że to nasi marynarze szli do kolegów z innych państw, by przyglądać się nowościom. Teraz, jak sądzę, będzie odwrotnie”, przekonuje kmdr por. Piotr Sikora.



JAROSŁAW WIŚNIEWSKI (2)

Ochronę przed atakami z wody i powietrza mają zapewnić okrętowi trzy wielkokalibrowe karabiny maszynowe oraz 23-milimetrowa armata Wróbel

wo ma ona zostać zastąpiona 35-milimetrowym trytonem, skonstruowanym specjalnie z myślą o nowych niszczycielach min. A gdy dodamy do tego liczne, wprawdzie niewielkie, lecz z punktu widzenia marynarzy bardzo istotne, udogodnienia, jak choćby przestronne kabiny przeznaczone dla maksymalnie siedmiu osób czy pokład z kilkoma łazienkami (na starszych niszczycielach min jest tylko jedna), to śmiało możemy stwierdzić: marynarka wojenna dorobiła się naprawdę przyzwoitego okrętu.

PIERWSZY ZNAK

Umowa na budowę ORP „Kormoran” została podpisana jesienią 2013 roku. Prace prowadziło konsorcjum ze stocznia Remontowa Shipbuilding na czele. Dwa lata później niszczyciel min został zwodowany, w listopadzie 2017 roku zaś wykonawca oficjalnie przekazał go marynarce wojennej. „Wykonanie tak skomplikowanego projektu rozwojowego w krótkim czasie pokazało, że istnieje w naszym kraju potencjał do tworzenia nowoczesnych i zaawansowanych technologicznie jednostek morskich”, podkreślał Piotr Dowężko, prezes gdańskiej stoczni. Tymczasem minister Antoni Macierewicz zapewnia, że to nie koniec. „Zostały

już podjęte decyzje o budowie dwóch kolejnych okrętów typu Kormoran, a także innych, w tym ratowniczej w ramach programu »Ratownik«”, podkreślał w Gdyni. Niebawem MON wskaże również firmę, która dostarczy polskiej marynarce co najmniej trzy nowoczesne okręty podwodne wyposażone w rakiety manewrujące.

Sam „Kormoran” pierwsze zadania zacznie wykonywać najprawdopodobniej wiosną roku. „Marynarze zostali wyszkoleni do obsługi poszczególnych elementów związanych z funkcjonowaniem jednostki. Teraz musimy zgrać to wszystko w całość, a potem zaliczyć zadania programowe O1 i O2. Potwierdzają one gotowość załogi do wyjścia z portu i samodzielnego operowania na morzu”, tłumaczy kmr ppor. Dziugan.

Nowy niszczyciel min ma być następcą wysłużonego ORP „Mewa”. Będzie m.in. reprezentował Polskę w stałych zespołach sił obrony przeciwminowej NATO. „W swojej klasie »Kormoran« należy do absolutnej światowej czołówki. Do tej pory w zespołach było tak, że to nasi marynarze szli do kolegów z innych państw, by przyglądać się nowościom. Teraz, jak sądzę, będzie odwrotnie”, podsumowuje kmr por. Sikora. ■

Decyzja o utworzeniu wielonarodowych batalionowych grup bojowych to jedno z najważniejszych postanowień podjętych na szczycie NATO w Warszawie. Wówczas członkowie paktu północnoatlantyckiego uzgodnili, że w ramach wzmocnionej wysuniętej obecności NATO (enhanced Forward Presence – eFP) w Estonii będą stacjonować żołnierze z Wielkiej Brytanii, Danii i Islandii, na Litwie – z Niemiec, Holandii, Chorwacji i Norwegii, na Łotwie – z Kanady, Albanii, Włoch, Słowenii, Słowacji, Hiszpanii oraz Polski, a w Polsce – ze Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Rumunii i Chorwacji.

Podobne rozwiązanie zastosowano na południowej flance NATO. Do Rumunii, w ramach dostosowanej wysuniętej obecności NATO (tailored Forward Presence – tFP), skierowano polski kontyngent wojskowy, który wchodzi w skład Wielonarodowej Brygady Południe-Wschód.

Pierwsza zmiana PKW w Rumunii kończy swoją misję. Na mocy decyzji członków sojuszu do Rumunii wyjechało 230 polskich żołnierzy. Trzon polskiego kontyngentu wojskowego stanowiła kompania zmotoryzowana z 15 Batalionu Ułanów Poznańskich 17 Wielkopolskiej Brygady Zmechanizowanej z Międzyrzecza, a wspierały ją pododdziały z 11 Batalionu Dowodzenia 11 Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancernej z Żagania oraz Narodowy Element Wsparcia Logistycznego z 10 Brygady Logistycznej z Opola. Żołnierze z tej ostatniej jednostki byli odpowiedzialni m.in. za przerzut wojska na południową flankę NATO. A nie było to proste zadanie – rotacja została podzielona na kilka etapów. Pierwsi żołnierze wyjechali na misję w maju 2017 roku, a ostatni dotarli do Rumunii pod koniec czerwca.

Równie skomplikowany był transport sprzętu. Wojskowi, oprócz wyposażenia osobistego, zabrali na misję lek-

MAGDALENA MIERNICKA

TRANSYLWAŃSKIM SZLAKIEM

**Pojechaliśmy do Rumunii, aby pokazać siłę NATO.
Cały czas pozostawaliśmy w gotowości do działania,
ale też intensywnie się szkoliliśmy.**



kie moździerz kalibru 60 mm, granatniki Mk19, a także 14 kołowych transporterów opancerzonych Rosomak, wozy ewakuacji medycznej i rozpoznania technicznego. Cały ekwipunek dotarł na misję... kolejną. „Ten transport trwał pięć dni. Wyruszyliśmy z Polski, po czym przez Słowację i Węgry dotarliśmy do Rumunii”, mówi mjr Paweł Cupa, dowódca Polskiego Kontyngentu Wojskowego Rumunia. „Nasza baza mieści się w miejscowości Krajova, na samym południu państwa, tak więc aby do niej dotrzeć, musieliśmy przejechać przez cały kraj”.

Przez pierwsze dwa miesiące żołnierze byli zakwaterowani w szkole i w hotelu wojskowym, po czym trafili do nowo wyremontowanych koszar 26 Batalionu Piechoty armii rumuńskiej. Z żołnierzami tej jednostki Polacy współdziałali na misji. A jakie mieli zadanie do wykonania? „Przyjechaliśmy do Rumunii, aby pokazać siłę NATO. Cały czas pozostawaliśmy w gotowości do działania, ale też intensywnie się szkoliliśmy”, opowiada mjr Cupa. „Prawie w ogóle nie schodziliśmy z poligonu. Zużyliśmy tam aż 200 tys. sztuk amunicji. Nie wiem, czy byłoby to możliwe, gdybyśmy byli w kraju”.

SKOK NA GŁĘBOKĄ WODĘ

Wśród najistotniejszych ćwiczeń, w które polski kontyngent wojskowy był zaangażowany, oficer wymienia m.in. „Saber Guardian '17”, czyli największe manewry organizowane w rejonie Morza Czarnego. Wówczas w Rumunii,

Bułgarii i na Węgrzech współdziałało 25 tys. żołnierzy z 22 państw sojuszników NATO. „Te ćwiczenia były dla nas wyzwaniem, bo odbywały się niecałe trzy tygodnie po tym, jak zameldowaliśmy się w bazie. Można powiedzieć, że od nich rozpoczął się proces zgrywania naszego kontyngentu z batalionem rumuńskim”, wyjaśnia major. W czasie tych manewrów sojusznice pododdziały koncentrowały się na pokonywaniu przeszkód wodnych. Co ciekawe, towarzyszyła im żandarmeria wojskowa US Army. „Wówczas okazało się, że chociaż wszyscy jesteśmy żołnierzami i wykonujemy podobne zadania, to tak naprawdę, z uwagi na różne procedury obowiązujące w poszczególnych armiach, ten sam rozkaz może być różnie rozumiany. Dla jednego żołnierza gotowość do marszu oznaczała pozostawanie w pojeździe i czekanie na sygnał do ruszenia, a dla innych – to że wystarczy, aby znajdowali się w pobliżu. Na szczęście takie elementy wyłapywaliśmy już podczas planowania działań, dzięki czemu szybko je ujednoliliśmy”, wyjaśnia mjr Cupa.

Nie mniej intensywne okazało się dla żołnierzy lato. Jednym z zadań, któremu wówczas musieli sprostać, było przemieszczenie całej kompani do oddalonego od Krajowej o 260 km Ośrodka Szkolenia w Cincu. Co ciekawe, przez cały czas rosomaki poruszały się po drogach publicznych, a ich trasa prowadziła m.in. przez transylwańskie góry. Na miejscu do żołnierzy dołączył rumuński pluton piechoty wyposażony



**DO RUMUNII
wyjechało
230 polskich
żołnierzy na
I zmianę PKW.**



w kołowe transportery opancerzone Piranha. Wojska wspólnie wykonywały dzienne i nocne strzelania – wykorzystwały całe spektrum uzbrojenia oraz ćwiczyły przeciwdziałanie zagrożeniom hybrydowym. „Żołnierze prowadzili patrole, konwojowali VIP-ów, przeszukiwali obiekty i zabezpieczali teren. Były to zadania, które znamy z zagranicznych operacji”, mówi dowódca PKW. Ale

zanim wojsko wyruszyło na poligon, mogło przećwiczyć i zaplanować swoje działania w symulatorze walki VBS (Virtual Battlefield System). „To program, który umożliwia żołnierzom udział w akcji, ale na poziomie wirtualnym. W uproszczeniu można powiedzieć, że to rodzaj gry komputerowej, w której jednocześnie bierze udział cały pluton”.

Jesienią wojsko uczestniczyło także w organizowanych przez Wielonarodową Brygadę Południe-Wschód manewrach „Scorpions Fury '17”, a zwieńczeniem pobytu w Rumunii był test gotowości do działania zgodnie z przeznaczeniem. To ćwiczenie rozpoczął alarm. Żołnierze musieli przemieścić się na oddalony o 65 km poligon. Po drodze jednak czekało ich wiele niespodzianek. „Założono, że przeciwnik blokuje drogi, organizuje zasadzki czy stara się zdyskredytować dowódcę kompanii, żeby powstrzymać wojsko”, wylicza mjr Cupa. „Wszystko działo się na terenie publicznym, więc żołnierze musieli brać pod uwagę na przykład obecność cywilów”.

NIE TYLKO POLIGON

Mimo intensywnych zajęć żołnierze znaleźli także czas, aby zintegrować się z lokalną społecznością. W Krajowej zorganizowali m.in. obchody Święta Wojska Polskiego, Narodowego Święta Niepodległości, a nawet Bieg Niezłomnych. Zaopiekowali się również grobami polskich żołnierzy i uchodźców z czasów II wojny światowej, którzy zostali pochowani w Rumunii. Wzięli także udział w akcji krwiodawstwa. Każdy, kto zdecydował się oddać krew, dostawał w zamian bon na żywność o wartości 70 lei, czyli mniej więcej 67 zł. Żołnierze postanowili przeznaczyć otrzymane talony na cel charytatywny. Przygotowali 80 świątecznych paczek, które przekazali podopiecznym hospicjum i domu dziecka.

Wojskowi uczestniczyli też w wydarzeniach organizowanych przez armię rumuńską. „Nasi sojusznicy przeprowadzają co jakiś czas akcję »Army in the mall«, czyli wojsko w markecie. Wzięliśmy w niej udział. Pojechaliśmy do centrum handlowego, gdzie rozstawiliśmy nasze stoisko promocyjne, aby pokazać mieszkańcom Krajowej, jakim wyposażeniem dysponuje Wojsko Polskie”, mówi dowód-

OKAZAŁO SIĘ, ŻE CHOCIAŻ WYKONUJEMY PODOBNE ZADANIA, TO Z UWAGI NA RÓŻNE PROCEDURY OBOWIĄZUJĄCE W POSZCZEGÓLNYCH ARMIACH, TEN SAM ROZKAZ MOŻE BYĆ RÓŻNIE ROZUMIANY

ca PKW. „Byliśmy także zaangażowani w obchody święta narodowego Rumunii. W paradzie w Bukareszcie, która odbyła się z tej okazji, wzięli udział reprezentanci 15 państw, ale tylko my defilowaliśmy ze sprzętem”, zaznacza z dumą major.

BURZA NA TALERZU

Sporo kontrowersji w Polsce wzbudziła kwestia żywienia żołnierzy PKW, a w internecie pojawiły się zdjęcia „niejadalnych” posiłków dla polskich żołnierzy. Za wyżywienie były odpowiedzialne siły rumuńskie. Mjr Cupa wyjaśnia, że rzeczywiście „żywienie, według opinii żołnierzy, pozostaje kwestią, która wymaga poprawy, ale większość zdjęć mija się z prawdą. Niektóre pokazane produkty nigdy nie znalazły się na naszych talerzach”, podkreśla. Zaznacza także, że za przygotowywanie posiłków w armii rumuńskiej odpowiada prywatna firma. „Takie jedzenie tamtejsi żołnierze dostają głównie w czasie ćwiczeń. Myślę, że gdybyśmy my także je otrzymywali przez kilka czy kilkanaście dni, nie byłoby problemu, ale porcje były zbyt małe, a potrawy nie do końca poprawnie przygotowane”, mówi. „Mieliliśmy na szczęście suche racje, z których korzystaliśmy”.

Jakie jeszcze spostrzeżenia mają żołnierze po półrocznym pobycie na misji? „Najpierw okazało się, że nie uwzględniono naszej obecności w niektórych obiektach szkoleniowych, ale sojusznicy okazali się bardzo elastyczni i szybko te luki uzupełniliśmy”, mówi dowódca kontyngentu. „Najważniejsze, że przez ten czas mogliśmy się wspólnie szkolić i razem dbać o bezpieczeństwo regionu, bo razem jesteśmy silniejsi”.

Misja żołnierzy, którzy wchodzili w skład I zmiany Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Rumunii, kończy się w styczniu. Do wyjazdu na ich miejsce już szykują się kolejni wojskowi. Tak jak podczas I zmiany, tak i tym razem, większość z nich wywodzi się z 17 Brygady Zmechanizowanej. „Być może będziecie działać w bezpieczniejszych warunkach niż polscy żołnierze w Afganistanie czy na Bliskim Wschodzie, ale trzeba mieć zawsze świadomość, że na waszych barkach spoczywają polskie zobowiązania w stosunku do NATO”, mówił gen. bryg. Stanisław Czosnek, dowódca 11 Dywizji Kawalerii Pancernej, w czasie pożegnania żołnierzy. „Polską flagę i proporzec 17 Brygady Zmechanizowanej, które zabierzecie ze sobą, trzymajcie zawsze wysoko. To wy dajecie gwarancję realizacji naszych zobowiązań militarnych i politycznych wobec partnerów z NATO. Będziecie reprezentować polskie siły zbrojne i zaświadczać o naszej wiarygodności”. ■



■ ■ ■
Patronat Honorowy Prezydenta
Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy
w roku 100-lecia Odzyskania
Niepodległości 1918-2018

XXVI Międzynarodowy Salon Przemysłu Obronnego

4-7.09.2018

KIELCE

www.mspo.pl

Partner strategiczny





EWA KORSAK

Równać do najlepszych

**Żołnierze z Oddziału Specjalnego Żandarmerii Wojskowej
szkolili się z operatorami topowych jednostek zajmujących
się zwalczaniem terroryzmu.**

Niemieccy policjanci ze Spezialeinsatzkommando (SEK) oraz Francuzi z Recherche d'Assistance d'Intervention et de Dissuasion de la Police Nationale (RAID) przyjechali do Polski na zaproszenie żandarmów, którzy podkreślają: „Zależało nam, by szkolić się z praktykami, którzy mają doświadczenie w zwalczaniu współczesnego terroryzmu”. Antyterroryści z SEK i RAID należą do najbardziej cenionych na całym świecie. Do ich zadań należy m.in. zapobieganie zamachom, odbijanie zakładników oraz likwidowanie terrorystów. Tylko w 2017 roku przeprowadzili setki tego typu operacji antyterrorystycznych.

„W Polsce po raz kolejny możemy omawiać to, co wydarzyło się na przykład w Magdalence, ale to akcja antyterrorystyczna niemal sprzed 15 lat. Dziś takie operacje wyglądają zupełnie inaczej i Niemcy czy Francuzi znają to z własnego doświadczenia. Na tej wiedzy nam zależy”, mówi szef szkolenia Oddziału Specjalnego Żandarmerii Wojskowej w Warszawie i dodaje, że treningi z zagranicznymi jednostkami policji antyterrorystycznej są niezbędne, bo żandarmi muszą być gotowi do działania na wypadek ataku terrorystycznego. „Nie chcemy zostać zaskoczeni, więc musimy być przygotowani na najgorsze. Staramy się równać do najlepszych”, wyjaśnia jeden z żołnierzy.



NIEMIECCY POLICJANCY Z SEK PRZEPROWADZILI W 2017 ROKU OKOŁO 150 OPERACJI ANTYTERRORYSTYCZNYCH, NIEMAL 20 Z NICH Z UŻYCIEM MATERIAŁÓW WYBUCHOWYCH

SYLWIA GUZOWSKA

Funkcjonariusze RAID w ostatnim roku zatrzymali około 180 terrorystów, którzy przygotowywali zamachy, wzięli też udział w ośmiu akcjach uwolnienia zakładników.



Speczandarmi podkreślają jednak, że umiejętności trenowane z antyterrorystami są dla nich przydatne także w wykonywaniu codziennych zadań. „Nie zatrzymujemy przecież ludzi, którzy przekroczyli prędkość w terenie zabudowanym, tylko przestępców”, mówi „Kielich”, jeden z żołnierzy Oddziału Specjalnego ŻW w Warszawie. Zatrzymanie człowieka, który posiada broń, może natomiast przekształcić się w sytuację terrorystyczną, chociażby wtedy gdy przestępca weźmie zakładnika. „W takim wypadku dobrze jest być ten jeden poziom wyżej i wiedzieć, jak zareagować”, dodaje „Kielich”.

SPECJALIŚCI OD WYBUCHÓW

Niemieccy policjanci z SEK przeprowadzili w 2017 roku około 150 operacji antyterrorystycznych, niemal 20 z nich z użyciem materiałów wybuchowych. „Ci ludzie na co dzień wykonują takie zadania, jak akcje bezpośrednie oraz uwalnianie zakładników”, wyjaśnia „Rydz”, szef Wydziału Działań Specjalnych w OSŻW: „To oni brali udział w akcjach anty-

terrorystycznych podczas niedawnych ataków w Niemczech. Mają olbrzymie doświadczenie i chętnie z niego skorzystaliśmy”.

Do Polski antyterrorysty przyjechali na tydzień. Wspólnie z żandarmami szkolili się na terenie obiektów Garnizonu Warszawa. „Przez kilka dni wspólnie z Niemcami ćwiczyliśmy m.in. szturmowanie autobusu czy budynku”, tłumaczy „Kielich”. Żołnierze przeprowadzali też ewakuację VIP-ów z niebezpiecznego rejonu czy uwalnianie zakładników. Najważniejsze dla Polaków okazały się jednak szkolenia z wykorzystaniem materiałów wybuchowych.

SEK używa m.in. wodnych ładunków wybuchowych. „Woda niszczy to, co ma zniszczyć, a my wykorzystujemy mniej materiału wybuchowego i zmniejszamy bezpośrednie oddziaływanie eksplozji na otoczenie”, mówi „Kielich”. „Tego rodzaju ładunki świetnie sprawdzają się w mieście. Nie nadają się natomiast na misje w terenie, bo są duże i ciężkie. Trudno sobie wyobrazić, by żołnierz niósł je kilka czy kilkanaście kilometrów”, dodaje „Rydz”.





ZADANIA ANTYTERRORYSTYCZNE

Od 2016 roku, zgodnie z zapisami ustawy o działaniach antyterrorystycznych, żandarmi służący w Oddziale Specjalnym Żandarmerii Wojskowej mają wykonywać zadania

polegające na fizycznym zwalczaniu terroryzmu – zatrzymywaniu czy likwidowaniu terrorystów. Są odpowiedzialni za tego typu akcje, gdyby były one prowadzone na terenie jednostek

wojskowych lub instytucji podlegających bezpośrednio Ministerstwu Obrony Narodowej (to nie tylko budynki, ale też setki tysięcy hektarów poligonów oraz wojskowe lotniska). ■

Niemcy podpatrywali rozwiązania taktyczne stosowane przez naszych żołnierzy. „Antyterroryści działają inaczej niż wojska. Ich jedna operacja bojowa może trwać nawet dwa dni. Nasze działania są bardziej dynamiczne i to im się spodobało. Więcej szczegółów zdradzić nie mogę”, wyjaśnia „Rydz”.

PEŁNE POROZUMIENIE

RAID należy do topowych jednostek antyterrorystycznych świata. Jej funkcjonariusze w ostatnim roku zatrzymali około 180 terrorystów, którzy przygotowywali zamachy, wzięli też udział w ośmiu akcjach uwolnienia zakładników. To właśnie oni wkraczali do akcji, gdy we Francji dochodziło do ataków przy Stade de France (13 listopada 2015 roku), na siedzibę redakcji „Charlie Hebdo” (7 stycznia 2015 roku) czy podczas koncertu w teatrze Bataclan (13 listopada 2015 roku). Francuzi podzielili się swoimi analizami tamtych wydarzeń. „Omówili błędy, które wówczas popełnili, i pokazali wnioski wypracowane po zamachach”, mówi „Kielich”.

Polacy razem z Francuzami przez dwa tygodnie szkolili się na poligonie w Wędrzynie oraz w obiektach Garnizonu Warszawa. „Byli w Polsce dłużej niż Niemcy, więc mieli-

śmy okazję więcej poćwiczyć. Szkoliliśmy się m.in. w wejściach do budynku czy odbijaniu zakładników”, tłumaczy „Kielich”. Zaledwie po dwóch dniach obie strony zgodziły się pracować w mieszanych zespołach bojowych. „Do takiego działania są potrzebne wzajemne zaufanie i przekonanie, że ten drugi wie, co robi. Strzelaliśmy przecież ostrą amunicją”, zwraca uwagę szef szkolenia jednostki. „Szybko doszliśmy do porozumienia”, potwierdza „Kielich”. „W trakcie jednej z akcji kierowałem takim mieszanym zespołem. W pewnym momencie zapomniałem się i powiedziałem po polsku do jednego z Francuzów: »przejmij«. On nie rozumiał, co to znaczy, ale wiedział, co powinien zrobić w takiej sytuacji i to zrobił. Rozumieliśmy się bez słów”, dodaje „Kielich”. Poza tym okazało się, że obie formacje mają podobną taktykę, która różni się tylko niuansami. „Spodobało nam się wiele ich patentów, które wprowadziliśmy do swoich działań. Na przykład użycie tarczy balistycznej, którą bardzo rzadko wykorzystujemy w Polsce”, mówi „Rydz”.

Współpraca z jednostkami antyterrorystycznymi z Europy będzie kontynuowana, choć żandarmi przyznają, że chcieliby teraz szkolić się również z Amerykanami. Nie zdradzają jednak, o jakie formacje chodzi. ■

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Komandosi wyselekcjonowani

Przetrwali pięć dni morderczego wysiłku, przeszli setki kilometrów, zrobili tysiące pompek i przysiadów. Dziesięć osób ukończyło jesienną selekcję do JWK.

O miejsce w zespole bojowym Jednostki Wojskowej Komandosów podczas jesiennej selekcji walczyło 18 osób, pośród nich żołnierze, pogranicznicy i policjanci. Na sprawdzian w Kotlinie Kłodzkiej jednostka zaprosiła tylko osoby, które wcześniej zdały egzaminy sprawnościowe w jednostce i przeszły rozmowę z psychologiem. „Tym razem w góry przyjechała naprawdę silna grupa. Zwykle selekcję kończy nie więcej niż 40% uczestników. Teraz do końca sprawdzianu dotrwało dziesięciu kandydatów”, mówi „Mixu”, instruktor JWK.

Już na pierwszej zbiórce uczestnicy selekcji zostali pozbawieni imion, nazwisk oraz stopni wojskowych, a w zamian dostali numery identyfikacyjne. Każdy z kursantów musiał też stworzyć swoją „maskę” – wymyślić dane: nowe nazwisko i miejsce urodzenia. „Przez pięć dni obowiązywała ich fikcyjna tożsamość i musieli zrobić wszystko, by nie dać się złapać na żadnej pomyłce. A nie jest to proste, zwłaszcza podczas ekstremalnego wysiłku”, dodaje instruktor JWK.

Kandydaci na operatorów każdego dnia z ciężkimi plecakami wykonywali niezliczone serie pompek i przysiadów. Pokonywali dziennie kilkadziesiąt kilometrów górskich szlaków i bezdroży. Niektóre trasy przemierzali w pojedynkę, inne w grupie. Byli głodni, niewyspani, przemoczeni i zmarznięci. Trzeciego dnia selekcji na kursantów czekała niespodzianka. Wyrwani ze snu w środku nocy, musieli jak najszybciej zwinąć obozowisko i wsiąść do autobusu. Zostali przewiezieni w nieznanie sobie miejsce.

Jesienna selekcja do JWK po raz pierwszy odbyła się według nowych zasad. Podzielono ją na dwie części: najpierw sprawdzano kondycję i odporność kandy-

datów w górach, później w innym terenie oceniano ich zdolność do współdziałania w zespole. „Wprowadziliśmy zmiany, które pozwalają nam lepiej wyselekcjonować kandydatów na operatorów, spełniających wymagania specyficzne dla naszej jednostki”, mówi ppłk Michał Strzelecki, dowódca JWK. „Po trzydniowym sprawdzianie w Kotlinie byli już bardzo wyczerpani. Przy takim zmęczeniu wychodzi prawdziwy charakter, obnażają się wszystkie słabości. Możemy wtedy ocenić, co dana osoba sobą reprezentuje, czy ma zdolności do dowodzenia, czy jest dobrym liderem, czy umie się podporządkować grupie albo czy odstaje i wpływa destrukcyjnie na zespół”, dodaje „Mixu”.

Jednostka Wojskowa Komandosów grę terenową przeprowadza dwa razy w roku: wiosną i jesienią. Komandosi poszukują kandydatów we wszystkich korpusach osobowych i stopniach wojskowych. Szczególnie potrzebni są kandydaci na operatorów: przede wszystkim w stopniu etatowym podoficera oraz szeregowi, którzy spełniają wymagania do awansu do korpusu podoficerskiego. Ci ostatni po ukończeniu kursu bazowego są kierowani na kilkutygodniowy kurs podoficerski w Poznaniu. „Poszukujemy doświadczonych szeregowych, uczestników misji, absolwentów szkoleń krajowych i zagranicznych. Kandydatury rozpatrujemy np. pod kątem sekcji działań specjalnych – potrzebujemy minerów, radiotelegrafistów, ratowników i operatorów uzbrojenia – oraz grup specjalnych, czyli szukamy osób do wykonywania skoków wysokich, działań w terenie górskim i arktycznym, a także do nurkowania bojowego i działania w środowisku wodnym. Brak odpowiednich uprawnień nie jest przeszkodą dla kandydata, ponieważ JWK zapewnia żołnierzom niezbędne szkolenia”, wyjaśnia ppłk Strzelecki.

Następna selekcja odbędzie się wiosną 2018 roku. ■



A portrait of a man in a Polish military uniform, wearing a green beret and a jacket with epaulettes. He is looking slightly to the right. The background is blurred, showing a red and white striped flag.

PIERWSZE URODZINY

Z Wiesławem Kukułą

o zainteresowaniu służbą w szeregach wojsk obrony terytorialnej, tworzeniu nowych jednostek i szkoleniu terytorialsów rozmawia Magdalena Kowalska-Sendek.

Nowý rodzaj sił zbrojnych powstał równo rok temu. To było dla Was 12 intensywnych miesięcy. Co się wydarzyło przez ten czas?

Dla żołnierzy i pracowników formacji to był rok tytanicznej pracy. Zaczynaliśmy pełni wiary, ale też świadomości ryzyka. Udało się zrealizować plany dotyczące rozwoju struktur, systemu szkolenia i naboru. Głównym miernikiem osiągnięcia celu jest liczebność. W naszych szeregach jest dzisiaj niemal 8 tys. żołnierzy, a odsetek odejść ze służby nie przekracza 4%. W 2018 roku ma nas być około 18 tys., a to oznacza, że co szósty żołnierz będzie nosił oliwkowy beret wojsk obrony terytorialnej.

Początki funkcjonowania WOT-u nie były jednak proste, bo zewsząd docierały głosy krytyki. Niektórzy

mundurowi i cywilni eksperci zapowiadali fiasko formacji. Podobno zainteresowanie służbą jest mierne i nie uda się Wam zapełnić wszystkich etatów?

Przeczą temu fakty. Około 20 tys. osób zadeklarowało chęć złożenia wniosku o powołanie do służby. Wielu kandydatów czeka z decyzją, aż nasze struktury pojawią się w ich województwie. Nie chcę dzisiaj niczego przesądzać, ale w przyszłość patrzę z optymizmem.

Jeśli chętnych jest więcej niż miejsc, to czy jednostki zamkną się na nowych żołnierzach?

Niestety są już takie miejsca, gdzie jest to możliwe. Chociaż podstawową zasadą jest terytorialność służby, to zdarzy się, że zaproponujemy kandydatowi służbę w innym pobliskim miejscu, żeby go „zagospodarować”. Ale

liczymy się z tym, że dojdziemy do sytuacji, w której osiągniemy górną granicę powołań i nie będziemy mogli przyjmując już więcej żołnierzy. W 2018 roku to zweryfikujemy, ale zdanie kierownictwa resortu jest takie, że WOT musi być formacją o charakterze powszechnym. A to oznacza, że żaden zainteresowany służbą kandydat nie powinien odejść z WKU z kwitkiem.

Czy to oznacza, że struktury WOT-u mogą się jeszcze rozrastać?

Struktura brygad w dużej części będzie odzwierciedlać uwarunkowania demograficzne. Mamy struktury modułowe – możemy dodawać plutony w kompaniach albo kompanie w batalionach. Już dziś wiemy, że niektóre brygady będą silniejsze niż pierwotnie planowaliśmy. Rozważamy kilka wariantów, by przygotować się na taką sytuację np. w województwie podkarpackim. Podkreślam, z uwagi na terytorialność służby podstawowym wyznacznikiem struktur jest demografia. To zaś oznacza, że w naszych strukturach są nie tylko większe brygady, ale też mniejsze.

Czy sądzi Pan, że tak duże zainteresowanie służbą będzie się utrzymywać?

W 2018 roku poznamy odpowiedź na to pytanie. Chociaż zaciąg do służby w 2017 roku okazał się z zgodny z oczekiwaniami, a liczba kandydatów utrzymuje się na bardzo wysokim poziomie, mamy w sobie pokorę. Musimy pamiętać o niżu demograficznym, a także o zwiększaniu liczebności innych rodzajów sił zbrojnych. Bierzymy również pod uwagę bardzo dobrą sytuację na rynku pracy. Zrobimy wszystko, by utrzymać zainteresowanie służbą w WOT, a także utrzymać na obecnym poziomie liczbę odejść ze służby.

Co sprawia, że jest tak duże zainteresowanie służbą w WOT?

Zakładaliśmy, że wielu młodych ludzi wykorzysta WOT jako drogę do służby zawodowej, ale tylko co piąty terytorials jest nią zainteresowany. To i tak sporo, bo docelowo oznacza to niemal 5 tys. potencjalnych żołnierzy zawodowych – to spore zasilenie innych rodzajów sił zbrojnych. Za największy nasz atut uznaje się to, że można pogodzić życie zawodowe i rodzinne ze służbą w wojsku. Terytorials wskazują również inne powody wstąpienia do służby: chęć zdobycia nowych kwalifikacji i możliwość rozwoju osobistego. Dużą rolę odgrywają również pobudki patriotyczne. Nasi żołnierze zwracają też uwagę na terytorialność służby. Są bardzo związani ze swoimi małymi ojczyznami i chcą służyć lokalnej społeczności.

Budując zdolności WOT-u, współpracujemy m.in. z Gwardią Narodową USA. Nasze formacje wiele dzieli,

ale łączy forma służby i w dużej mierze system szkolenia. Nasi towarzysze broni zza oceanu zwracają uwagę na stosunkowo skromny pakiet bonusów materialnych zachęających do służby. Chociaż czynnik finansowy jest wskazywany przez terytorialsów jako marginalny, zamierzamy przenieść na polski grunt kilka rozwiązań z USA, zwłaszcza tych premiujących pracodawców naszych żołnierzy.

Gdy rozmawialiśmy ponad rok temu, pytałam Pana o to, kim będzie żołnierz WOT-u. Dziś powinnam zapytać: kim jest przeciętny terytorials?

Zacytuję statystyki: co trzeci żołnierz ma wyższe wykształcenie, a co piąty jest w trakcie studiów wyższych. Co dziesiąty jest bezrobotny – choć do tej grupy wliczamy także uczniów ostatnich klas szkół średnich. Co dziesiąty żołnierz jest kobietą, a średnia wieku wynosi około 31 lat. Większość ma wykształcenie techniczne, mamy też ludzi wykonujących dobrze płatne zawody, np. prawników i lekarzy. Terytorials to ludzie świadomi, czyli dokładnie takie, jakich potrzebowaliśmy.

Czyli WOT tworzą sami intelektualiści?

Oczywiście, że nie. Mamy też żołnierzy z wykształceniem gimnazjalnym i zawodowym, ale wskaźnik osób z wyższym wykształceniem zaskoczył nie tylko nas – jest najwyższy w tego typu formacjach na świecie. Wszystkich łączy jedno: to ludzie, którzy chcą się rozwijać. Różnorodność tej formacji stanowi jednocześnie jej siłę.

Terytoriasi przeszli już „szesnastki”, czyli szkolenia szesnastodniowe i ćwiczenia weekendowe. Jakie wnioski dowództwo wyciągnęło z pierwszych treningów?

Wniosków jest dużo i nie wszystkie są pozytywne. Pracujemy nad zmianami w programach strzelań. Zbiór nowych strzelań powinien lepiej oddawać taktykę walki lekkiej piechoty. Nasi żołnierze mają dużo zajęć ogniowych, ale ich treningi powinny nie tylko utrzymywać nawyki, lecz także rozwijać umiejętności w dziedzinie użycia broni nie tyle schematycznego, ile kontekstowego. Zmodyfikujemy również system zabezpieczenia szkolenia fizycznego żołnierzy terytorialnej służby wojskowej, a także wprowadzimy pewne zmiany do szkolenia medycznego.

Wyzwaniem jest utrzymanie jednolitego standardu szkoleniowego dla wszystkich kompanii lekkiej piechoty. Instruktorzy WOT-u i kadra dowódcza to żołnierze niemal wszystkich formacji. Za ich przygotowanie metodyczne w dużej mierze odpowiadają mobilne zespoły szkoleniowe. Mamy sprawdzone metody kształcenia. Proszę pamiętać, że przećwiczyliśmy je już na misjach w Iraku i Afganistanie, gdzie uczyliśmy lokalne siły. Nasza wiedza to suma



doświadczeń ze wsparcia wojskowego, którego przez lata udzielały polskie wojska specjalne.

Jakich jeszcze zmian możemy się spodziewać?

Do tych większych, które szykują się w 2018 roku, mogę zaliczyć wdrożenie programu instruktorskiego dla żołnierzy terytorialnej służby wojskowej. Ludzi o określonych kompetencjach będziemy angażować w szkolenie innych żołnierzy w różnych dziedzinach, np. z medycyny, informatyki, wspinaczki czy choćby wychowania fizycznego. Powoli też przygotowujemy się do najbardziej radykalnej zmiany, która związana jest z kompletnym przemodelowaniem szkolenia. Wejdzie ona w życie za trzy lata, kiedy zakończymy etap budowy formacji. Wtedy też uruchomimy dziewięcioletniowy kurs lekkiej piechoty. Każdy żołnierz WOT-u, który do służby trafi po 2020 roku, będzie musiał ukończyć takie szkolenie w trybie stacjonarnym.

Zgodnie z założeniami formowanie WOT-u podzielono na cztery etapy. Najpierw powstały brygady w Białymstoku, Lublinie i Rzeszowie, potem kolejno w województwach mazowieckim i warmińsko-mazurskim. Teraz wchodzimy w trzeci etap?

Będą utworzone brygady w województwach: pomorskim, kujawsko-pomorskim, łódzkim, świętokrzyskim i małopolskim. Zgodnie z decyzją ministra obrony narodowej trzeci etap budowy WOT-u zostanie poszerzony o sformowanie brygad i batalionów w województwach śląskim i wielkopolskim. Ostatni, czwarty etap jest przewidziany na początek 2019 roku. Wówczas rozpocznie się tworzenie pododdziałów na zachodzie Polski, w województwach opolskim, dolnośląskim, lubuskim i zachodniopomorskim. Na początku 2018 roku poznamy nazwiska siedmiu nowych dowódców brygad.

Minister zdecydował o utworzeniu w Siedlcach Centrum Szkolenia WOT. Co się kryje pod tą nazwą?

Powstaną tam szkoła podoficerska i ośrodek szkolenia. Prowadzone będą kursy podoficerskie dla żołnierzy zawodowych i terytorialnej służby wojskowej, a także kursy dla kandydatów na szeregowych zawodowych i specjalistyczne. W skład Centrum wejdą też dwa specjalistyczne ośrodki. Jeden w Nowym Mieście nad Pilicą, gdzie będziemy szkolić terytorialsów do współpracy z siłami powietrznymi i wojskami specjalnymi. Nauczą się naprowadzania zrzu-

Mamy sprawdzone metody szkoleniowe. Przećwiczyliśmy je już na misjach w Iraku i Afganistanie, gdzie uczyliśmy lokalne siły

tów zaopatrzenia, desantów i organizacji lądowisk. Zadania drugiego ośrodka będą związane ze szkoleniami w wybranych specjalnościach wojskowych. Jego lokalizacja zostanie wskazana w 2018 roku.

W listopadzie na dwóch uczelniach wojskowych kurs oficerski rozpoczęli szeregowi terytorialnej służby wojskowej. W 13 miesięcy mają zostać podporucznikami.

To tzw. projekt „Agrykola”, który opracowaliśmy wspólnie z Departamentem Nauki i Szkolnictwa Wojskowego MON. 96 żołnierzy rozpoczęło trzynastomiesięczny kurs oficerski w Akademii Wojsk Lądowych i Wojskowej Akademii Technicznej. W strukturze WOT-u, w ramach terytorialnej służby wojskowej, mamy etaty dla szeregowych, podoficerów i oficerów. Studia na wojskowych uczelniach są niezbędne, by zasilać korpus oficerów tego rodzaju wojsk. W październiku 2018 roku otwieramy kolejny turnus kursu oficerskiego. Będzie miał cztery etapy zorganizowane w ciągu 13 miesięcy w trybie stacjonarnym i niestacjonarnym. Podchorążowie na zajęciach spędzą około 600 godzin, będą się kształcić w uczelniach wojskowych, centrach szkolenia i jednostkach WOT-u. Na koniec, gdy zdadzą egzamin oficerski, już jako podporucznicy obejmą stanowiska dowódców plutonów w swoich batalionach.

Żołnierz WOT-u będzie się posługiwał nowoczesnym wyposażeniem i uzbrojeniem. Dużo mówiliśmy o karabinkach Grot, a niedawno Ministerstwo Obrony Narodowej poinformowało o zakupie dronów uderzeniowych. Czy w najbliższym czasie do żołnierzy WOT-u trafi jeszcze jakiś nowy sprzęt?

Mamy nadzieję, że polski przemysł zbrojeniowy zaopiekuje nam karabinek samopowtarzalny 7.62, który będzie podstawową bronią dla naszych strzelców wyborowych w sekcjach lekkiej piechoty. Oprócz tego poszukujemy nowego lekkiego moździerza kalibru 60 mm – przekazaliśmy do przemysłu nasze oczekiwania w tej dziedzinie. Mam nadzieję, że rodzima zbrojeniówka już niedługo zaproponuje nam odpowiednie rozwiązanie. Poza tym wprowadzimy bardzo dużo zmian w wyposażeniu indywidualnym żołnierzy, również związanym z profilami kompanii, do których przynależą. ■

Gen. bryg. WIESŁAW KUKUŁA jest dowódcą wojsk obrony terytorialnej.

SZER. EDYTA ŁUCZAJ



Data i miejsce urodzenia:

28 czerwca 1995 roku, Łapy,
woj. podlaskie.

Tradycje

wojskowe:

w wojsku
służyli mój tata
i dziadek.

W wojsku służy od:

6 maja 2017 roku.

Zajmowane

stanowisko:

ratownik w 11 Batalionie
Lekkiej Piechoty
1 Podlaskiej Brygady
Obrony Terytorialnej
w Białymstoku.

ZOSTAŁAM ŻOŁNIERZEM, BO:

chcę jako terytorials bronić swojej ojczyzny, zwłaszcza rodziny, bliskich i swojej miejscowości. Właśnie to wzbudziło we mnie chęć wstąpienia do wojsk obrony terytorialnej.

W WOT NAJBARDZIEJ CENIE SOBIE:

możliwość połączenia służby z życiem prywatnym, dyscyplinę, wzajemne motywowanie i nowe wyzwania.

EDUKACJA WOJSKOWA:

obecnie kurs oficerski dla żołnierzy terytorialnej służby wojskowej w Akademii Wojsk Lądowych we Wrocławiu.

NAJLEPSZA BRON:

wiedza żołnierza oraz hart ducha.

PRZĘŁOMOWE WYDARZENIE W ŻYCIU:

rozpoczęcie treningów judo, które ukształtowały mój charakter, i wstąpienie w szeregi wojsk obrony terytorialnej.



**NAJWIĘKSZE OSIĄGNIĘCIE:
KILKUKROTNE PODIUM
NA MISTRZOSTWACH POLSKI
W JUDO**

HOBBY:



sport



sztuki walki



film



podróże



OPRAC. MAGDALENA KOWALSKA - SENDEK
FOT. WIESŁAW BORSUK

MICHAŁ ZIELIŃSKI

ZA LINIĄ WROGA

Brak pożywienia, ekstremalnie trudne warunki atmosferyczne oraz pościg wojsk przeciwnika. Takim wyzwaniom stawiają czoła nie tylko specjaliści.

MICHAŁ ZIELIŃSKI

S pomiędzy gałęzi pozbawionych liści wyłania się zamaskowana postać. Niespiesznie zmierza w kierunku samochodu terenowego, przy którym dwóch postawnych mężczyzn dopala papierosy. Po raz ostatni mocno się zaciągają i wychodzą przybyszowi naprzeciw. „Strasznie dużo lisów płacze się teraz po lesie. Są pośród nich jakieś wściekłe?”, zagaduje obcy. Mężczyźni wymieniają się porozumiewawczymi spojrzeniami. „Nie widzieliśmy, ale doszły do nas słuchy, że trzeba uważać na niedźwiedzie. Dobrze cię widzieć. Jak droga, daje w kość?”.

Nieformalna rozmowa okazała się wymianą hasel, po której grupa nabiera luzu. Chwilę później dołącza do nich kolejna trójka, tym razem z plecakami, bronią i pomalowanymi twarzami. Wszyscy spoglądają wyczekująco na

mężczyzn od terenówki. Ci postępują zgodnie z instrukcjami: „Panowie, zostawiamy plecaki przy drodze i ustawiamy się w szeregu. Fire test!”.

Żołnierze szybko wyciągają z mundurów przygotowaną wcześniej podpałkę oraz krzesiwo. Kilkanaście sekund później powstają niewielkie ogniska, na których umieszczono menażki z wodą. Rozpalenie ognia nie powinno zająć więcej niż pięć minut. Przy odpowiedniej ilości suchego opału oraz wzmocnionym dopływie tlenu woda zaczyna się gotować w ciągu kwadransa. Ci, którzy nie zmieszczą się w wyznaczonym limicie, obleją sprawdzian. Grupa wykonuje zadanie i na długo przed upływem czasu przelewa zagotowaną wodę do manierek oraz dokładnie maskuje niedopalone gałązki. Trudno stwierdzić, w którym momencie żołnierze znikają w gęstwinie, a dwaj męż-



Wbrew stereotypom umiejętność przetrwania nie jest domeną tylko komandosów. Pododdziały rozpoznawcze także wykonują działania na terenie zajęтым przez przeciwnika, a na polu walki żołnierze każdej jednostki liniowej mogą się znaleźć w okrazeniu.

czyżni jak gdyby nigdy nic odpalają po kolejnym papierosie.

SURVIVAL W PIGUŁCE

Opisana sytuacja to element szkolenia SERE (Survival, Evasion, Resistance, Escape) poziomu B. Na pięciodniowym kursie organizowanym w Pogórze Przemyskim żołnierze uczą się najbardziej przydatnych technik survivalu – jak przetrwać w niesprzyjających warunkach pogodowych, rozpałić ogień za pomocą krzesiwa oraz zbudować schronienie. Naukę podsumowują dwudniowe zajęcia praktyczne, które nie tylko weryfikują wymienione umiejętności, lecz także wymagają nieustannego unikania

grupy pościgowej. Ma to zmobilizować uczestników do pozostawania z dala od dróg i siedisk ludzkich.

„Kurs SERE jest prowadzony w celu nauczania procedur, które musi znać personel znajdujący się w izolacji od własnych wojsk. Może się tak zdarzyć praktycznie w każdej sytuacji – czy to na terenie kraju, czy podczas misji. Standardowy cykl szkolenia przygotowuje żołnierzy do survivalu. My jednak podajemy tę wiedzę w pigułce, z zachowaniem najwyższego stopnia realności. W trakcie części praktycznej kursanci przez cały czas zmagają się z zimą oraz wszechobecną wilgocią. Jeżeli nie przygotowują prawidłowo obozowisk oraz nie będą ze sobą



współpracować, nie dadzą rady dotrwać do końca”, tłumaczy st. sierż. Piotr Ulicki z 21 Brygady Strzelców Podhalańskich. Zaznacza jednak, że tylko na granicy wycieńczenia można poznać limity swojego organizmu oraz siłę psychiki. Testując ją w kontrolowany sposób, będziemy mogli świadomie korzystać z własnych zasobów w razie realnego zagrożenia.

Tego rodzaju kursy są prowadzone na trzech poziomach zaawansowania. Pierwszy obejmuje wyłącznie teorię. SERE poziomu B to już kilkudziesięciogodzinny cykl zajęć praktycznych. Żołnierze muszą przetrwać w odosobnieniu aż dziewięć dób, a ich zmagania kończą się epizodem symulującym pojmanie przez wroga. Znaczne zmęczenie oraz przygotowanie do roli instruktorzy potrafią złamać nawet najtwardszego człowieka.

Od uczestników drugiego i trzeciego poziomu wymaga się nie tylko sprawności fizycznej. Muszą także skompletować odpowiedni ekwipunek, a raczej zrezygnować z niektórych elementów wyposażenia. Na czarnej liście, oprócz zapalek, znajdują się spiwory oraz nieregulaminowa odzież. Nocą można się ogrzać za pomocą odpowiednio zbudowanego obozowiska i ognia, a nie puchowych kurtek.

„Zimą musimy pamiętać o ochronie od wiatru oraz izolacji od wilgoci z podłoża. Na początek zamykamy obozowisko z jak największej liczby stron. Idealnie jest, kiedy trzy lub cztery schronienia tworzą krąg. Dzięki temu ciepło bijące od ogniska ekranuje, czyli pozostaje wewnątrz obozu, zamiast rozchodzić się na boki. W lecie możemy przetrwać noc bez ognia, ale na pewno przyda się nam on do uzdatniania wody czy odstraszania dzikiej zwierzyny”.

Według st. sierż. Ulickiego survival w równym stopniu zależy od umiejętności bytowania, jak i skutecznego przemieszczania się.

SZTUKA RATOWANIA

Żołnierze biorący udział w szkoleniu kierują się do punktu podjęcia, wyznaczając trasę na azymut. W nocy lub gęstej mgle, zwłaszcza na terenie, który jest całkowicie obcy, może to spowodować wiele problemów. Rozwiązaniem jest sposób nawigacji, polegający na wysłaniu jednego żołnierza na odle-



MICHAŁ ZIELIŃSKI

KURSY PROWADZONE SĄ NA TRZECZ POZIOMACH ZAAWANSOWANIA. PIERWSZY OBEJMUJE WYŁĄCZNIE TEORIĘ. **SERE** POZIOMU B TO JUŻ KILKUDZIESIĘCIOGODZINNY CYKL ZAJĘĆ PRAKTYCZNYCH

głość kilkudziesięciu metrów, by wskazywał azymut. Gdy ustalimy nasze położenie, udajemy się w jego stronę i powtarzamy tę czynność, aż dojdziemy do celu.

Umiejętność przetrwania w odosobnieniu to także wiedza ratownicza i medyczna. Dlatego żołnierze po rozpaleniu ognia i przygotowaniu posiłku przystępują do uzdatniania wody pozyskanej z pobliskiego strumienia. W forsującym marszu oraz z powodu zmiennej pogody zapotrzebowanie na płyny u dorosłego mężczyzny może sięgać nawet 6 l na dobę. Jeśli się

o tym zapomni, łatwo może dojść do odwodnienia organizmu, a w następstwie – osłabienia, które uniemożliwi wykonywanie zadania. Woda pitna to jednak nie wszystko.

„Na szkoleniu w ciągu dnia jest ciepło, po chwili pada deszcz lub zaczyna wiać silny wiatr. Wiezorami łapie mróz. Organizm człowieka może się przystosować do różnych warunków, ale trzeba mu w tym pomóc. Najważniejszy jest odpowiedni ubiór, a przede wszystkim dbanie o to, by odzież i obuwie były suche. Zarówno w czasie mrozu, jak i upału, a także w trakcie wzmożonej aktywności fizycznej będziemy się momentalnie pocić. Dlatego jednym z głównych zadań podczas bytowania jest osuszanie”, twierdzi plut. Tomasz Bąk, dowódca grupy ewakuacji medycznej w 5 Batalionie Strzelców Podhalańskich. Na szkoleniach SERE jego rolą jest zabezpieczanie ćwiczących żołnierzy oraz pilnowanie ich stanu zdrowia. Zapytany o największe niebezpieczeństwo w sytuacji odosobnienia, wskazuje na hipotermię.

Ta przypadłość najczęściej atakuje niezauważona. Objawy są bardzo indywidualne, występują z różnym nasileniem, ale jeśli się nie zareaguje na czas, może to doprowadzić do śmierci. Pierwszym z nich są po prostu dreszcze, biała skóra i obniżona temperatura. Wkrótce spada poziom percepcji, a co się z tym wiąże – logicznego myślenia. Osoba cierpiąca na hipotermię zaczyna reagować wolniej, wydaje się ospała lub otepiała. „Przy wyziębieniu krew się centralizuje, ponieważ priorytetem dla organizmu jest utrzymanie ciepła w najważniejszych organach. Jest to jedna z głównych przyczyn odmrożenia kończyn. Pozostałe reakcje są nieswoiste i często samodzielnie ich nie wykryjemy. Mogą to być zawroty głowy lub omdlenia. Widziałem jednak sytuacje, w których żołnierz cały czas prowadził zajęcia, aż nagle stracił przytomność. Nikt wcześniej nie zauważył, że dzieje się z nim coś złego”, wspomina plut. Bąk. Podkreśla równocześnie, że w takich sytuacjach najważniejsze jest niezwłoczne ogrzanie organizmu. Trzeba jednak pamiętać, że na nic się zda ciepło ogniska czy dodatkowe okrycie, jeżeli osoba cierpiąca na hipotermię pozostaje w przemoczonych ubraniach.

Zagrożeniem mogą być również urazy, od zwykłych obtarć po rozcięcia czy złamania. W teorii każdy żołnierz dysponuje apteczką lub chociaż opatrunkiem osobistym. Jeśli jednak ich nie ma, trzeba improwizować. Za opatrunek uciskowy mogą posłużyć np. kawałek materiału i odpowiednio umocowany patyk. Ratownik podkreśla jednak, że niezależnie od sytuacji, najważniejsze jest zapewnienie sobie bezpieczeństwa. W lesie nawet niewielka gałąź może nam zrobić krzywdę. Jeżeli nie będziemy o tym myśleć, możemy nie tylko przeszkodzić innym w wykonaniu zadania, lecz także narazić ich zdrowie lub życie.

Przez radiostację żołnierze otrzymują instrukcje naprowadzające ich na miejsce podjęcia. Po kilkudziesięciokilometrowym przedzieraniu się przez gęstwiny lasu, dwóch mroźnych nocach i nieustannym unikaniu grupy pościgowej wreszcie mogą zostać przejęci przez własne siły. Gdy stawia się na określonych pozycjach i wykonają umówione znaki, pojawia się dwóch mężczyzn. Należy założyć, że podejmowana grupa może być tak naprawdę wrogiem pododdziałem, który uzyskał dostęp do tajnych procedur. Dlatego zespół ratunkowy podchodzi do swojego zadania z dużym dystansem i weryfikuje tożsamość ocalonych.

TECHNIKA PRZEŻYCIA

Płk Marcin Dusza, dowódca 5 Batalionu Strzelców Podhalańskich, podkreśla, że wbrew stereotypom umiejętność przetrwania nie jest domeną tylko komandosów. Pododdziały rozpoznawcze także wykonują działania na terenie zajęтым przez przeciwnika, a na polu walki żołnierze każdej jednostki liniowej mogą znaleźć się w okrążeniu. Ich przetrwanie będzie wówczas zależało nie tylko od działań bojowych, dlatego w interesie dowódcy jest dopilnowanie, by umieli sobie poradzić, gdy zostaną pozbawieni chociażby dostaw zaopatrzenia. „Mamy wrodzony instynkt przetrwania, ale sam instynkt nie wystarczy”, twierdzi podpułkownik. „Nowe wyzwania oraz zagrożenia powodują, że musimy umieć działać na polu walki w każdych warunkach i o każdej porze roku. Jednocześnie w naszej strefie klimatycznej wykonywanie zadań w górach jest najtrudniejsze, a Bieszczady są idealnym miejscem na takie szkolenia. Jest to bardzo trudny teren, który nie wybacza błędów, co powoduje, że szkolenie jest bardzo realistyczne i daje żołnierzowi obraz tego, z czym może się spotkać w przyszłości”.

W trakcie prowadzenia kursów SERE podhalańscy korzystają z doświadczenia lokalnych oddziałów Straży Granicznej. Umiejętności i wiedza zdobyte podczas tropienia grup przemytniczych czy nielegalnych imigrantów są adaptowane w dwojaki sposób – z jednej strony żołnierze podpatrują techniki unikania pościgu, z drugiej muszą stawić czoła psom tropiącym, bezzałogowcom, a nawet śmigłowcom, które mogą być wykorzystywane w czasie obławy. W ramach szkolenia przekazuje się również wiedzę instruktorów zdobytą podczas współpracy z państwami natowskimi. Płk Marcin Dusza tłumaczy, że kursy przechodzą żołnierze każdego stopnia: „Survival to szuka improwizacji. Nie da się wszystkiego przewidzieć, ale dzięki ugruntowanej wiedzy i dobrej kondycji jest dużo łatwiej. Jeżeli żołnierz będzie świadom zagrożeń, a jednocześnie pozostanie kreatywny, to nawet w zaskoczeniu zacznie działać jak automat”.

EWA KORSAK
MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Jak zniknąć w mieście?

Jak przetrwać na terenie kontrolowanym przez przeciwnika i jak postępować podczas przesłuchania? Tego uczyli się żołnierze wojsk specjalnych w USA. Tylko kilku polskich komandosów ukończyło szkolenie SERE na tym poziomie.



MIASTO
to specyficzne
pole walki. Żeby
przeżyć, trzeba
jak najlepiej
poznać wrogi
teren.

To szczególny temat, dlatego musicie być ostrożne. Dla bezpieczeństwa żołnierzy trzeba się kierować zasadą: im mniej o SERE, tym lepiej”, taką radę mieli dla nas wszyscy rozmówcy. Tekst powstał więc w ścisłej współpracy z jego bohaterami oraz Dowództwem Komponentu Wojsk Specjalnych. Nie zawiera informacji, które mogłyby w jakikolwiek sposób wpłynąć na bezpieczeństwo żołnierzy.

Od początku wiedzieliśmy, że kurs, w którym wzięli udział specjalsi, nie miał nic wspólnego ze zwykłą szkołą przetrwania, opisywaną

przez nas kilka razy na łamach „Polski Zbrojnej”. Komandosi nie uczyli się, jak rozpaść ognisko w śniegu albo przetrwać kilka tygodni w górach. W Stanach Zjednoczonych żołnierze jednostek specjalnych dowiadawali się, jak... przeżyć w mieście i dać się ewakuować przez wojska własne.

MIEJSKIE MANEWRY

W dwutysięcznym mieście w stanie Waszyngton na zachodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych, w jego różnych częściach późnym popołudniem z kilku furgonetek wysiadali sześciu mężczyzn. Wszyscy są jednakowo ubrani, nie mają nakryć głowy ani plecaków. Nie wiedzą, gdzie są, bo przez ostatnie kilkanaście minut podróżowali z zasłoniętymi oczami. Na ulicy zostają sami, ale doskonale wiedzą, co mają robić. Do tego zadania przygotowywali się niespełna dwa tygodnie.

„Scenariusz takich działań może być dowolny. Możemy przyjąć, że operujemy na terenie kontrolowanym przez przeciwnika, musimy więc pozostać niezauważeni do czasu, aż odzyskają nas siły własne lub sojusznicy. Trzeba przy tym pamiętać, że możemy być tropieni, podsłuchiwani i w każdym momencie schwytani”, mówi instruktor SERE z jednostki wojsk specjalnych.

Specjaliści szybko orientują się w terenie, choć nie mają ze sobą żadnych map ani kompasów. „Działanie w mieście musi być wcześniej przygotowane. Teren powinien być rozpoznany przez nasze siły, tak by chociaż wyznaczyć miejsce podebrania żołnierza. Otoczenie może się zmieniać, ale zasady działania są zawsze takie same”, opowiada instruktor wojsk specjalnych. Żeby dobrze wypełnić swoją misję, każdy wcześniej nauczył się na pamięć charakterystycznych punktów metropolii. „To sprawia, że gdy zdejmę sobie opaskę z oczu w dowolnym punkcie miasta, będę wiedział, gdzie mam dalej iść. Wiedza i szybka orientacja w terenie mogą uratować życie”, dodaje.

Sześciu polskich żołnierzy w kilkadziesiąt godzin ma pokonać mierzącą ponad 40 km trasę, by o wyznaczonej godzinie znaleźć się w miejscu, gdzie zostaną podjęci przez swoich.

To jednak nie jest zwykły marsz po mieście: specjaliści mają pozostać niezauważeni dla postronnych osób. „Mamy na sobie ubiór, który nas mocno wyróżnia. Dlatego pierwsze co trzeba zrobić, to się przebrać. Grzebiemy więc w śmietnikach i szukamy starych rzeczy; nieważne, że cuchną i są brudne”, opowiada instruktor. Jemu się udało, bo znalazł czyste ubranie. „Przed jednym z domów zobaczyłem »wystawkę«. Właściciele poukładali niepotrzebne

rzeczy, w tym odzież. Ci, którzy nie mieli tyle szczęścia, musieli wejść do rzeki i zabrudzić spodnie błotem”, wspomina.

Żołnierze kilkakrotnie zmieniali swój wygląd podczas wielogodzinnego marszu. Szukali nakryć głowy, zakładali na siebie koce, a pod ubranie wkładali stare szmaty lub znalezione poduszki, by wyglądać na cięższych. Musieli też pamiętać, by nie poruszać się zbyt szybko. „Nie mogliśmy wyglądać na żołnierzy. Trzeba było udawać na przykład, że ktoś kuleje. Nie mogliśmy dać się nikomu zapamiętać”, opowiada jeden z kursantów.

Podczas zadania żołnierze byli bacznie obserwowani

przez instruktorów – jeśli poruszali się zbyt szybko lub zbyt wolno, od razu dostawali od nich sygnał. Musieli też bezwzględnie przestrzegać kilku reguł: mogli działać tylko w pojedynkę, a gdy przypadkiem się spotkali, nie rozmawiali ze sobą. Był też całkowity zakaz kontaktowania się z osobami cywilnymi i wchodzenia na teren prywatny czy do budynku użyteczności publicznej.

Nie wchodziło też w grę łamanie prawa.

„Nie mogliśmy kraść jedzenia, więc szukaliśmy go po śmietnikach. Mnie udało się znaleźć skrzynkę z gruszkami. Sześć owoców wystarczyło mi na całą dobę”, wspomina żołnierz. Specjaliści przyznają, że nie mieli żadnych oporów, by grzebać w śmietnikach. „Mielśmy osiągnąć cel, więc takie przeszkody się nie liczyły. Szybko zaczęliśmy przypominać bezdomnych, których w dużych amerykańskich miastach nie brakuje, więc zachowywaliśmy się tak jak oni”, mówi instruktor.

Ostatecznie każdy z wojskowych zameldował się w miejscu podebrania. „Byliśmy zmęczeni, bo kilkadziesiąt kilometrów skrytego poruszania się to jak maraton w górach. Działania w środowisku zurbanizowanym są bardzo trudne i wymagają naprawdę mocnej psychiki. Operujemy wśród ludzi, co jest dla nas realnym zagrożeniem. Musimy mieć świadomość, że cały czas jesteśmy narażeni na zdemaskowanie. Jeden błąd, niewłaściwe zachowanie czy gest, nieznajomość lokalnej kultury i zwyczajów mogą wiele kosztować”, mówi komandos. Żołnierz od 22 lat służy w wojskach specjalnych i ma na swoim koncie cztery misje bojowe, m.in. w Iraku i Afganistanie. Wspomina, że podczas kursu w USA największym problemem dla niego były zmiana wizerunku i zdobycie nowych ubrań. „Szukanie jedzenia, wody czy odzieży może wzbudzić czyjeś zainteresowanie, co doprowadzi do zdemaskowania. Miałem taką sytuację, że gdy szukałem jedzenia w śmietniku, zainteresowała się mną pewna kobieta. Obserwowała później, jak odchodziłem, myślałem, że



AMERYKAŃSKA LEKCJA

Polska przygoda z SERE w Stanach Zjednoczonych rozpoczęła się dwa lata temu. Amerykanie zgodzili się bowiem, by Polacy jako pierwsi od wielu lat obcokrajowcy wzięli udział w sześciomiesięcznym kursie. Był on podzielony na kilka faz i w większości odbywał się w stanie Waszyngton, gdzie żołnierze mogli się uczyć w różnych warunkach terenowych –

od pustyni po ocean. Ćwiczyli np. techniki linowe, budowali wyciągi i organizowali ewakuację poszkodowanych. Trenowali także nawigację w lasach i szkolili się z medycyny polowej. Zajęcia odbywały się na wybrzeżu, na otwartym oceanie i w lasach deszczowych. Żołnierzy szkolono także z metodyki nauczania. Później, już jako instruktorzy musieli udowodnić,

Personelem wysokiego ryzyka są m.in. piloci, zwiadowcy, przede wszystkim jednak żołnierze wojsk specjalnych.

że wszystko, czego dotąd się nauczyli, potrafili przekazać kolejnym osobom.

Zaawansowane kursy SERE są przeznaczone dla wybranych żołnierzy, tzw. personelu wysokiego ryzyka, który może być narażony na schwytanie przez przeciwnika lub na izolację (np. nagłe oddzielenie się od swoich wojsk).

zadzzwoni na policję. W realnym działaniu miałbym już wtedy poważne problemy”, opowiada komandos.

UNIKATOWA WIEDZA

Polskich specjalsów zaprosiła do Stanów Zjednoczonych amerykańska agencja specjalizująca się w szkoleniu z odzyskiwania izolowanego personelu. „Wiedza, którą żołnierze zdobyli w USA, jest absolutnie unikatowa. Jestem bardzo dumny, bo według Amerykanów poszło im znakomicie”, mówi st. chor. sztab. Tomasz Świerad, starszy podoficer Dowództwa Komponentu Wojsk Specjalnych. Do USA pojechali doświadczeni żołnierze, instruktorzy SERE, którzy wcześniej za oceanem ukończyli półroczne szkolenie z przetrwania w różnych warunkach klimatycznych. Tam byli pod opieką pracowników rządowej agencji. W tej instytucji pracują byli i obecni wojskowi, agenci służb wywiadowczych i funkcjonariusze innych specjalsów. „Doskonale znają się na robocie. Przesłuchania w ich wykonaniu to majstersztyk. Widać, że to praktycy”, opowiadał jeden ze specjalsów.

Miesięczny kurs za oceanem podzielony został na dwie części: na początek komandosi uczyli się zasad przetrwania w mieście (maskowanie, adaptacja w nowym środowisku, nawigacja i survival), a później technik oporu przeciw wykorzystaniu informacyjnemu. O tej drugiej części kursu nie mogą mówić. „Zaczelismy od zajęć teoretycznych. Kilka lub kilkanaście godzin wykładów i laboratoriów. Na warsztatach zawsze było dwóch instruktorów. Imponowało mi zabezpieczenie zajęć i profesjonalne przygotowanie kadry”, mówi instruktor SERE. „Siłą tego typu szkoleń są instruktorzy, a w tym wypadku pracowaliśmy z fachowca-

mi najwyższej klasy. Metodyka prowadzenia zajęć była perfekcyjna”, uzupełnia inny instruktor. Komandos przyznaje, że zaskoczeniem dla niego było to, że dzięki odpowiednim technikom zapamiętywania szczegółów można stworzyć w głowie bardzo dokładną mapę terenu. „Do dziś mam w głowie szczegółowy plan miasta i pewnie na długo pozostanie on w mojej pamięci”, dodaje.

Żołnierze przyznają, że szkolenia z SERE są szczególnie ważne dla wojsk specjalnych. Operatorzy są traktowani jako personel wysokiego ryzyka, dlatego tak ważne jest, by wiedzieli, co zrobić, by zwiększyć swoje szanse na przetrwanie w niewoli lub na terenie kontrolowanym przez przeciwnika. „Podczas poprzedniego kursu w Stanach Zjednoczonych uczyliśmy się technik przetrwania w dżungli, w terenie morskim, w górach i na pustyni. Teraz poznaliśmy techniki działania w terenie zurbanizowanym. Dla żołnierza wojsk specjalnych to niezwykle cenna lekcja”, wyjaśnia żołnierz.

Dowództwo Komponentu Wojsk Specjalnych planuje organizować w przyszłości podobne kursy w Polsce. „Mamy już kilku perfekcyjnie przygotowanych instruktorów. Dlatego, korzystając z ich wiedzy i umiejętności oraz ze wsparciem sojuszników spróbujemy zorganizować u nas podobne kursy”, mówi chor. Tomasz Świerad z DKWS. Starszy podoficer dowództwa wyjaśnia, że jest to niezbędne, by większa grupa żołnierzy mogła zdobyć nowe umiejętności. „Poza tym musimy szkolić się w Europie. Nasze miasta różnią się od tych w Ameryce, inna jest kultura, inne są obyczaje ludzi, inaczej zachowują się mieszkańcy i działają służby porządkowe. Spróbujemy to szkolenie dopasować do naszych realiów”, dodaje chor. Świerad. ■

Trudno zliczyć projekty, które podczas zagranicznych misji wojskowych zrealizowali cywile. Najczęściej działali w terenie – nieśli pomoc rannym, zajmowali się edukacją miejscowej ludności. Tłumacze towarzyszyli patrolom podczas wyjazdów, a mechanicy naprawiali w bazie sprzęt. Wojsko potrzebowało także logistyków i zaopatrzeniowców. Dzięki ich pracy budowano drogi i oczyszczalnie ścieków, a szkoły i kliniki dostawały nowy sprzęt.

Cywile towarzyszący armii polskiej podczas misji nosili wojskowe mundury i podobnie jak żołnierze byli narażeni na ostrzał z moździerzy czy granatników. Chociaż nie mieli broni i podlegali pod kodeks pracy, musieli się stosować do wszystkich procedur obowiązujących na misji. „Za mało się mówi i pisze o naszej pracy, a przecież misje w Afganistanie i Iraku pokazały, jak dużą rolę w stabilizowaniu sytuacji i odbudowie kraju odgrywają cywile”, uważa dr Edyta Górlicka, która w trakcie dziewięciu półrocznych zmian w Iraku i Afganistanie pracowała jako koordynator pomocy humanitarnej w Centralnej Grupie Wspierania Współpracy Cywilno-Wojskowej. O tym, jak tę pracę docenili Irakijczycy, najlepiej świadczy przedszkole w Diwanii – placówka nazwana została jej imieniem.

INNY ŚWIAT

Edyta Górlicka uważa, że pobyt na misji to nieustanne sprawdzanie siebie. Nowi ludzie, nowe warunki, zadania i problemy. „Byliśmy zaangażowani w wiele projektów. Organizowaliśmy konsultacje lekarskie, pomagaliśmy w dostarczaniu mieszkańcom podstawowych środków higieny osobistej, leków, żywności, wody, wózków inwalidzkich. Dzięki przychylności władz kilku młodych Irakijczyków wyjechało na studia do Polski.

Wysyłaliśmy także irakijskie dzieci na operacje do naszego kraju”, opowiada. Na przykład sześciolatniej Hode Ali, która nie słyszała od urodzenia, lekarze z Międzynarodowego Centrum Leczenia i Rehabilitacji Słuchu w Kajetanach pod Warszawą wszczepili implant ślimakowy.

W Afganistanie Edyta Górlicka była specjalistą w zespole odbudowy prowincji. Brała udział w projektach ekonomicznych oraz związanych z rozwojem i budową administracji. „Pomagaliśmy ludziom, wspieraliśmy rozwój zawodowy kobiet, szkoliliśmy policjantów i strażaków, zajmowaliśmy się projektami rozwojowymi, remontami szkół, budową świetlic, przychodni, zapewnialiśmy mieszkańcom dostęp do wody, opieki medycznej, wymiaru sprawiedliwości czy lokalnych mediów”, wspomina. „Nasza praca nie byłaby możliwa, gdyby jednak żołnierze nie zapewniali nam bezpieczeństwa”, podkreśla Edyta Górlicka.

Nie zawsze było bezpiecznie. Przemysław Kapuściński, z zawodu inżynier środowiska, był członkiem polsko-amerykańskiego zespołu odbudowy prowincji w Ghazni. Wspomina, jak robotnicy pracujący przy budowie oczyszczalni ścieków zostali zaatakowani przez uzbrojoną grupę. „Kierownik tego zespołu przywiózł rannych do bazy Ghazni i prosił o pomoc w ich ratowaniu. Twierdził, że w miejscowym szpitalu zostaną dobiti. Ciężko było przejść procedury związane z wjechaniem tych osób na teren bazy, ale się udało. Najciężej rannego MEDEVAC wywiózł do Bagram, pozostali zostali zaopatrzeni na miejscu”, opowiada. Ten incydent przerwał prace i budowa oczyszczalni została dokończona w kolejnym roku.

Przemysław Kapuściński wspomina też, jak w listopadzie 2010 roku pojechał z patrolami amerykańskimi do dystryktu Nawur. Na miejscu dowiedzieli się, że na wioskę, w której się zatrzymali, zamierzają napaść talibowie. „Hazarowie negocjowali z nimi, ale ostrzegli, że może być gorąco i nas dobroili. Wszyscy, łącznie z cywilami, trzymali nocne warty. Na szczęście Hazarowie odnieśli sukces negocjacyjny i do ataku nie doszło”, opowiada.

MAŁGORZATA
SCHWARZGRUBER

PAMIĄTKI PO POLAKACH

**Bez współpracy cywilów
i wojska trudno byłoby
mówić o powodzeniu
zagranicznych misji.**



EDYTA GÓRLICKA: Pomagaliśmy ludziom, wspieraliśmy rozwój zawodowy kobiet, szkoliliśmy policjantów i strażaków, zajmowaliśmy się remontami szkół, budową świetlic, przychodni, zapewnialiśmy mieszkańcom dostęp do wody, opieki medycznej, wymiaru sprawiedliwości czy lokalnych mediów.



ESKINDER DEBEBE / UN

Szczególnie ważne dla specjalistów CIMIC były remonty i budowa studni, zwłaszcza w miejscach ubogich w wodę w Afganistanie.

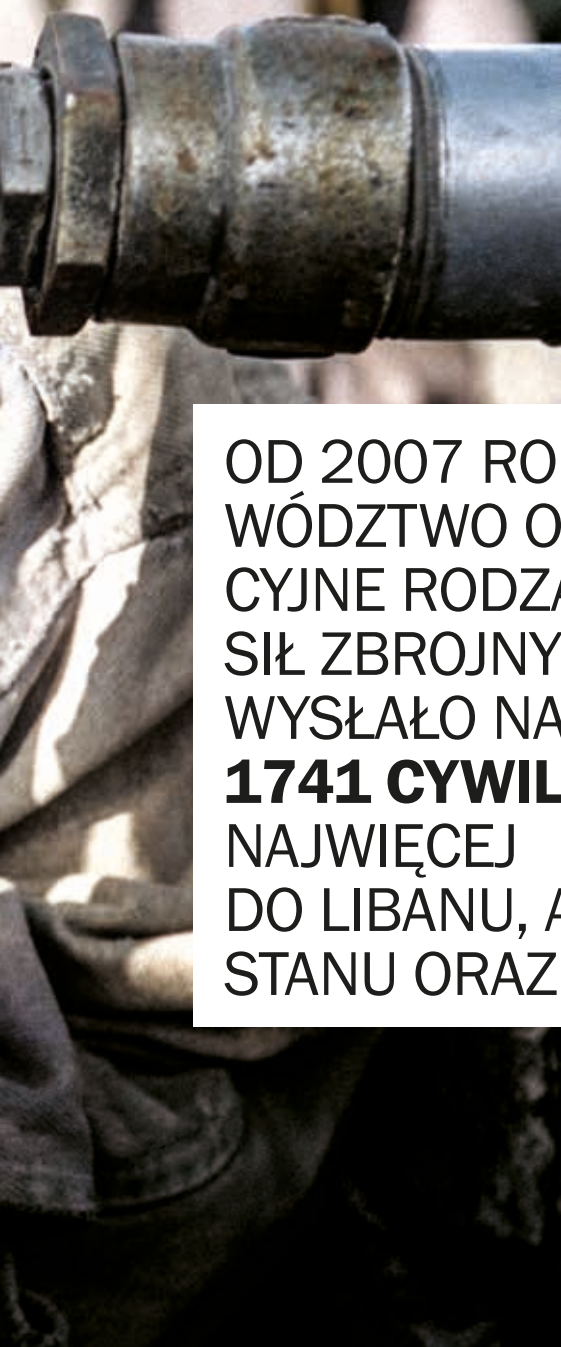
Projekty, którymi podczas czterech zmian PKW w Afganistanie zajmowała się Aleksandra Zamojska, specjalista do spraw kulturowych PRT (provincial reconstruction team), były skierowane głównie do kobiet. „Naszym założeniem była aktywizacja kobiet afgańskich oraz promowanie ich aktywności zawodowej”, tłumaczy. Nie było to łatwe zadanie, gdyż większość była analfaberkami bez zawodu. Z myślą o nich powstała świetlica obok meczetu Mazdżid al-Dżihad w Ghazni, gdzie m.in. uczyły się czytać i pisać, a dzieci miały zapewnioną opiekę.

PROMOCJA PRZEDSIĘBIORCZOŚCI

Sukcesem okazały się kiermasze zorganizowane na terenie polskiej bazy w Ghazni. Afganki przez dwa dni handlowały na tymczasowym bazarze w hangarze Samodzielnej

Grupy Powietrznoszturmowej. Sprzedawały tradycyjne potrawy: lokalny chleb, rodzyнки, migdały czy bolani. Powodzeniem cieszyły się też ręcznie haftowane obrusy, chusty, narzuty i pościel oraz biżuteria. Zarobione pieniądze Afganki mogły przeznaczyć na podreperowanie domowych budżetów. „Promowaliśmy przedsiębiorczość wśród kobiet. Zależało nam na tym, aby uwierzyły w siebie i przełamały strach przed obcymi”, wspomina Aleksandra Zamojska. Większość tych kobiet nadal zajmuje się rzemiosłem i rękodziełem.

„Liczyły się konsekwencja i dar przekonywania”, twierdzi Jacek Matuszak, który jako cywilny specjalista pracował w zespołach zajmujących się współpracą z lokalną ludnością. W Afganistanie zrealizował 11 autorskich projektów, jeden dotyczył rozbudowy elektrowni w Ghazni.



OD 2007 ROKU DOWÓDZTWO OPERACYJNE RODZAJÓW SIŁ ZBROJNYCH WYŚŁAŁO NA MISJE **1741** CYWILÓW, NAJWIĘCEJ DO LIBANU, AFGANISTANU ORAZ IRAKU

Afgański dostawca miał dostarczyć do elektrowni dwa nowe generatory. Jedno urządzenie dotarło do Ghazni, drugie wyleciało na minie podczas transportu. „Musiałem przekonać dostawcę, aby pojechał po kolejny generator. Udało się, ale urządzenie, które przywiózł, nie spełniało wymogów. Po raz drugi musiałem tego człowieka przekonać, aby pojechał po kolejny – czwarty już – generator”, wspomina Jacek Matuszak. Tym razem obyło się bez przygód. Mieszkańcy zyskali dostęp do prądu przez 16 godzin dziennie, wcześniej mieli go przez zaledwie kilka godzin). Jacek Matuszak musiał jeszcze przekonać dostawcę, że zapłatę dostanie tylko za dwa generatory, bo zapisy kontraktu, które zaakceptował, nie mogą być zmienione, a on nie może przekroczyć budżetu. „Takie nieprzewidziane trudności pojawiały się niemal przy każdym projekcie. Potrzeb-

na była determinacja, by przekonać partnerów afgańskich czy iraackich, że robią coś nie tylko dla pieniędzy, ale także po to, by poprawić warunki życia swoich współobywateli”, podkreśla Jacek Matuszek.

OPIEKUN W DOWÓDZTWIE

Od 2007 roku Dowództwo Operacyjne Rodzajów Sił Zbrojnych wysłało na misje 1741 cywilów, najwięcej do Libanu, Afganistanu oraz Iraku. Zaledwie jedna osoba pojechała w 2013 roku do Mali, dwie skierowano do Konga, a trzy do Republiki Środkowoafrykańskiej. Wśród cywilów na misji najwięcej było tłumaczy (300), kierowców (189), pielęgniarzek (152) oraz lekarzy i ratowników medycznych (100 i 101). Byli także archeolog, dwóch ekonomistów, siedmiu farmaceutów, po ośmiu hydraulików i malarzy.

„Cywile z żołnierzami narażali zdrowie i życie podczas wykonywania zadań mandatowych, m.in. patroli czy kontaktów z ludnością i władzami lokalnymi. Wspierali polskich żołnierzy swoją wiedzą i umiejętnościami. Szczególny wkład wnieśli w fazie stabilizacji w misjach w Iraku i Afganistanie. Zadania wykonywali głównie w zespołach CIMIC lub na stanowiskach doradczych. Zostawili po sobie ślad w postaci np. oczyszczalni ścieków, mostów, sieci energetycznych, szpitali i szkół”, mówi gen. dyw. Sławomir Wojciechowski, dowódca operacyjny RSZ.

Wiosną 2012 roku weszła w życie długo oczekiwana ustawa o weteranach działań poza granicami państwa, która objęła żołnierzy i cywilów. Ci, którzy zostali ranni, mogą uzyskać status weterana poszkodowanego i związane z nim uprawnienia. Pozostali mają prawo do statusu weterana, ale ten daje ograniczone przywileje. W DORSZ żołnierzami i cywilami posiadającymi status weterana poszkodowanego opiekuje się Renata Matynia, specjalista ds. rannych i poszkodowanych. Tych pierwszych jest 12 i służą oni w Dowództwie Operacyjnym, drugich – kilkunastu.

Cywilni misjonarze nie mają własnego stowarzyszenia, niektórzy należą do Stowarzyszenia Kombatantów Misji Pokojowych ONZ, inni do Stowarzyszenia Rannych i Poszkodowanych w Misjach poza Granicami Kraju. Większość pozostaje jednak niezrzeszona.

„To była ważna praca”, mówi o swojej działalności na misjach Edyta Górlicka. Jest przekonana, że cywilni specjaliści wspierający wojsko będą armii nadal potrzebni. Ich udział w misjach niejako wymusza profesjonalizacja Sił Zbrojnych RP i ekonomizacja działań wojska. Wspomina, jak na ostatniej zmianie w Iraku uczestniczyła w przekazywaniu mienia miejscowym. „Jeden z kontenerów był oklejony biało-czerwoną flagą. Pomyślałam, żeby ją zerwać, aby nie narażać Irakijczyków. Wtedy jeden z nich powiedział: Nie rób tego, to pamiątka po Polakach, którzy tyle dla nas zrobili”.

KADR

/ ĆWICZENIA

MICHAŁ ZIELIŃSKI

PODCHODY DUCHÓW

Żołnierze z 2 Pułku mają przeprowadzić rozpoznanie na terenie zajęтым przez wrogie siły. W takich warunkach muszą zarówno umiejętnie unikać przeciwnika, jak i skutecznie go zaatakować.





MICHAŁ ZIELIŃSKI

ROZPOZNANIE NAJCZĘŚCIEJ DZIAŁA W UGRUPOWANIU PRZECIWNIKA. NIEWIELKIE ODDZIAŁY MUSZĄ BYĆ WIĘC MOBILNE ORAZ PRZYGOTOWANE NA WSZYSTKIE OKOLICZNOŚCI

Zamaskowane BRDM-y błyskawicznie opuszczają zagajnik i kierują się do wcześniej wybranych sektorów. Z wnętrza wozów wyskakują żołnierze, którzy zajmują pozycje wokół samochodów. „Sokół 43, tu Sokół, wykonaj aligator. Powtarzam, wykonaj aligator”. Niemal równo z trzaskiem radiostacji dudnią pierwsze salwy amatek pokładowych kalibru 14,5 mm. Do rytmicznego huku dołącza charakterystyczny dźwięk wystrzałów karabinu maszynowego UKM oraz karabinków Beryl. Zgodnie z powierzonym zadaniem jeden z plutonów 2 Pułku Rozpoznawczego przystąpił do wykonania kluczowej fazy zasadzki.

Na grudniowym poligonie w Nowej Dębie żołnierze z Hrubieszowa doskonalili się w prowadzeniu ognia z broni pokładowej samochodów opancerzonych BRDM-2 oraz broni strzeleckiej. Ponadto dowódcy sprawdzali umiejętności taktyczne pododdziałów na poziomie plutonu rozpoznawczego oraz kompanii rozpoznawczej. Trening, który odbywał się zarówno w dzień, jak i nocą, był zakończeniem tegorocznego cyklu szkoleniowego 2 Pułku. W trwających dwa tygodnie zajęciach uczestniczyli również żołnierze rezerwy oraz NSR-u.

ZASADZKA, CZYLI OSTATECZNOŚĆ

„Plutony rozpoznawcze z 2 Pułku wykonują zadania w ugrupowaniach przeciwnika. Co się z tym wiąże, nie mogą one być zbyt wielkie, ponieważ ich aktywność byłaby łatwa do namierzenia i zidentyfikowania. W skład tych sił wchodzi kilka samochodów opancerzonych oraz kilkunastu żołnierzy. Zdobywają oni informacje o przeciwniku, terenie bądź warunkach atmosferycznych. Jednym ze sposobów pozyskiwania danych jest także za-

sadzka”, tłumaczy ppłk Wiesław Telacki, zastępca dowódcy 2 Pułku Rozpoznawczego.

Dla żołnierzy rozpoznania zasadzki są ostatecznością i przeprowadza się je wyłącznie w obliczu celów o dużym znaczeniu taktycznym bądź operacyjnym. Mogą to być elementy stanowisk dowodzenia lub inne wchodzące w skład ugrupowania bojowego przeciwnika, wyjątkowo skuteczne względem sojusznicznych wojsk, np. wyrzutnie rakiet. Wykonanie zasadzki nieodłącznie wiąże się ze zdemaskowaniem pozycji, dlatego niezwłocznie po wypełnieniu tego zadania należy zmienić rejon działań. Jednocześnie żołnierze są zdani wyłącznie na siebie, co wymaga szczególnego przygotowania.

CIERPLIWY JAK ŻOŁNIERZ

Na posterunku obserwacyjnym znajduje się trzech wojskowych. Jeden z nich przez lornetkę z uwagą przeczesuje przedpole, po czym szkicuje to, co widział. Do osiągnięcia sukcesu misji znaczenie może mieć najmniejszy detal, dlatego mimo dużej presji, zadanie to należy wykonać z precyzją i bez pośpiechu. Wraz z wykonaniem pierwszej fazy obserwacji, rola żołnierzy się nie kończy. Często muszą jeszcze ocenić straty, które poniósł przeciwnik. „W szkicach zawieramy podejście w rejon zasadzki oraz najbardziej dogodnie wejścia dla grup szturmowych. Po wykonaniu rozpoznania zostaje tutaj także »oko«, które na bieżąco melduje o ewentualnych zmianach. My wycofujemy się do tzw. bramki, czyli punktu zejścia”, wyjaśnia st. kpr. Andrzej Komar.

Kilkaset metrów dalej, na skraju niewielkiej polany trzy wozy BRDM-2 czekają na rozkaz do przeprowadzenia ataku. Niewidoczne na pierwszy rzut oka stanowiska są ubezpieczone



Przed akcją żołnierze rozpoznania wykonują szkic sytuacyjny.



NA POLIGONIE W NOWEJ DĘBIE ŻOŁNIERZE Z HRUBIE-SZOWA DOSKONALILI UMIE-JĘTNOŚCI STRZELECKIE ORAZ TAKTYKĘ



MICHAŁ ZIELIŃSKI (4)

Żołnierze z BRDM 2 czekają na rozkaz do przeprowadzenia ataku. Wymiana ognia może trwać krótko, ale żeby wszystko poszło zgodnie z planem, wymaga wielogodzinnych ćwiczeń.

przez żołnierzy, którzy pilnują, by ich plany nie zostały pokrzyżowane przez niepowołane osoby. Wymiana ognia może trwać kilkadziesiąt sekund, wymaga jednak wielogodzinnych przygotowań.

Według plut. Krzysztofa Szymańskiego, dwie najważniejsze cechy żołnierza służącego w rozpoznaniu to wytrwałość oraz cierpliwość. „Wytrwałość, ponieważ niejednokrotnie obserwacja zajmuje wiele czasu, który trzeba spędzić w bezruchu i w każdych warunkach at-

mosferycznych. Cierpliwość, ponieważ mimo dobrze wykonanej pracy, przeciwnik może się po prostu nie pojawić. Zarazem żołnierz nie może być nadpobudliwy. Musi mieć pewność, że to jest właśnie jego cel”.

Plut. Szymański dodaje, że działanie na terenie opanowanym przez przeciwnika i w odległości kilkudziesięciu kilometrów od własnych wojsk, wymaga dużych umiejętności i odporności psychicznej. Podkreśla jednak, że wszystkie te cechy można wyćwiczyć. ■

Inwestycyjny BOOM

W listopadzie 2017 roku zakończyła się budowa nowego akademika dla Wojskowej Akademii Technicznej w Warszawie.

PIOTR RASZEWSKI

Opisaliśmy już rozbudowę zaplecza szkoleniowego wojskowych uczelni. Teraz pokazujemy, jak rozwija się baza socjalno-bytowa, gdzie powstają nowe akademiki, stołówki czy hotele.

Liderem uczelnianej ofensywy inwestycyjnej jest wrocławska Akademia Wojsk Lądowych, ale sporo dzieje się również w innych wojskowych ośrodkach akademickich. W AWL-u gruntowna modernizacja zaplecza socjalno-bytowego rozpoczęła się w 2016 roku. Wtedy ruszył remont dwóch budynków koszarowych. „Od kilku lat trwa permanentna przebudowa i rozbudowa, a teraz prace jeszcze przyspieszają. Prowadzimy je etapowo, by nie zakłócić procesu dydaktycznego”, wyjaśnia kpt. Marcin Jasnowski, oficer prasowy Akademii Wojsk Lądowych. Kanclerz wrocławskiej uczelni płk dr inż. Grzegorz Stankiewicz dodaje: „Ostatnie lata pokazały, że nasze budynki wymagają poważnych nakładów finansowych. Mało tego, musimy dążyć do budowy nowych obiektów”.

Najważniejszą inwestycją wrocławskiej szkoły jest nowy internat. Ma to być sześciokondygnacyjny budynek na 460 miejsc z pełnym zapleczem socjalno-usługowym, czyli m.in. pomieszczeniami, w których będzie możliwe przechowywanie umundurowania czy jego suszenie. Władze AWL-u chcą, by ten obiekt spełniał nowoczesne standardy. Budynek ma być gotowy i oddany do użytkowania w 2020 roku.

Ważną inwestycją jest również budowa akademickiej stołówki. Uczelnia podpisała już umowę na dokumentację techniczną obiektu. Władze założyły, że optymalna wydajność stołówki to obsługa 2,5 tys. osób.

„To sprawia, że za jednym podejściem będziemy w stanie wyżywić 1250 osób, a nasza stołówka będzie jednym z największych takich obiektów w siłach zbrojnych”, podkreśla kanclerz wrocławskiej uczelni. Stołówka ma być oddana do użytku w 2019 roku.

Wrocławska uczelnia nie tylko buduje, ale również remontuje. Systematycznie są modernizowane internaty, czyli tzw. koszarowce, w których mieszkają podchorążowie. Główny nacisk został po-

GRZEGORZ ROSIŃSKI

łożony na ich odnowienie z użyciem nowoczesnych i energooszczędnych technologii, tym bardziej że czasami chodzi o obiekty nieremontowane od kilkudziesięciu lat. „Co prawda podejmowano tam prace związane np. z przywróceniem drożności wentylacji, wymianą części armatury, okien i dachów, ale nie były to inwestycje kompleksowe, tak jak teraz”, mówi kpt. Marcin Jasnowski. Podobny remont czeka również znajdujący się przy wejściu do uczelni budynek hotelowy, w którym kwaterowane są osoby biorące udział w kursach kwalifikacyjnych i doskonalących lub delegacje zagraniczne. „Najpierw będą modernizowane budynki podchorążych, a dopiero później budynek hotelowy, bo baza noclegowa musi być zapewniona przez cały czas. Nie możemy zatem wyłączyć wszystkich jednocześnie”, przyznaje oficer prasowy AWL-u. Modernizacja wszystkich budynków ma się zakończyć w 2020 roku. Nieco wcześniej, bo w grudniu 2019 roku, zostanie z kolei oddany do użytku obiekt, w którym kiedyś mieściły się kwatera, logistyka uczelni oraz pokoje dla studentów. Teraz cały budynek stanie się kolejnym koszarowcem.

CORAZ WIĘCEJ STUDENTÓW

Ponadto uczelnia poszerza bazę bytową dla słuchaczy kursów kwalifikacyjnych i doskonalących. Opracowano projekt przebudowy budynku przy ul. Żelaznej, a wkrótce zostanie ogłoszony przetarg na jego dostosowanie. Modernizacja skończy się jeszcze w tym roku. Docelowo ma się tu mieścić internat na około 270 osób.

„Ten budynek był w posiadaniu Agencji Mienia Wojskowego i został kupiony przez naszą uczelnię w 2016 roku”, wyjaśnia kpt. Marcin Jasnowski. Remont pochłonie ponad 2 mln zł.

Władze uczelni zaznaczają, że takie inwestycje wynikają z rosnących potrzeb sił zbrojnych, ale także z oczekiwań w stosunku do jakości usług, które Akademia Wojsk Lądowych świadczy dla podchorążych i słuchaczy kursów.

„Każdego roku przyjmujemy większą liczbę studentów wojskowych oraz słuchaczy, więc musimy rozbudowywać naszą infrastrukturę. Ponadto Akademia Wojsk Lądowych chce zostać w przyszłości jedną z wiodących uczelni tego typu w Europie. Dlatego nie możemy pozostawać w tyle za naszymi konkurentami”, przekonuje ppłk dr inż. Grzegorz Stankiewicz.

W listopadzie 2017 roku zakończyła się natomiast budowa nowego akademika dla Wojskowej Akademii Technicznej w Warszawie. Uczelnia musi systematycznie poszerzać bazę bytową, bo z roku na rok rośnie liczba podchorążych, którzy kształcą się w murach uczelni. „W tym roku akademickim studia rozpoczęło 630 podchorążych, w przyszłym ma być ich 750. Nowy akademik zaspokoi nasze potrzeby jedynie w 2018 roku. Później będą już problemy z kwatero-

waniem i albo wstawimy piętrowe łóżka, albo zbudujemy kolejny”, przyznaje mgr inż. Waldemar Grzyb, zastępca szefa Logistyki WAT.

Nowy akademik przy ul. Kocjana ma sześć kondygnacji. Na pięciu z nich są dwuosobowe pokoje mieszkalne z oddzielnym węzłem sanitarnym. Dodatkowo w budynku znalazły się pomieszczenia dla dowódców, sale do ćwiczeń oraz duża świetlica, a przy akademiku powstał parking na 180 aut. Całość pochłonęła ponad 30 mln zł, z czego blisko 23,5 mln zł to dotacja Ministerstwa Obrony Narodowej.

To niejedyna zeszłoroczna inwestycja. W czerwcu 2017 roku zakończyła się gruntowna przebudowa Domu Asystenta, w którym kwaterowani są słuchacze kursów MON-u. Budynek pochodzący z lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia wymagał generalnego remontu. „Teraz wszystkie pokoje gwarantują wysoki standard, poza tym odnowiliśmy korytarze, wymieniliśmy instalację elektryczną, a obiekt dostosowaliśmy do potrzeb osób niepełnosprawnych”, wymienia mgr inż. Waldemar Grzyb.

Przy okazji tych prac wyremontowano kuchnię. Rozbudowa zaplecza żywieniowego to najważniejsze zadanie inwestycyjne warszawskiej uczelni. „Mamy jedną stołówkę wojskową, której od momentu oddania nie remontowano. Kiedyś była nowoczesna, ale w związku ze zwiększeniem naborów trzeba było zacząć żywić podchorążych, korzystając z cateringu”, przyznaje mgr inż. Waldemar Grzyb.

Dlatego uczelnia rozpoczęła adaptację jednego z budynków na potrzeby kuchni i stołówki wojskowej. Co ciekawe, niegdyś pełnił on już tę funkcję. „Mieliśmy aż sześć stołówek, bo uczyło się tu 3,5 tys. podchorążych. Później były one sukcesywnie likwidowane. Budynki zostały zaadaptowane do innych celów, a w tej chwili przywracamy im pierwotne funkcje”, podkreśla zastępca szefa Logistyki WAT. Po przebudowie, która pochłonie około 10 mln zł i w ponad 90% zostanie sfinansowana z dotacji MON-u, liczba podchorążych, którzy będą mogli skorzystać z nowej stołówki, zwiększy się o 1,2 tys. osób. Zakończenie inwestycji planowane jest na listopad.

SZEROKI PLAN

W Akademii Marynarki Wojennej w Gdyni największą zeszłoroczną inwestycją była przebudowa parteru w jednym z domów studenckich, z którego korzystają zawodowi żołnierze szkolący się na kursach specjalistycznych i kwalifikacyjnych. We wcześniej znajdowały się tam stołówka i pomieszczenia gospodarcze. Po remoncie, który kosztował około 3 mln zł, uczelnia wzbogaciła się o 35 pokoi jednoosobowych oraz siedmiu dwuosobowych. Przebudowa jednego z czterech akademików wpisuje się jednak w znacznie szerszy plan działań gdyńskiej Akademii. „Modernizację naszej bazy bytowej rozpoczęliśmy kilka lat temu”,





Budynek dydaktyczny w AWL

MAREK KANTOCH

LIDEREM UCZELNIANEJ SZTAFETY INWESTYCYJNEJ JEST WROCŁAWSKA AKADEMIA WOJSK LĄDOWYCH

mówi kmdr Marek Drygas, szef oddziału zabezpieczenia AMW. „Zaczęliśmy od dostosowania naszych domów studenckich do wymagań bezpieczeństwa przeciwpożarowego. Następnie dokonaliśmy termomodernizacji dwóch domów studenckich, remontowaliśmy węzły sanitarne i zajęliśmy się udogodnieniami estetycznymi”, wyjaśnia kmdr Drygas. W ramach tych prac uczelnia odmalowała większość korytarzy i pokoi. Sztandarową inwestycją była jednak przebudowa wyłączonego od wielu lat z użytkowania dawnego budynku koszarowego na czwarty dom studencki – z 30 pokojami jednoosobowymi i 24 dwuosobowymi.

Akademia Marynarki Wojennej ma 840 miejsc w domach studenckich, co w pełni zaspokaja jej potrzeby. Problemem jest jednak zaplecze żywieniowe, bo stołówka może obsłużyć jedynie 450 osób. „Dlatego planujemy budowę nowego akademika na około 200–250 miejsc z pełnym zapleczem żywieniowym, czyli kuchnią i stołówką na 250 osób”, zaznacza kmdr por. Wojciech Mundt, rzecznik prasowy AMW. Dodatkowe miejsca noclegowe są niezbędne z uwagi na planowane zwiększenie liczby studentów wojskowych. Nowy budynek stanie obok trzech akademików na terenie zamkniętym. Realizacja inwestycji ma potrwać trzy lata i kosztować około 40 mln.

Gdyńska uczelnia przygotowuje się do nieco mniejszych, ale też ważnych prac. W planach jest m.in. termomodernizacja trzeciego akademika oraz remont jego pomieszczeń.

Inwestycje na dużą skalę zaczęły się w Akademii Sztuki Wojennej w 2015 roku. Wtedy do funkcji internatowo-hotelowej przystosowano budynek koszarowy, dzięki czemu uczelnia zyskała 180 miejsc w pokojach jedno- i dwu-



„Od kilku lat trwa permanentna przebudowa i rozbudowa, a teraz prace jeszcze przyspieszają. Prowadzimy je etapowo, by nie zakłócić procesu dydaktycznego”, wyjaśnia kpt. Marcin Jasnowski, oficer prasowy Akademii Wojsk Lądowych.

osobowych. „To była dla nas istotna inwestycja z punktu widzenia poprawy warunków zamieszkania oficerów, którzy przychodzą do nas na kursy, a te trwają od tygodnia do nawet dwóch lat”, wyjaśnia płk dr hab. Dariusz Majchrzak, prorektor ds. wojskowych ASzWoj. „Dzięki tej inwestycji możemy pochwalić się nowoczesną bazą hotelową, a oficerowie mogą mieszkać w estetycznie urządzonej pokojach”, dodaje płk dr hab. Majchrzak.

W ramach poprawy warunków socjalno-bytowych wyremontowano również budynek, który wykorzystywany jest przez kadrę oficerską. Zakres prac był szeroki, począwszy od dostosowania systemów przeciwpożarowych do

obecnych wymagań, aż po wymianę izolacji przyziemia. Wyremontowane zostały również ciągi i piony kanalizacyjne, łazienki, pokoje oraz pozostałe pomieszczenia. Bieżącym modernizacjom poddawane są także inne obiekty ASzWoj. „Są to w większości stare przedwojenne budynki z lat trzydziestych, dlatego muszą być co jakiś czas konserwowane i unowocześniane”, podkreśla dr hab. Majchrzak.

Prorektor zwraca uwagę, że w uczelni opracowano plan rozwoju infrastruktury, obejmujący cały teren ASzWoj. „Chcemy tak rozplanować przestrzeń, aby część wojskowa służyła tylko żołnierzom, a pozostała była wykorzystywana głównie przez studentów cywilnych”, wyjaśnia dr hab. Dariusz Majchrzak i dodaje: „Chcemy, aby cała uczelnia była wizytówką sił zbrojnych, bo bardzo często odbywają się u nas przedsięwzięcia czy uroczystości, w których uczestniczą przedstawiciele władz oraz sił zbrojnych innych państw, a także delegacje z uczelni zagranicznych”.



GOTOWI DO LOTU

EWA KORSAK

Polscy lotnicy spędzili kilka tygodni w Stanach Zjednoczonych, by poznać samolot Gulfstream G550, którym będzie podróżował m.in. prezydent Polski.

Gdy Inspektorat Uzbrojenia MON podpisał w listopadzie 2016 roku umowę na zakup dwóch samolotów dyspozycyjnych dalekiego zasięgu Gulfstream G550 do przewożenia najważniejszych osób w państwie, w 1 Bazie Lotnictwa Transportowego rozpoczęło się rekrutowanie dodatkowego personelu Grupy Działów Lotniczych oraz służby inżynierjno-lotniczej. Potrzebni byli ludzie doświadczeni, ważne też były świetna znajomość języka angielskiego oraz uprawnienia PART – FCL (szczegółowe wymagania dotyczące uprawnień na klasę i typ statku powietrznego). Dowódca jednostki płk pil. Stanisław Kondrat wspomina: „Szukaliśmy najlepszych pilotów w lotnictwie transportowym, mających doświadczenie w lataniu samolotami Hercules albo Boeing C-17 Globemaster w węgierskiej bazie Papa. Minimalna liczba wylatanych godzin? 1500. I takich ludzi znaleźliśmy. Piloci, którzy się do nas zgłosili, szczególnie na stanowiska dowódców załóg, mają powyżej 3300 godzin nalotu na różnych typach statków powietrznych. Do tego doświadczenie w lotach nad terenami objętymi konfliktami i w transatlantycznych, a także w transportowaniu VIP-ów”.

Ostatecznie jednostka skompletowała załogi samolotów G550. W skład każdej z nich wchodzi dwóch pilotów i jedna osoba personelu pokładowego. „Piloci przyszedli do nas z 33 Bazy Lotnictwa Transportowego, 8 Bazy Lotnictwa Transportowego, a także z 42 Bazy Lotnictwa Szkolnego i 44 Bazy Lotnictwa Morskiego Marynarki Wojennej”, mówi płk pil. Kondrat. Dowódca nie ukrywa, że nie wszyscy, którymi była zainteresowana jednostka, zdecydowali się na służbę w Warszawie. „Cóż, służba tutaj jest wymagająca”, kwituje i dodaje, że pilota czekają liczne wyjazdy, czasem wielodniowe, a także przeprowadzka do stolicy. Potencjalnych kandydatów mogła również zniechęcić umowa lojalnościowa. „Wyszkolenie takiego pilota jest bardzo trudne i kosztowne. Nie możemy pozwolić sobie na to,

by w niego zainwestować, a on odejdzie do cywila. Byłaby to wielka strata dla sił zbrojnych”, mówi płk Kondrat.

Pierwsze szkolenie dla załóg samolotu Gulfstream G550 odbyło się w ośrodku treningowym Flight Safety International w Savannah, który ściśle współpracuje z Gulfstream Aerospace. „To było najbardziej intensywne, wyczerpujące i jedno z najlepszych szkoleń, jakie przeszedłem w swoim życiu zawodowym”, mówi jeden z pilotów G550 z 1 Bazy Lotnictwa Transportowego.

W BRZUCHU WIELORYBA

Szkolenie w Stanach Zjednoczonych jako pierwszy przeszedł personel służby inżynierjno-lotniczej, czyli technicy eksploatacji i awioniki. Było ono podzielone na pięciodziesięciodniową część teoretyczną i dwutygodniową praktyczną. „Gulfstream i maszyny, które spotkałem w dotychczasowym życiu zawodowym, dzieli ogromna przepaść technologiczna. Musiałem zatem przyswoić sobie dużo nowej wiedzy”, mówi Marcin, technik zajmujący się G550 w 1 Bazie Lotnictwa Transportowego. „Poznawaliśmy systemy i komponenty, które są w tych samolotach, oraz to, jak zostały ze sobą połączone. Gulfstream naszpikowany jest agregatami, a moim zadaniem jest wiedzieć, gdzie się znajdują, by w przypadku awarii któregoś z nich szybko go naprawić”.

Podczas zajęć teoretycznych korzystano z trzech typów symulatorów. Pierwszy to komputery ze specjalnym oprogramowaniem, które działa jak gra komputerowa. Kolejny to ekrany dotykowe ustawione jak kokpit samolotu. Najbardziej realistyczne szkolenia odbywają się jednak w symulatorach odwzorowujących konkretną

BARTOSZ BERA



wersję Gulfstreama. „Gdy pojawiała się usterka, symulator zachowywał się dokładnie tak jak samolot. Włączał odpowiednie sygnały dźwiękowe i świetlne, uruchamiał alarmy. Naszym zadaniem było wówczas zdiagnozowanie usterki i jej naprawa”, wyjaśnia Marcin.

Kolejne dwa tygodnie kursu to zajęcia praktyczne. „Odbywały się w kadłubie G550”, informuje. Wspomina, że kiedy pierwszy raz zobaczył miejsca, gdzie umieszczone są wszystkie agregaty, poczuł się jak w statku kosmicznym. „Liczba kabli, linek, przewodów i urządzeń naprawę robi wrażenie. Po kursie wiedziałem, gdzie znajdują się najważniejsze elementy, a gdzie te mniej istotne. Dziś ta wiedza na pewno się poszerzyła”, przyznaje Marcin. Dodaje jednak, że zapamiętanie położenia każdego agregatu jest niemożliwe. „Tego jest po prostu za dużo”. Chociaż kurs w Stanach Zjednoczonych skończył się już dawno, technicy wciąż współpracują z instruktorami z USA podczas lotów szkoleniowych. Ich obecność w Polsce przez pierwsze miesiące eksploatacji samolotu, podobnie jak szkolenie Polaków w USA, gwarantuje umowa podpisana z Gulfstream Aerospace.

Technicy sprawdzają stan samolotu przed każdym wylotem i po każdym przylocie. Prace te zajmują nawet trzy godziny, bo trzeba obejrzeć niemal każdą śrubkę. „Do naszych zadań należy sprawdzenie, czy samolot nie ma uszkodzeń mechanicznych lub wycieków, czy wszystkie systemy działają tak jak powinny”, wyjaśnia Marcin. Ich pracy przygląda się amerykański instruktor, który w razie potrzeby omawia usterkę i podpowiada, jak ją usunąć. „To ciągle jest ten czas, kiedy dostrzegamy drobiazgi, o których wcześniej nie wiedzieliśmy”, mówi jeden z techników.

ROZWAŻNIE, ALE SZYBKO

Szkolenie pilotów we Flight Safety International trwało krócej niż techników – od końca kwietnia do początku czerwca 2017 roku. „Nie było długie, ale bardzo wyczerpujące. Nie mieliśmy wolnych dni”, mówi Tomasz, jeden z nich. Wspomina, że początki szkolenia obejmowały podstawy, takie jak wsiadanie do samolotu i uruchamianie go. Lotnicy mają swoją check listę, czyli spis rzeczy, które trzeba zrobić przed uruchomieniem maszyny, by przygotować się do bezpiecznego lotu. „Zwykle trenowaliśmy je w symulatorze z dotykowymi ekranami”, mówi pilot.

Stopień zaawansowania kursu zwiększał się bardzo szybko, bo w symulatorach piloci spędzali nawet osiem godzin dziennie. „Wiem, że wydaje się, jakby to był zwykły dzień w pracy, prawda? Ale takie ćwiczenia są bardzo wyczerpujące”, mówi Tomasz.



ROBERT SUCHY / CO MON

Najbardziej męczące są jednak treningi sytuacji awaryjnych. „Nie ma litości, jeśli chodzi o zajęcia na symulatorze, bo tam można przerobić każdą awarię. Nie pamiętam, ile scenariuszy przeciwczyliśmy. Było ich dużo”, wspomina pilot. Niemal każdą awarię lotnicy analizowali w zależności od momentu, w którym do niej doszło: przed osiągnięciem prędkości V1 (prędkości decyzji o starcie) lub po jej osiągnięciu. „Jeśli awaria wydarzy się, gdy samolot rozpoczyna rozbieg, jesteśmy w stanie bezpiecznie zatrzymać samolot. Po osiągnięciu prędkości V1 lepiej wystartować niż zatrzymywać samolot za wszelką cenę, bo to bezpieczniejsza opcja. Podejmowania takich decyzji, jak start z usterką, też trzeba się nauczyć”, wyjaśnia lotnik.

Krytyczne sytuacje wydają się łatwe do opanowania, gdy można teoretyzować, ale w rzeczywistości poziom adrenaliny się podnosi i trudno zapanować nad nerwami. „W takich sytuacjach należy pamiętać o wielu rzeczach: współpracy w załodze, wykorzystaniu procedur CRM (crew resource management, zarządzania zasobami załogi), wykonaniu czynności z naszych check list. Żeby to wszystko opanować, nie wystarczy wiedzieć, jak to zrobić, trzeba to trenować”, wyjaśnia Tomasz. Piloci muszą zatem takie szkolenie powtarzać co pół roku.

„Jednym z ciekawszych treningów było wodowanie samolotu i ewakuowanie się z niego. Ośrodek ma swój basen, kabiny, które się w nim zanurzają, oraz tratwy, można więc przeciwzyć wszystkie procedury”, wspomina pilot. Kursanci gasili również pożar na pokładzie samolotu. „Strażacy podpalili przeznaczony do tego celu kadłub, a naszym zadaniem było wejść do środka, zlokalizować

GDY PASAŻEREM SAMOLOTU JEST NA PRZYKŁAD PREZYDENT CZY PREMIER, DLA PILOTA WAŻNE SĄ: ICH KOMFORT PODRÓŻY, CZAS, W JAKIM MAJĄ DOTRZEĆ NA MIEJSCE, ORAZ BEZPIECZEŃSTWO



Technicy sprawdzają stan samolotu przed każdym wylotem i po każdym przylocie. Prace te zajmują nawet trzy godziny, bo trzeba obejrzeć niemal każdą śrubkę.

ogień, zgasić go i wyjść przez luk awaryjny. I znowu wszystko wydaje się proste. Gdy dochodzą do tego nerwy, przestaje to być takie oczywiste”, mówi Tomasz.

Po tygodniach ćwiczeń z reagowania w sytuacji awarii, nieudanych startów i trudnych lądowań przyszedł czas na test – sześciogodzinny indywidualny lot na symulatorze. „Dostałem dane dotyczące lotu, które trzeba wprowadzić do systemu. Wystartowaliśmy, a instruktor wrzucał kolejne awarie, na które miałem zareagować”, wspomina Tomasz. Jego lot odbywał się w nocy, więc widoczność była słaba. Musiał się też zmierzyć z zagrożeniem wynikającym z wtargnięcia innego samolotu na pas startowy, z pękniętą oponą, awarią silnika po osiągnięciu prędkości V1, złymi warunkami lądowania na docelowym lotnisku... Podobne testy zaliczyli wszyscy polscy piloci.

VIP NA POKŁADZIE

Szkolenie dla polskich załóg zostało poszerzone o kilka zagadnień. „Większość naszych pilotów przesiadła się na gulfstreamy z samolotów turbośmigłowych. Mają zatem teraz latać dwa razy wyżej i dwa razy szybciej. Kolejna sprawa to znajomość procedur międzynarodowych wymagana przy lotach o zasięgu globalnym”, mówi ppłk Robert Mieszaniec, dowódca eskadry lotniczej 1 Bazy Lotnictwa Transportowego. Jednym z najważniejszych zagadnień były jednak loty z VIP-ami.

Czy ludzie, którzy pilotują samoloty z najważniejszymi osobami w państwie na pokładzie, muszą mieć jakieś specjalne umiejętności? „Oczywiście. Kurs w Stanach Zjednoczonych umożliwił nam rozwijanie również tych kompetencji”, mówi ppłk Mieszaniec. Instruktorami Polaków by-

li lotnicy z samolotów o statusie Air Force One. „Trudno o kogoś z większym doświadczeniem w tej dziedzinie. Poza tym mieliśmy też zajęcia z tzw. VIP protocol, czyli kodeksu właściwego zachowania wobec pasażerów – najważniejszych osób w państwie”, wyjaśnia ppłk Mieszaniec.

Gdy pasażerem samolotu jest na przykład prezydent czy premier, dla pilota ważne są trzy sprawy: komfort pasażerów, czas, w jakim mają dotrzeć na miejsce, oraz bezpieczeństwo. Ma je zapewnić nie tylko stan techniczny samolotu czy styl lotu, lecz także asertywność załogi i świadomość tego, czego zrobić nie może. „Na szkoleniu w Stanach Zjednoczonych poruszono z nami również temat decyzyjności pilota. Ma on prawo nie zgodzić się na lot, jeśli stwierdzi, że życiu pasażerów grozi niebezpieczeństwo. Jeśli wychodzimy poza ograniczenia eksploatacyjne samolotu czy przepisy, mogą powiedzieć tylko jedno: »Przepraszam, ale nie mogę wykonać tego zadania ze względu na Państwa bezpieczeństwo«”, mówi pułkownik.

Piloci samolotu Gulfstream G550 podkreślają, że lot z VIP-em na pokładzie różni się od transportowania żołnierzy w miejsce desantu. „Zawsze będzie dla mnie ważne bezpieczeństwo pasażerów, ale gdy na pokładzie mam prezydenta, premiera czy nawet osobę, która zwyczajnie może bać się latać, lot musi być delikatny i płynny”, mówi ppłk Mieszaniec. Takiego stylu latania piloci uczą się w Polsce pod okiem amerykańskich instruktorów. „Ten samolot ma niezwykle osiągi zarówno jeśli chodzi o szybkość, jak i wysokość lotu. Ale... On jest trochę jak samochód, który startuje w rajdach. Możesz się nim ścigać z innymi, ale możesz też prowadzić go tak, by czuć się bezpiecznie i komfortowo”, dodaje dowódca eskadry. ■

BRATERSTWO KRWI

450 MILILITRÓW ŻYCIA

Z Robertem Kowalewskim

**o tym, dlaczego weterani oddają krew,
rozmawia Małgorzata Schwarzgruber.**

Dlaczego został Pan honorowym dawcą krwi?
Idea krwiodawstwa zaraził mnie mój ojciec, Tadeusz Kowalewski, założyciel Klubu Honorowych Dawców Krwi PCK przy Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Łączności, a później przy Centrum Szkolenia Łączności i Informatyki w Zegrzu. Widziałem, jak oddawał krew i pewnego dnia oznajmiłem, że idę razem z nim. To było 18 lat temu i do dziś oddałem ponad 371 krwi. Mam nadzieję, że przynajmniej w połowie dogonię tatę, który ma na swoim koncie ponad 130 l.

Czym dla Pana jest idea krwiodawstwa?

To idea ratowania ludzkiego życia. 450 ml krwi, które mogę oddać raz na dwa miesiące, może uratować życie nawet trzem osobom. Centra krwiodawstwa nieustannie apelują o pomoc, gdyż według statystyk, co dwie minuty ktoś potrzebuje tego życiodajnego leku, którego dotąd nowoczesnej medycynie nie udało się zastąpić syntetycznym płynem. Oddając krew, oddaję także część siebie. Wraz z członkami Klubu HDK Legion organizujemy zbiórki terenowe i stacjonarne. Wspólnie z innymi klubami pracujemy też nad ogólnopolskim systemem zniżek dla krwiodawców – „Razem dla dawców” i szukamy firm oferujących im różnego rodzaju rabaty. Razem z popularną marką odzieży patriotycznej stworzyliśmy znany w całym kraju dekalog honorowego dawcy krwi.

„Pamiętaj, że każdy krwiodawca to bohater z wyboru, a mundurowy krwiodawca to bohater z powołania” – to jedno z przykazań. Ilu z Was jest weteranami?

Nie mamy statystyk dotyczących weteranów, ale sporo jest wśród nas żołnierzy i innych mundurowych. Ci, którzy byli na misjach, widzieli, jak krew ratowała rannym życie. Często po powrocie do kraju stawali się oni honorowymi krwiodawcami.

Klub HDK Legion, którego jest Pan prezesem, powstał w 2014 roku. Skąd nazwa Legion?

Nawiązuje do największej rzymskiej formacji. Chciałem połączyć krwiodawców pod jedną banderą. Nasz Klub jest największy w Polsce. Założyli go byli i obecni żołnierze z Centrum Szkolenia Łączności i Informatyki, którzy w tym miejscu po raz pierwszy oddali krew. Dziś liczy 16 oddziałów – część na niwie cywilnej, w tym oddział internetowy, zrzeszający krwiodawców z całej Polski, a pozostałe w strukturach większości służb mundurowych. Klub liczy ponad tysiąc członków, współdziała z blisko setką partnerów, 15 urzędami gmin, miast, powiatów, a także z urzędami marszałkowskimi i ministerstwami. Zorganizował prawie 200 akcji krwiodawstwa i zebrał blisko 3,5 tys. l krwi. Dotychczas działaliśmy głównie na Mazowszu, ale w 2018 roku to się zmieni.

W jakich jednostkach Klub Legion ma swoje oddziały?

W Centrum Szkolenia Łączności i Informatyki w Zegrzu, 9 Brygadzie Wsparcia Dowodzenia Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych w Białobrzegach, 32 Wieliszewskim Dywizjonie Raketowym Obrony Powietrznej w Olszewnicy, 1 Warszawskiej Brygadzie Pancernej w Wesolej. Ostatnio dołączyły do nas oddziały w 15 Giżyckiej Brygadzie Zmechanizowanej i 1 Kompanii Regulacji Ruchu w Szczecinie.

Klub Legion organizuje także kampanie ogólnopolskie o dużym zasięgu. Jakież?

„Dawniej Oni za nas” to pierwsza akcja, która miała debiut w Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów PRL podczas obchodów Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych. Zestawiliśmy fotografie żołnierzy wyklętych oraz weteranów krwiodawców. Kampania „W potrzebie i w boju krwi nie szczędząc” objęła nato-

miast cały kraj. Złożyła się na nią wystawa fotografii weteranów krwiodawców. Ekspozycji tej towarzyszyły akcje oddawania krwi, w których wzięło udział prawie 30 klubów wojskowych i cywilnych. Przez blisko półtora miesiąca 2,5 tys. osób oddało 1,1 tys. l krwi. Wraz z Dowództwem Garnizonu Warszawa i Centrum Weterana wydaliśmy także publikację „W potrzebie i w boju krwi nie szczędząc”.

Jakie ma Pan plany na przyszłość?

Chcemy założyć kolejne oddziały Klubu, tym razem także poza granicami kraju, wśród Polonii w Wielkiej Brytanii, Stanach Zjednoczonych i Australii. Trwają prace nad uruchomieniem portalu dla krwiodawców, na którym będzie można założyć własny profil krwiodawcy. Wraz z prezesami wojskowych klubów pracujemy nad powołaniem Wojskowej Rady Krwiodawstwa Wojska Polskiego. Chciałbym, abyśmy stali się jedną grupą, która będzie promować żołnierzy, niosącym pomoc nie tylko na misji, ale też podczas pokoju, gdy nie ma bezpośredniego zagrożenia wojną. W taki sposób możemy przelewać krew dla Polski. Rada jako organ promocyjno-opiniotwórczo-doradczy wspierałaby działalność klubów i dowódców jednostek oraz MON-u. W 2018 roku będzie się działo! Nasze inicjatywy można obserwować na fanpage'u na Facebooku: Wojskowe Krwiodawstwo.

Czy przez kilkanaście lat honorowego krwiodawstwa zdarzyła się Panu jakaś szczególna sytuacja?

Wkrótce po tym, gdy zacząłem oddawać krew, wraz z kadetami ze szkoły z Zegrza pojechaliśmy na akcję krwiodawstwa do Centrum Zdrowia Dziecka. Mieliśmy już wracać, gdy nieoczekiwanie dzieciaki zaprosiły nas do sali kinowej. Okazało się, że przygotowywały teatrzyk. Na scenie pojawili się mali pacjenci w chustach na głowie po chemioterapii. Nie było wśród nas faceta, który by się nie wzruszył. Oddaliśmy dzieciom wszystkie czekolady, które dostaliśmy za oddaną krew. W drodze powrotnej w autobusie panowała cisza, bo byliśmy bardzo przejęci. ■

SIERŻ. ROBERT KOWALEWSKI

Służba: Centrum Szkolenia
Łączności i Informatyki w Zegrzu
Misje: PKW Liban, VIII zmiana
PKW Afganistan
Status weterana
poszkodowanego
Krwiodawca od 1999 roku
Oddał 37 l krwi
Prezes Klubu HDK Legion –
www.legionhdk.pl

Rozmowę z sierż. Robertem Kowalewskim rozpoczynamy cykl „Braterstwo krwi”, w którym zaprezentujemy wojskowych honorowych dawców krwi.



Zderzenia z paragrafem

Nasi eksperci rozwiązują Wasze problemy z interpretacją przepisów prawnych.

Zachęcamy do zadawania pytań: niezbednik@zbrojni.pl

DOKUMENTY DO EMERYTURY

W latach 1978–1980 służyłem w jednostce wojskowej w Zabrze. Obecnie składam do ZUS-u dokumenty, by utworzyć kapitał początkowy. Przez dwa lata służby w tej jednostce pracowałem na budowach i posiadam stosowny dokument wydany mi po ukończeniu służby. Gdzie powinienem się udać, by otrzymać druk Rp7 za okres pracy w jednostce wojskowej?

→ W sprawie złożenia wniosku o wydanie dokumentów poświadczających okres służby wojskowej należy udać się do macierzystej wojskowej komendy uzupełnień. Praktyka dowodzi, że wyda ona stosowne zaświadczenie bez druku Rp7. Powodem jest brak w zasobach WKU następców prawnych po danej jednostce, list wypłat uposażenia dla żołnierza zawodowego. W związku z tym osoba zainteresowana może natrafić na problem z wystawieniem zaświadczenia o kapitale początkowym. Trzeba jednak pamiętać, że jeżeli ustawa lub przepisy szczególne nie regulują określonych kwestii – to środkiem dowodowym może stać się każdy dokument wydany

w trybie art. 76 § 1 kodeksu postępowania administracyjnego, który stanowi, że: „dokumenty urzędowe sporządzone w przepisanej formie przez powołane do tego organy państwowe w ich zakresie działania stanowią dowód tego, co zostało w nich urzędowo stwierdzone”. Zgodnie z art. 7 kpa w toku postępowania organy administracji publicznej stoją na straży praworządności, z urzędu lub na wniosek stron podejmują wszelkie czynności niezbędne do dokładnego wyjaśnienia stanu faktycznego oraz do załatwienia sprawy, mając na względzie interes społeczny i słuszny interes obywateli. Organ administracji publicznej jest zobowiązany do prowadzenia postępowania w sposób budzący zaufanie jego uczestników do władzy publicznej, kierując się zasadami proporcjonalności, bezstronności i równego traktowania. Tak więc gdy osoba, której słusznego interesu dotyczy sprawa, nie jest w stanie wykorzystać swoich uprawnień nie ze swojej winy, lecz z powodów leżących po stronie organu – to na organie spoczywa obowiązek inicjatywy dowodowej.

ROBERT KŁOSIŃSKI

Podstawa prawna: ustawa z 14 czerwca 1960 roku „Kodeks postępowania administracyjnego” (tekst jednolity DzU 00.98.1071 z późn. zm.) – art. 7 i 8, art. 76 § 1.

Porady zamieszczane na łamach „Polski Zbrojnej” mają charakter informacyjno-doradczy i nie stanowią wiążącej interpretacji i wykładni prawa.

WYRÓŻNIENIA DLA KRWIODAWCY

Jestem żołnierzem zawodowym, honorowym dawcą krwi. Mam brązową odznakę „Zasłużony Honorowy Dawca Krwi PCK” i wiem, że mogę ją nosić na mundurze wyjściowym i galowym, na klapie prawej kieszeni. Czy z tego tytułu mogę nosić baretkę brązowej odznaki „Zasłużony HDK PCK”?

→ Tak. Zgodnie z § 6 ust. 1 rozporządzenia ministra obrony narodowej w sprawie noszenia orderów, odznaczeń i odznak przez żołnierzy zawodowych i żołnierzy pełniących służbę kandydacką, odznaki absolwenckie, honorowe, pamiątkowe, jubileuszowe, okolicznościowe, organizacyjne (równorzędne) nosi się na

kurtce munduru galowego, wyjściowego oraz bluzie wyjściowej marynarskiej; można je też nosić na kurtce munduru służbowego.

Uzupełnieniem tegoż przepisu jest ust. 2, który stanowi, że odznaki krajowe mają pierwszeństwo przed odznakami zagranicznymi, a odznaki wojskowe przed odznakami niewojskowymi.

ROBERT KŁOSIŃSKI

Podstawa prawna: rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie noszenia orderów, odznaczeń i odznak przez żołnierzy zawodowych i żołnierzy pełniących służbę kandydacką z 4 sierpnia 2015 roku (DzU z 2015 poz. 1399) – § 6 ust. 1 i 2.

PRAWA EMERYTALNE

Byłem w służbie przygotowawczej w 2012 roku, a w czerwcu 2013 roku zostałem powołany do służby zawodowej. Czy mogę odejść na emeryturę po 15 latach służby, czy obowiązują mnie nowe zasady – czyli 25 lat służby i skończone 55 lat?

→ Odpowiedź na powyższe pytanie znajduje się w art. 18a ust. 1 ustawy o zaopatrzeniu emerytalnym żołnierzy zawodowych oraz ich rodzin (...), który stanowi, że żołnierzowi powołanemu po raz pierwszy po 31 grudnia 2012 roku do zawodowej służby wojskowej lub służby kandydackiej emerytura przysługuje na zasadach i w wysokości określonych w niniejszym rozdziale. Jednocześnie w ust. 2 powyższego przepisu ustawodawca wskazał, że przepisu ust. 1 nie stosuje się do żołnierza: 1) pełniącego służbę kandydacką w dniu 1 stycznia 2013 roku, w przypadku powoła-

nia do zawodowej służby wojskowej bezpośrednio po ukończeniu służby kandydackiej; 2) powołanego do zawodowej służby wojskowej po 31 grudnia 2012 roku, jeżeli przed tym powołaniem pełnił służbę w Policji, Urzędzie Ochrony Państwa, Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Agencji Wywiadu, Służbie Kontrwywiadu Wojskowego, Służbie Wywiadu Wojskowego, Centralnym Biurze Antykorupcyjnym, Straży Granicznej, Biurze Ochrony Rządu, Państwowej Straży Pożarnej lub Służbie Więziennej, do której został powołany przed 1 stycznia 2013 roku. Reasumując, autor pytania nabędzie prawa emerytalne po 15 latach zawodowej służby wojskowej, ponieważ spełnił wymóg, o którym mowa w wyżej wymienionym artykule ustawy.

ANETA KLIMOWICZ

Kancelaria Radców Prawnych s.c.
K. Przymęcka & J. P. Przymięcki

SPRAWY ŻOŁNIERZY

Mundurowe zmiany od 2018 roku

**W MON-ie trwają prace nad rozporządzeniami
dotyczącymi przepisów mundurowych.**

Pierwszy z dokumentów dotyczy umundurowania i wyekwipowania żołnierzy czynnej służby wojskowej, czyli tych, którzy odbywają przeszkolenie wojskowe, ćwiczenia wojskowe, służbę przygotowawczą lub okresową służbę wojskową. Ze względu jednak na powstanie wojsk obrony terytorialnej konieczna jest nowelizacja rozporządzenia. W projekcie zostały określone zestawy należności mundurowych dla żołnierzy terytorialnej służby wojskowej (TSW). Na czas służby rotacyjnej każdemu z nich będą przysługiwały: mundur polowy oraz mundur polowy letni, do tego ubranie ochronne, dres sportowy, koszulobluza polowa, bluza ocieplająca i pas żołnierski. Terytorials dostanie też różnego rodzaju nakrycia głowy, w tym czapkę zimową, beret, rogatywkę polową i kominiarkę khaki oraz dwie pary

trzewików, buty sportowe i pantofle kąpielowe. W skład zestawu umundurowania wejdą też rękawice, bielizna i skarpety. Żołnierz TSW dostanie również zasobnik piechoty górskiej, śpiwór, karimatę oraz specjalne okulary ochronne.

Drugi z dokumentów to nowelizacja rozporządzenia dotycząca umundurowania i wyekwipowania żołnierzy zawodowych oraz tych, którzy pełnią służbę kandydacką. W projekcie wprowadzono m.in. nowy rodzaj munduru polowego, munduru polowego letniego oraz trzewików, a także dodatkowe mundury wyjściowe i galowe dla żołnierzy służących w Zespole Organizacyjnym Centrum Operacyjnego MON. Określono też należności poszczególnych elementów umundurowania. I tak przykładowo żołnierzom 22 Karpackiego Batalionu Piechoty

Górskiej będą się należały kapelusze huculskie, żołnierzom pododdziałów honorowych używających umundurowanie podhalańskie – peleryny podhalańskie letnie, a kominiarkę khaki i okulary ochronne gogle otrzymają żołnierze wojsk lądowych. W przepisach wprowadzono też należność ubiorów specjalnych dla operatorów bezzałogowych statków powietrznych. Nowe zestawy specjalistyczne trafiają do pododdziałów rozpoznawczych, powietrznosantowych, kawalerii powietrznej, rozpoznania i piechoty górskiej.

Projekt zakłada rezygnację z kilku należności przyznawanych niektórym żołnierzom. Chodzi tu np. o futrzaną czapkę oraz czarne rękawiczki zimowe, które dziś dostają szeregowi i marynarze do 24. miesiąca zawodowej służby wojskowej oraz żołnierze pełniący służbę kandydacką. Z należności zostały wykreślone też np. spodnie polowe tropikalne krótkie.

Według autorów projektu, zmiany umożliwią wyposażenie żołnierzy w takie elementy umundurowania, które charakteryzują się zwiększoną funkcjonalnością, wygodą użytkowania w różnych warunkach klimatycznych, ergonomicznością oraz wysokim poziomem ochrony. PZ/PG

Szkoła żandarmerii w Mińsku

**Na bazie Centrum Szkolenia
Żandarmerii Wojskowej powstanie
Szkoła Podoficerska tej formacji.**

W MON-ie przygotowany został projekt rozporządzenia w sprawie utworzenia Szkoły Podoficerskiej Żandarmerii Wojskowej. Zgodnie z dokumentem

placówka zostanie otwarta 1 lipca 2019 roku w Mińsku Mazowieckim. Będzie podporządkowana komendantowi działającego na tym terenie Centrum Szkolenia Żandarmerii Wojskowej. Powstanie szkoły pozwoli na systematyczne i kompleksowe przygotowywanie szeregowych Żandarmerii Wojskowej do objęcia stanowisk podoficerskich w tej formacji. Będą tam prowadzone m.in. kursy podoficerskie, kwalifikacyjne dla podoficerów przed mianowaniem ich na kolejne stopnie, a także służba przygotowawcza dla kandydatów na podoficerów. Według szacunków, w powstałej placówce ma się kształcić rocznie od 100 do 120 żołnierzy. PZ/PG

Z WOKANDY

Ćwiczenia wojskowe, a status bezrobotnego

**Sąd musiał rozstrzygnąć, czy podczas
odbywania ćwiczeń wojskowych żołnierz rezerwy
traci status osoby bezrobotnej.**

Sprawa dotyczyła sporu, jaki zaistniał na tle prawa osoby do zachowania statusu bezrobotnego w sytuacji, gdy właściwa wojskowa komenda uzupełnień wezwie ją do odbycia ćwiczeń wojskowych oraz czy możliwe jest odbycie tych ćwiczeń w czasie trwania stażu, na który osoba bezrobotna została skierowana przez właściwy powiatowy urząd pracy.

Urząd pracy stanął na stanowisku, że osoba bezrobotna odbywająca ćwiczenia wojskowe traci swój status, ponieważ w tym czasie podlega obowiązkowi ubezpieczenia społecznego (w podstawie prawnej zostały przywołane art. 9 ust. 1 pkt 14 lit. a, art. 2 ust. 1 pkt 2 lit. I, art. 33 ust. 4 pkt 1, art. 33 ust. 4ca ustawy z 20 kwietnia 2004 roku o promocji zatrudnienia i instytucjach rynku pracy).

Takie samo stanowisko zajął wojewoda, do którego zainteresowany złożył odwołanie od decyzji PUP. Wojewoda uznał, że skoro od dnia rozpoczęcia obowiązkowych ćwiczeń wojskowych osoba podlegała obowiązkowi ubezpieczenia społecznego, to w konsekwencji nie mogła jednocześnie posiadać statusu bezrobotnej. Wojewoda w swojej decyzji powołał się na art. 71 ust. 2 pkt 1 ustawy, który stanowi, że: „okres ćwiczeń wojskowych jest zaliczany do okresu uprawniającego do zasiłku, natomiast stosownie do art. 73 ust. 6 pkt 1 ustawy okresy ćwiczeń wojskowych są zaliczane do okresów powodujących, analogicznie do zatrudnienia, utratę statusu bezrobotnego”.

Skargę byłego żołnierza rezerwy ostatecznie musiał rozpoznać Wojewódzki Sąd Administracyjny w Kielcach (sprawa o sygn. akt. II SA/Ke 481/17).

Sąd uznał, że jest ona uzasadniona. Podkreślił, że zgodnie z art. 85 ust. 1 Konstytucji RP obowiązkiem obywatela polskiego jest obrona ojczyzny. W ramach powszech-

nego obowiązku obrony obywatele polscy są obowiązani do: pełnienia służby wojskowej, wykonywania obowiązków wynikających z nadanych przydziałów kryzysowych i przydziałów mobilizacyjnych, świadczenia pracy w ramach pracowniczych przydziałów mobilizacyjnych, pełnienia służby w obronie cywilnej, odbywania edukacji dla bezpieczeństwa, uczestniczenia w samoobronie ludności, odbywania ćwiczeń w jednostkach przewidzianych do militaryzacji i pełnienia służby w jednostkach zmilitaryzowanych, wykonywania świadczeń na rzecz obrony – na zasadach i w zakresie określonych w ustawie o powszechnym obowiązku obrony RP.

Zdaniem sądu przepisy odrębne – względem ustawy o promocji zatrudnienia i instytucjach rynku pracy – umożliwiają pozbawienie skarżącego statusu osoby bezrobotnej wskutek odbywania przez niego ćwiczeń wojskowych. Przepisy te zawarte są w ustawie z 17 grudnia 1974 roku o uposażeniu żołnierzy niezawodowych (tekst jednolity DzU z 2016 poz. 616). W myśl art. 31 ust. 1 powyższej ustawy żołnierzom odbywającym ćwiczenia wojskowe przysługuje za każdy dzień ich trwania uposażenie zasadnicze według stopnia etatowego zajmowanego stanowiska służbowego. Przyjął zatem należało, że odbywanie ćwiczeń wojskowych przez żołnierza rezerwy i otrzymywanie z tego tytułu uposażenia nie powoduje utraty statusu osoby bezrobotnej w rozumieniu ustawy o promocji zatrudnienia i instytucjach rynku pracy, lecz jedynie zawieszenie na ten czas prawa do zasiłku dla bezrobotnych, o ile prawo takie bezrobotnemu przysługuje. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

Źródło: <http://orzeczenia.nsa.gov.pl>

ARSENAŁ

/ PRZEGLĄD





Tornada służą
w Luftwaffe
od 6 czerwca 1979
roku. Niemieckie
siły powietrzne
otrzymały łącznie
247 samolotów.

MACIEJ HYPŚ

EFEKT TORNADA

**Współpraca Francji i Niemiec miała
zaowocować powstaniem europejskiego
samolotu bojowego piątej generacji.**

Ostatnie decyzje niemieckich polityków mogą
jednak pokrzyżować te plany.



BUNDESWEHR

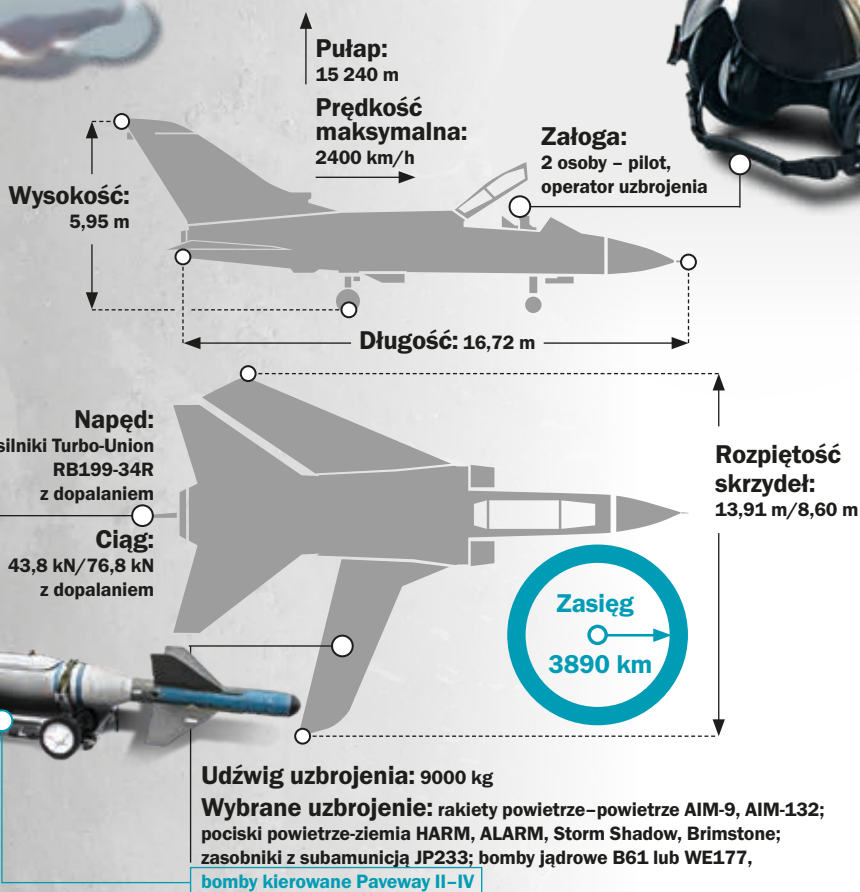


TORNADO

Dwumiejscowy samolot wielozadaniowy o zmiennej geometrii skrzydeł. Pierwszy lot odbył się 14 sierpnia 1974 roku. Wyprodukowano 992 egzemplarze tej maszyny w trzech wersjach: uderzeniowej IDS, walki elektronicznej/rozpoznawczej ECR i przechwytyjącej ADV. Pilot odpowiada za sterowanie samolotem, a tylny fotel zajmuje operator uzbrojenia. Tornada zasłynęły z ataków z małej wysokości na irańskie lotniska wykonywanych w czasie „Pustynnej burzy” przez Royal Air Force.



TORNADO znalazł się w uzbrojeniu Niemiec, Wielkiej Brytanii, Włoch i Arabii Saudyjskiej.



Największe doświadczenie w prowadzeniu wspólnych programów zbrojeniowych mają kraje europejskie. W branży lotniczej najważniejsze z nich to francusko-niemiecki Dassault/Dornier Alpha Jet, brytyjsko-francuski SEPECAT Jaguar, brytyjsko-niemiecko-włoski Panavia Tornado czy wreszcie brytyjsko-niemiecko-włosko-hiszpański Eurofighter Typhoon. Międzynarodowa współpraca pozwala rozłożyć ogromne koszty programu – czyli zaprojektowania i uru-

chomienia produkcji nowego samolotu bojowego – na wielu uczestników, których nie byłoby stać na zbudowanie takiej maszyny samodzielnie. Dlatego gdy w 2015 roku Niemcy ogłosiły potrzebę znalezienia następcy samolotów wielozadaniowych Tornado, naturalnym wyborem wydawał się nowy projekt Airbusa.

Tornada służą w Luftwaffe od 6 czerwca 1979 roku. Niemieckie siły powietrzne otrzymały łącznie 247 samolotów w dwóch wersjach:



Udźwig uzbrojenia: 8100 kg

Wybrane uzbrojenie: rakiety powietrze-powietrze AIM-9, AIM-120, Meteor; pociski powietrze-ziemia AARGM, JASSM, Brimstone, JSM, LRASM, bomby kierowane Paveway, JDAM, SDB, JSOW; **bomby jądrowe B61**

Długość: 15,67 m

Wysokość: 4,33 m

Napęd:
silnik
Pratt & Whitney
F135
z dopalaniem

Ciąg:
125 kN/191 kN
z dopalaniem

**Rozpiętość
skrzydeł:**
10,7 m

Pułap:
15 240 m

**Prędkość
maksymalna:**
1930 km/h

Żałoga:
pilot



F-35

LIGHTNING II

Jednomiejscowy samolot wielozadaniowy o obniżonej wykrywalności radarowej, zbudowany w ramach programu Joint Strike Fighter. Pierwszy lot odbył się 15 grudnia 2006 roku. Opracowano trzy wersje: A – samolot konwencjonalnego startu i lądowania, B – samolot krótkiego startu i pionowego lądowania, C – samolot pokładowy ze składanymi skrzydłami do bazowania na lotniskowcach. Myśliwiec ciągle znajduje się w fazie rozwoju. Na polu walki ma osiągać przewagę dzięki zarówno cechom fizycznym, jak i „fuzji sensorów” dającej pilotowi niespotykaną do tej pory świadomość sytuacyjną. Będzie to podstawowy samolot bojowy amerykańskich sił zbrojnych.

F-35 został zakupiony m.in. przez:

Wielką Brytanię, Izrael, Japonię, Włochy, Norwegię i Holandię.

Zasięg
2200 km

uderzeniowej IDS i walki elektronicznej/rozpoznawczej ECR. Z kolei 112 tornad IDS trafiło do marynarki wojennej, która w 2005 roku przekazała je siłom powietrznym. Według najnowszych danych w służbie pozostają 64 maszyny w wersji IDS i 29 w wersji ECR. Niemieckie tornado operowały w ograniczonym zakresie w Bośni, Kosowie, Afganistanie i Syrii.

Tornada stanowią podstawowy typ samolotu uderzeniowego Luftwaffe, w której eurofightery są przeznaczone głównie do zadań powietrze-powietrze. Od początku XXI

wieku niemieckie tornada przechodzą regularne modernizacje w ramach kolejnych programów realizowanych pod zbiorczą nazwą ASSTA (Avionics System Software Tornado in Ada). ASSTA 1 polegała głównie na wymianie komputera pokładowego i dodaniu nowej nawigacji satelitarnej oraz laserowej nawigacji bezwładnościowej. ASSTA 2 koncentrowała się na nowym pakiecie do walki elektronicznej i dalszej modyfikacji awioniki w celu wsparcia pocisków manewrujących Taurus KEPD 350. ASSTA 3 obejmuje zaś wsparcie amunicji ataku



bezpośredniego JDAM i nowe kolorowe wyświetlacze w kabinie pilotów. I chociaż uniwersalność i duże możliwości bojowe tornad (udowodnione głównie za sprawą RAF-u) nie podlegają dyskusji, nie da się ukryć, że wkrótce minie 40 lat ich służby, której kres przewidziano na trzecią dekadę XXI wieku.

ZMIANA PLANÓW

W 2015 roku niemieckie ministerstwo obrony opracowało dokument na temat wojskowej strategii lotniczej na kolejne lata, w którym znalazły się zapisy dotyczące nowego samolotu uderzeniowego. Były one bardzo ogólne i dopuszczały możliwość wyboru maszyny zarówno załogowej, jak i bezzałogowej. Pewne było jedynie to, że w projekt trzeba zaangażować innych europejskich partnerów. Jednocześnie, zdając sobie sprawę z tego, ile czasu zajmuje opracowanie od podstaw nowego samolotu, sugerowano możliwość przedłużenia służby tornad do około 2040 roku.

W pierwszej kolejności zwrócono się do Airbusa, który po kilku miesiącach dał odpowiedź, że optymalnym rozwiązaniem na lata 2030–2040 będą siły powietrzne złożone z samolotów zarówno pilotowanych, jak i bezzałogowych, które mogłyby wykonywać misje rozpoznawcze, walki elektronicznej, wskazywania celów, a nawet uderzeń na cele lądowe. Według koncepcji Airbusa samolot będzie miał dwuosobową załogę, w której drugi jej członek ma być odpowiedzialny za zarządzanie i kierowanie grupą bezzałogowców. Jednocześnie przedstawiciel firmy stwierdził, że maszyna ta nie zostanie zaprojektowana od podstaw, ale będą w niej wykorzystywane pewne elementy eurofightera i najnowsze rozwiązania opracowywane przez Airbusa. Cały projekt nazwano FCAS (Future Combat Air Systems).

Pierwsze sygnały o zmianie niemieckiego nastawienia pojawiły się w połowie 2017 roku, gdy poinformowano, że przedstawiciele tego państwa na targach Paris Air Show spotkali się z reprezentantami Lockheed Martina, aby porozmawiać o F-35 Lightning II. Kolejny sygnał o gotowości Niemców do zakupu istniejących już samolotów pojawił się pod koniec września, kiedy zwrócono się do USA z prośbą o informacje na temat F/A-18E/F Super Hornet i F-15 Eagle. W przeszłości Niemcy używali już na szeroką skalę samolotów amerykańskich, chociażby takich jak F-104G Starfighter czy F-4 Phantom II.

Gwałtowny zwrot nastąpił na początku listopada 2017 roku, gdy niemal równocześnie Airbus zaprezentował bardziej szczegółową koncepcję FCAS, a szef sztabu

O PRZYSZŁOŚCI NOWEGO EUROPEJSKIEGO SAMOLOTU BOJOWEGO POWINNY ZDECYDOWAĆ NAJBLIŻSZE DWA LATA – WÓWCZAS NIEMCY MUSZĄ PODJAĆ OSTATECZNĄ DECYZJĘ W SPRAWIE NASTĘPCY TORNAD

niemieckich sił powietrznych gen. por. Karl Müllner ogłosił kryteria, którymi będą kierować się Niemcy w wyborze następcy tornad. Zgodnie z wcześniejszymi zapowiedziami FCAS ma być systemem składającym się z nowego samolotu załogowego współpracującego z robotami bojowymi bezzałogowców, a także satelitami i samolotami znajdującymi się już w służbie, takimi jak eurofighter czy E-3 AWACS. Je-

śli chodzi o charakterystykę, nie ujawniono zbyt wiele informacji, pozostając przy ogólnikach, że nowa maszyna będzie trudno wykrywalna dla radarów, będzie miała duży zasięg i zaawansowane sensory, czyli wszystko, co powinien mieć samolot piątej generacji. Airbus jest zainteresowany przyspieszeniem prac nad nową konstrukcją, która mogłaby wejść do służby za około 15 lat.

W tym samym czasie gen. Müllner stwierdził, że Luftwaffe musi kupić samolot już istniejący, który będzie mógł wejść do służby około 2025 roku, tak żeby przejście z tornad na nowy typ odbyło się płynnie. Nie ma więc czasu na rozwijanie nowej konstrukcji. Jednocześnie wszystkie wymagania Luftwaffe będzie mógł spełnić tylko samolot piątej generacji.

KLUCZOWY WYBÓR

Takie sformułowanie wymagań stawia F-35 na pozycji faworyta, ponieważ aby dotrzymać planowanego terminu dostaw, kontrakt powinien być podpisany w 2020 lub 2021 roku. Do tego czasu nie będzie na rynku innego samolotu piątej generacji. Co prawda gen. Müllner od razu dodał, że w pełni popiera rozwój nowego samolotu Airbusa, ale faktem jest, że zainwestowanie ogromnych pieniędzy we wprowadzenie do służby F-35 (dostosowanie baz, system logistyczny, szkolenie pilotów i mechaników) będzie oznaczało dłuższe związanie się z tym samolotem, który przecież też znajduje się dopiero na początku swojej kariery i ma duży potencjał modernizacyjny. Jeśli teraz Niemcy kupią F-35, nie będzie dziwić ich ponowny wybór następcy eurofighterów w połowie XXI wieku.

Bez udziału największej europejskiej gospodarki cały program FCAS stanie pod znakiem zapytania. W takim wypadku kluczowe będzie zaangażowanie się w niego – poza Francją – także Wielkiej Brytanii i Hiszpanii, która już wcześniej wyraziła zainteresowanie tym samolotem jako następcą F/A-18. W wypadku Wielkiej Brytanii, która również kupiła F-35, współpracę gospodarczą może dodatkowo komplikować wyjście tego państwa z Unii Europejskiej. ■

Raytheon



KONGSBERG

NASAMS

System obrony przeciwlotniczej

- Wdrożony w krajach UE i NATO
- Potwierdzona interoperacyjność z systemami
- UE i NATO, w tym z Link 16
- Wykorzystanie rakiet AMRAAM - jeden pocisk, dwa zadania
- Ścisła współpraca z polskim przemysłem obronnym

Undisclosed
Customer



EXTREME
PERFORMANCE
FOR EXTREME
CONDITIONS

Kongsberg Defence Sp. z o.o.
kd.poland@kongsberg.com
www.kongsberg.com



KRZYSZTOF WILEWSKI

Uskrzydlić piechotę

Historia niezliczonej ilości potyczek, bitew i wojen dobitnie pokazuje, że wygrywał ten, kto miał najlepszy transport.

Choć utrzymało się przekonanie, że największe armie na świecie, jeśli chodzi o nowinki techniczne, właściwie nie muszą się liczyć z kosztami, to fakty są takie, że spora część nowego sprzętu i uzbrojenia, z którego korzystają np. amerykańscy żołnierze, powstała w wyniku poszukiwania oszczędności. Dobrym przykładem jest artyleryjska amunicja precyzyjna. Po co zasypywać przeciwnika setką pocisków, gdy „robotę” może wykonać jeden, ale precyzyjnie naprowadzony na cel? Podobny mechanizm jest podstawą poszukiwania przez US Army nowych latających środków transportu dla najniższych szczebli dowodzenia, poszczególnych żołnierzy, sekcji czy drużyn. Nie drogi śmigłowiec, lecz mały, najlepiej napędzany elektrycznie, pojazd – to przyszłość pola walki.

Od zarania dziejów jednym z największych wyzwań stojących przed żołnierzami było jak najszybsze przemieszczenie się z punktu A do punktu B. Historia niezliczonej ilości potyczek, bitew i wojen dobitnie pokazuje, że ten, kto potrafił robić to lepiej, wygrywał. Rozwiązanie tego problemu podsuwała sama natura – stworzenia latające. Jednak dopiero maszyny sprawiły, że człowiek okiełznał przestworza. Co ważne, mowa o maszynach, które można było zbudować. Bo co z tego, że Leonardo da Vinci miał plany budowy śmigłowca, skoro nikt

w epoce renesansu, w której tworzył, nie był w stanie ich zrealizować?

Nie należy zatem się dziwić, że kiedy nastała era przemysłowa i człowiekowi udało się skonstruować funkcjonalne, mogące latać godzinami statki powietrzne, sięgnęły po nie armie na całym świecie. Na początku, z przyczyn technicznych, wykonywały wyłącznie zadania rozpoznawcze, później bojowe i dopiero na samym końcu transportowe – rozumiane jako przewóz nie tylko sprzętu, lecz także żołnierzy. Transport lotniczy usuwał największe bolączki związane z błyskawicznym przerzutem sił i sprzętu. Droga asfaltowa, szutrowa czy betonowa? Niepotrzebna. Trudny, nieprzejezdny teren? Bagno, rozmoknięte łąki, pustynia, jezioro czy rzeka? Żaden problem. Nie rozwiązywał jednak jednej sprawy – kosztów. Bez względu bowiem na to, czy mówimy o małym samolocie czy dużym, o śmigłowcu małym czy dużym, to przy cenie jego zakupu oraz, co równie istotne, kosztach codziennego użytkowania mamy do czynienia z wielkościami środków finansowych diametralnie odbiegających od kosztów zakupu i użytkowania średniej klasy wojskowej ciężarówki. A zawsze musimy pamiętać i przypominać, że w przypadku armii chodzi o tysiące, nawet dziesiątki tysięcy żołnierzy, którzy muszą trafić na pole bitwy.

Właśnie dlatego armie na całym świecie, uznając transport lotniczy za najlepszą metodę błyskawicznego przerzutu żołnierzy, nie ustają w wysiłkach, aby uczynić ją nieco tańszą. Zasadniczy kierunek prac badawczo-rozwojowych można podsumować jako „przewieź więcej”. Większe samoloty, większe śmigłowce, więcej pasażerów. Drugim rozwiązaniem jest obniżenie kosztów przez miniaturyzację statków powietrznych.

Po co budować za dziesiątki milionów dolarów śmigłowiec dla kilkunastu żołnierzy, jeżeli za ułamek tej kwoty można zbudować latającą platformę dla dwóch, trzech?

Pierwsze próby skonstruowania na potrzeby amerykańskiej armii takich pojazdów, bazujących na odwróconych silnikach od śmigłowców, były podejmowane na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Wyniki prac prowadzonych przez kilka ośrodków naukowych okazały się na tyle obiecujące, że w 1957 roku Pentagon ogłosił przetarg na zbudowanie pojazdu, który bardzo szybko ochrzczono jako „latający dziup”. Dlaczego? Miała to być tania, łatwa w obsłudze konstrukcja, która będzie pionowzlotem wznoszącym się na nie więcej niż kilometr i poruszającym z prędkością przekraczającą 100 km/h.

Jednym z wyłonionych zwycięzców przetargu była firma Piasecki Helicopter, założona i kierowana przez Ameryka-

nina polskiego pochodzenia Franka Piaseckiego. I to właśnie ona najszybciej, bo już we wrześniu 1958 roku, dostarczyła prototyp, który trafił do wojskowych badań.

Airgeep, bo tak się nazywała ta konstrukcja, był platformą składającą się z dwóch częściowo zabudowanych wirników, każdy z trzema śmigłami. Pojazd napędzały dwa silniki spalinowe, każdy o mocy 180 KM. Pozwalały one na lot z maksymalną prędkością prawie 140 km/h na wysokości maksymalnie 900 m.

Niestety, Airgeep miał jedną zasadniczą wadę. Był ekstremalnie trudny w pilotażu. Nawet doświadczeni wojskowi piloci mieli problemy, aby go opanować w powietrzu. W efekcie po kilku latach badań i zakończonych niepowodzeniem prób uczynienia z niego pojazdu nadającego się dla „żołnierskich mas”, tak jak Jeep Wrangler, Pentagon podjął decyzję o zamknięciu programu.

Wszystko wskazuje jednak na to, że na fali dronowej rewolucji napędzane silnikami wirnikowymi (tym razem elektrycznymi) niewielkie, transportowe pionowzloty wróciły do łask i mogą trafić do armii na całym świecie. Na początku 2017 roku amerykańska armia poinformowała, że rozpoczęła cykl testów i badań takiej właśnie konstrukcji, opracowanej przez brytyjską firmę Malloy Aeronautics. Choć HoverBike reklamowany jest raczej jako „latający motocykl”, to przedstawiciele US Army widzą w nim nie dużą platformę do transportu ludzi i sprzętu, idealną dla pododdziałów rozpoznawczych. Intrygujące jest to, że bardzo podobną nazwę, Hoverbike Raptor, nosi pionowzlot zbudowany przez inżynierów z rodzimej firmy Skynamo Aerospace z Wojnicza. Prototyp pojazdu napędzanego silnikiem od motocykla Suzuki Hayabusa o mocy 330 KM pokazano podczas Międzynarodowego Salonu Przemysłu Obronnego w Kielcach w 2017 roku. Twórcy tej konstrukcji zapewniają, że została ona dopracowana i że obecnie są na etapie finalizowania formalności związanych z dopuszczeniem do latania w cywilnej przestrzeni powietrznej.

Co ciekawe, nad pionowzlotami służącymi jako latające motocykle pracują również Rosjanie. Kilka miesięcy temu pojazd tego typu zaprezentował koncern Kałasznikowa. O ile Polacy postawili na napęd hybrydowy, spalinowo-elektryczny, o tyle rosyjscy inżynierowie, podobnie jak Brytyjczycy, wybrali napęd elektryczny. Rosyjskiej konstrukcji zdecydowanie jednak bliżej do quadrokoptera, na którym posadzono człowieka, niż do hoverbików – polskiego i brytyjskiego. W obu tych konstrukcjach występują bowiem duże wirniki zasadnicze, a rosyjski pojazd napędza 16 małych silniczków.

Niewykluczone więc, że piechota już wkrótce dostanie skrzydła, o jakich marzył m.in. Leonardo da Vinci. Tylko czy to nie oznacza, że trzeba będzie zmienić jej nazwę, np. na latającą? ■

FRANCJA

ZGODA NA DOSTAWY

Francuska Dyrekcja Generalna Uzbrojenia wyraziła zgodę na dostawę do sił zbrojnych pierwszej partii systemu przeciwpancernych pocisków kierowanych średniego zasięgu MMP, w której

skład wchodziło 20 wyrzutni i 50 pocisków. Odbiór odbył w się w dniach 15–23 listopada 2017 roku.

System o zasięgu ponad 4 tys. m, produkowany przez firmę MBDA, ma zastąpić stopniowo

zestawy ppk Milan i HOT oraz częściowo Eryx. Do 2025 roku planowana jest dostawa 400 wyrzutni MMP wraz z 1750 pociskami, które trafią do jednostek piechoty, kawalerii pancernej i specjalnych. TW



FILIPINY

Więcej Tucano

Wyspiarze dołączyli do grona państw, które zakupiły lekkie śmigłowe samoloty bojowe A-29 Super Tucano brazylijskiej firmy Embra-

er. Zamówienie dotyczy sześciu maszyn, których dostawy rozpoczną się w 2019 roku. Wartość kontraktu nie została ujawniona. WR

RUMUNIA

Pierwsi do obrony

Wzmocnienie wschodniej flanki NATO.

Umowę na dostawę raketowego systemu obrony powietrznej PAC-3+, jako pierwsze państwo w Europie Środkowej podpisała Rumunia. Poinformował o tym 30 listopada 2017 roku koncern Lockheed Martin. Według wcześniejszych informacji Rumunia chce docelowo nabyć siedem baterii, po cztery wyrzutnie, 168 pocisków PAC-3 MSE i 56 MIM-104 GEM-T oraz niezbędne wyposażenie. W



Wartość całej transakcji ma wynieść 3,9 mld dolarów

U.S. ARMY

KATAR

NOWE UMOWY

Emirat Kataru inwestuje w modernizację swego potencjału militarnego.

10 grudnia 2017 roku w Dosze podpisano kontrakt z Wielką Brytanią na zakup 28 samolotów wielozadaniowych Typhoon za 6,8 mld euro. Trzy dni wcześniej, podczas wizyty prezydenta Emmanuela Macrona w Katarze, przedstawiciel Dassault



Minister obrony Wielkiej Brytanii

GAVIN WILLIAMSON

Odrzutowce wzmocnią misję wojskową Kataru polegającą na tym, aby stawić czoła wyzwaniom, które dzielimy na Bliskim Wschodzie, wspierając stabilizację w regionie.

Aviation i dowódca katarskiego lotnictwa wojskowego podpisali umowę na dostawę 12 samolotów bojowych Rafale. Tym samym emirat skorzystał z opcji zwiększenia zamówienia uwzględnionej w kontrakcie podpisanym 4 maja 2015 roku. Wówczas to Katar kupił 24 maszyny. Pierwsze samoloty mają być dostarczone na przełomie lat 2018 i 2019. Równocześnie uzgodniono nową opcję na kolejnych 36 Rafale. Podczas wizyty Macrona podpisano także list intencyjny dotyczący sprzedaży Katarczykom 490 kołowych wozów bojowych VBCI. WRT



Dwusilnikowy myśliwiec wielozadaniowy Eurofighter Typhoon

DAMIAN FIGAJ

RAFAŁ
CIAŁOŃ

Górnopłaty Puławskiego



Nazwisko Zygmunta Rafała Puławskiego wpisane jest w historię polskiego lotnictwa. Urodzony w 1901 roku w Lublinie konstruktor zginął w wypadku lotniczym zaledwie 30 lat później. W ciągu krótkiego życia zdążył jednak zaprojektować osiem myśliwców, z których dwa weszły do produkcji seryjnej i stanowiły trzon polskiego lotnictwa myśliwskiego w czasie kampanii wrześniowej, a także amfibię.

Zygmunt był najstarszym z czworga dzieci Wojciecha i Kazimierzy Puławskich. W latach szkolnych był harcerzem, a po maturze zaciągnął się na ochotnika do batalionu harcerskiego, by bronić Lublina przed bolszewicką ofensywą. Jesienią 1920 roku został studentem Wydziału Mechanicznego Politechniki Warszawskiej.

Należał do sekcji lotniczej koła mechaników i tam razem z Jerzym Bistramem opracował projekt szybowca na ogólnopolski konkurs szybowcowy, a także przygotował wyróżniony przez Ministerstwo Spraw Wojskowych projekt samolotu liniowego Scout. Po ukończeniu studiów Puławski wyjechał na praktykę do francuskich zakładów lotniczych Breguet, a po powrocie do kraju odbył służbę wojskową – ukończył Szkołę Pilotów w Bydgoszczy.

Polskie lotnictwo myśliwskie połowy lat dwudziestych ubiegłego wieku bazowało wyłącznie na konstrukcjach zagranicznych – włoskich i francuskich. Puławski, pracujący od roku jako główny konstruktor w Państwowych Zakładach Lotniczych, przekształconych z Centralnych Warsztatów Lotniczych, kolejny raz wyjechał do Francji. W 1928 roku zaprojektował myśliwiec PZL P-1 w układzie, który stał się jego wizytówką i był charakterystyczny dla kolejnych konstrukcji – górnopłat zastrzałowy z tzw. mewim płatem i nożycowym podwoziem. Układ płata gwarantował pilotowi znacznie lepszą widoczność niż w produkowanych wówczas górno- i dwupłatach, a podwozie umożliwiało operowanie z lotnisk gruntowych. Samolot nie wszedł wprawdzie do produkcji seryjnej, bo wybrano jego konkurenta, PWS-10, ale Puławski pracował już nad kolejną konstrukcją – wyposażonym w silnik gwiazdowy PZL P-6, który w 1930 roku na Międzynarodowym Salonie Lotniczym w Paryżu został okrzyknięty najnowocześniejszym myśliwcem świata, rok później zaś zwyciężył w zawodach American National Races w Cleveland. Jego rozwinięciem i pierwszym seryjnie produkowanym myśliwcem Puławskiego był PZL P-7. Jeszcze w 1931 roku rozpoczęto prace nad najbardziej znanym myśliwcem międzywojnia PZL P-11, ale wcześniej konstruktor opracował projekt P-8, z preferowanym przez niego silnikiem rzędowym. Niestety nie było mu dane doczekać jego oblotu.

21 marca 1931 roku Puławski oblatywał amfibie własnej konstrukcji PZL 12. Nie miał drugiego członka załogi, więc postanowił dociążyć maszynę betonowymi płytami. Niestety w trakcie wykonywania skrętu po starcie z lotniska na Polu Mokotowskim wysunęły się one z pasów, przyniotły drążek sterowniczy i nogi pilota, co doprowadziło do rozbicia samolotu i śmierci jego twórcy.



RAFAŁ CIAŁOŃ jest doktorantem Akademii Sztuki Wojennej, ekspertem Fundacji im. Kazimierza Puławskiego.

STRATEGIE

/ BLISKI WSCHÓD



Saudowie kontrolują jedną piątą światowych zasobów ropy, a ich osobisty majątek jest szacowany na bilion czterysta miliardów dolarów.

TOMASZ OTŁOWSKI

GRA O TRON SAUDÓW

Świat z uwagą śledził spektakularną serię aresztowań kilkudziesięciu członków Domu Saudów. Ten element walki o władzę może bowiem mieć wpływ na strategiczną sytuację w regionie.



RICK BAJORNAS/UN



N

iewiele jest państw, które choć nie są globalnymi potęgami, nieustannie przykuwają uwagę obserwatorów niemal z całego świata. Jednym z takich krajów jest Arabia Saudyjska, aspirująca do rangi regionalnego mocarstwa i lidera

sunnickiej społeczności muzułmańskiej. Równocześnie jest jednym z głównych światowych producentów ropy naftowej i gazu ziemnego, co czyni ją ekonomiczną potęgą nie tylko w skali Bliskiego Wschodu. Nic zatem dziwnego, że wydarzenia zachodzące w Arabii Saudyjskiej mają bezpośredni wpływ na jej otoczenie międzynarodowe.

OBŁASKAWIANIE DOBRYCH ISLAMISTÓW

Wszystko zaczęło się wraz z wybuchem Arabskiej Wiosny w Afryce Północnej i na Bliskim Wschodzie. Cały region pogrążył się w chaosie niepokoju społecznych, politycznych rewolt i krwawych wojen domowych, a dotychczasowa względna równowaga strategiczna rozsypała się w proch. Rządzący wówczas Arabią Saudyjską stary i schorowany król Abdullah bin Abdulaziz al Saud zdołał co prawda uchronić kraj przed zarażeniem się „rewolucyjną chorobą”, kupując spokój społeczny miliardowymi subwencjami ekonomicznymi i podatkowymi, ale nie zapobiegł wciągnięciu państwa w spiralę regionalnej geopolitycznej konfrontacji.

Rozwój wypadków na Bliskim Wschodzie sprawił bowiem, że najbardziej gwałtowne i krwawe wydarzenia objęły te rejony, które mają istotne znaczenie dla strategicznych interesów Rijadu. Dzisiaj wiadomo już, że nie był to zbieg okoliczności. W większości tych miejsc na niekorzystny dla Saudów bieg spraw miała bowiem wpływ polityka Islamskiej Republiki Iranu (IRI),

największego geopolitycznego i ideologicznego rywala królestwa Saudów. Rijad, dotychczas uważający się za naturalnego stabilizatora regionu i jego filar (przynajmniej w odniesieniu do sunnickich Arabów), nagle znalazł się w centrum bliskowschodniej zawieruchy, podkopującej podwaliny królestwa. Co gorsza, musiał w tym samym czasie zmierzyć się z kilkoma punktami zapalnymi jednocześnie.

Z tymi wyzwaniem Saudyjczycy początkowo próbowali sobie radzić w tradycyjny sposób, tj. unikając bezpośredniego angażowania się w lokalne konflikty, preferując za to użycie po swojej stronie miejscowych sił sunnickich, a nawet „umiarkowanie islamistycznych”. Pierwowzoru tego paradygmatu bezpieczeństwa można się chyba doszukiwać w pakistańskiej polityce obłaskawiania „dobrych islamistów”, równie zgubnej dla Islamabadu co jej saudyjska wersja dla Rijadu.

Jeszcze w ubiegłym stuleciu – np. w Jemenie, Iraku (za Saddama Hussajna) czy w Afganistanie – taka strategia zapewniała Rijadowi sukces. Niestety, tym razem szybko jednak stało się jasne, że w geopolitycznym starciu z wrogiem Iranem w nowych realiach na Bliskim Wschodzie nie przynosi ona zadowalających efektów. Zarówno w Iraku, gdzie proirańska większość szyicka utrwałała swą dominację w kraju, jak i w Syrii, która stała się największym i najkrwawszym frontem w „wojnie zastępczej” między Rijadem a Tehera-



Niezwykle liczna, blisko dwudziestotysięczna rodzina Saudów jest skłonna, podzielona na liczne frakcje i koterie skłonne do pałacowych intryg.

nem – Saudyjczycy ponosili geopolityczne porażki i traciли wpływy. Rosta ich frustracja, a co się z tym wiąże – także skłonność do podejmowania nieprzemyślanych decyzji i popełniania błędów, zarówno w polityce wewnętrznej, jak i zagranicznej.

Prawdziwość tej tezy potwierdził okres swoistej smuty w polityce zewnętrznej Arabii Saudyjskiej, który zaczął się wraz ze śmiercią króla Abdullaha w 2015 roku. I chociaż kwestia sukcesji po zmarłym monarsze została, wbrew powszechnym obawom, rozwiązana wyjątkowo szybko i sprawnie, to wraz z nastaniem rządów nowego władcy, Salmana ibn Abdulaziza al Sauda, zakończył się okres prosperity. Przywódca ten okazał się znacznie mniej skuteczny niż oczekiwano. Częściowo jego nieefektywność można zrzucić na karb podeszłego wieku (82 lata) i problemów ze zdrowiem, po części zaś na samo otoczenie władcy, coraz bardziej pochłonięte narastającymi rozgrywkami o władzę i wpływy wśród członków rodziny królewskiej.

A jest to rodzina niezwykle liczna (około 20 tys. osób), do tego skłócona i podzielona na koterie oraz frakcje, skłonne do pałacowych intryg. Poza tym Abdullah pozostawił następcy w spadku kilka palących problemów wewnętrznych, takich jak choćby narastająca radykalizacja mniejszości szyickiej (15% populacji królestwa).

To zagrożenie tym większe, że dynamika regionalnych wydarzeń ostatnich dwóch lat sprawiła, że Teheran zaczął zyskiwać przewagę w rywalizacji z Arabią Saudyjską. Irańczycy mają istotny wpływ ideologiczny i polityczny na rządy w Damaszku, Bagdadzie, Sanie i Bejrucie, a ich aktywność strategiczna i wsparcie finansowe sięgają także Strefy Gazy oraz szyickich społeczności Kuwejt, Arabii Saudyjskiej i Bahrajnu.

BEZPARDONOWA WALKA O KORONĘ

Zasięg geopolitycznego oddziaływania Teheranu obejmuje już niemal wszystkie kluczowe rejony Bliskiego Wschodu. Zepchnięty do defensywy Rijad został zmuszony do podejmowania pochopnych działań, szkodzących w dłuższej perspektywie saudyjskim interesom. Przykładem jest awanturnicza wyprawa wojenna do sąsiedniego Jemenu w 2015 roku, mająca na celu udzielenie wsparcia tamtejszej ludności sunnickiej w jej wysiłkach na rzecz odzyskania władzy w kraju i powstrzymania szyickiego ugrupowania Ansar Allah. Operacja ta, podjęta bez głębszej refleksji strategicznej i szczegółowego planowania militarnego, już po kilku miesiącach przerodziła się w przewlekłą, niemożliwą do wygrania konflikt typu asymetrycznego, który stał się dla Arabii Saudyjskiej politycznym, ekonomicznym i społecznym koszmarem, niczym wojna w Wietnamie dla Stanów Zjednoczonych pół wieku temu.

Jemeński dramat to nie tylko uwikłanie się Arabii Saudyjskiej w hybrydowy konflikt z Iranem, bo odbił się on na sytuacji politycznej wewnątrz królestwa, wpływając na dekompozycję „królewskiego dworu” w Rijadzie. Ten konflikt zaburzył bowiem równowagę sił w plemienno-



SAUDYJSKA WERSJA „GRY O TRON” ZDAJE SIĘ RÓWNIE PASJONUJĄCA JAK JEJ POPKULTUROWY FILMOWY ODPOWIEDNIK, A NAJCIEKAWSZE „ODCINKI” KRÓLEWSKIEJ SAGI DOMU SAUDÓW SĄ BYĆ MOŻE DOPIERO PRZED NAMI

-klanowym społeczeństwie Arabii Saudyjskiej. 21 czerwca 2017 roku, na mocy dekretu królewskiego, książę Muhammad bin Nadżaf, dotychczasowy pierwszy następca tronu i jednocześnie wpływowy minister spraw wewnętrznych, został z dnia na dzień odsunięty od pełnienia wszelkich funkcji i stanowisk w państwie. Jego miejsce w kolejce do tronu zajął syn króla Salmana, 32-letni Mohammad bin Salman, minister obrony i główny architekt operacji militarnej w Jemenie, a także szara eminencja dworu.

Jak donoszą źródła z regionu, książę bin Nadżaf popadł w niełaskę, bo miał się posunąć nieco za daleko w publicznej, otwartej krytyce działań saudyjskiego resortu obrony w kontekście wojny w Jemenie, co zostało odczytane jako zawałowany atak na króla. Niezależnie od tego, jaki był faktyczny przebieg wydarzeń, nie ulega wątpliwości, że Rijad sam pozbył się swego najlepszego atutu w geopolitycznej rozgrywce z Iranem, a jednocześnie podniósł temperaturę sporu wewnątrz i tak śmiertelnie skłóconej rodziny panującej. Wszak Muhammad bin Nadżaf to doświadczony polityk i doskonały organizator, autor m.in. niezwykle skutecznej strategii zwalczania islamskiego ekstremizmu na terenie królestwa Saudów, który przeżył co najmniej cztery próby zamachów podejmowane przez Al-Kaidę Półwyspu Arabskiego. Bin Nadżaf to także nieformalny lider jednej z głównych linii rodu panującego, pretendujący do objęcia tronu, obecnie zaś do żywego sfrustrowany faktem bezwzględного odsunięcia go na boczny tor i zaprzepaszczenia dążeń całego klanu.

Historia Muhammada bin Nadżafa doskonale pokazuje realia na szczytach władzy w Rijadzie. Jak widać, saudyjska wersja „Gry o tron” zdaje się równie pasjonująca jak jej popkulturowy filmowy odpowiednik, a najciekawsze „odcinki” królewskiej sagi Domu Saudów są być może dopiero przed nami. Wydaje się bowiem, że kryzys w łonie rodziny królewskiej zatacza coraz szersze kręgi i ma poważne konsekwencje. Po szczególnie koterie i klany, wykorzystujące ewidentną słabość polityczną Salmana, prowadzą zażartą walkę o to, kto zasiądzie po nim na tronie. Przy czym w tej rozgrywce młody Mohammad bin Salman absolutnie nie może być pewny swego sukcesu.

Wiele wskazuje na to, że spektakularna seria aresztowań kilkudziesięciu członków Domu



Wraz z nastaniem rządów nowego władcy, Salmana ibn Abdulaziza al Sauda, zakończył się okres prosperity. Przywódca ten okazał się znacznie mniej skuteczny niż oczekiwano.

ZEPCHNIĘTY DO DEFENSYWY RIJAD ZOSTAŁ ZMUSZONY DO PODJĘCIA POCHOPNYCH DZIAŁAŃ, SZKODZĄCYCH W DŁUŻSZEJ PERSPEKTYWIE SAUDYJSKIM INTERESOM

Saudów (w tym wielu z tytułem książęcym, a także kilku ministrów i wysokich rangą wojskowych) – do których doszło na początku listopada 2017 roku pod zarzutami korupcji, prania pieniędzy, malwersacji finansowych itp. – to właśnie element saudyjskiej walki o koronę. Także wiele z ostatnich działań Rijadu na arenie międzynarodowej nosi znamiona nie tyle akcji podejmowanych w interesie państwa, ile walki różnych ośrodków politycznych i dynastycznych wewnątrz rodziny panującej.

Kiedy w czerwcu 2017 roku Arabia Saudyjska wraz z kilkoma innymi państwami arabskimi w zaskakująco gwałtowny sposób wywołała kryzys dyplomatyczno-polityczny z Katarą – dotychczas jednym ze swych najbliższych sojuszników – świat zamarł ze zdziwienia. Zarówno sposób działania Rijadu, jak i oficjalnie podawane powody zerwania relacji z Dohą nie przekonały chyba nikogo. Całość sprawia wrażenie topornie zbudowanej narracji, mającej być propagandowo-medialną zasłoną dymną dla odciążenia uwagi opinii publicznej od faktu, że niewiele się dzieje na innych, znacznie ważniejszych kierunkach aktywności zagranicznej królestwa Saudów.

Wbrew nadziejom Rijadu, Katar nie dał się zastraszyć i nie podporządkował się absurdalnym żądaniom saudyjskim, co sprawiło, że cały kryzys niebezpiecznie się przedłuża, angażując siły i środki Saudyjczyków, wystawiając na szwank ich reputację, osłabiając sojusz Rady Państw Zatoki Perskiej (GCC), a przede wszystkim odwracając uwagę od rzeczywistych wyzwań i problemów w regionie, zwłaszcza tych zagrażających bezpieczeństwu państwa. Na geopolityczne skutki takiego stanu rzeczy nie trzeba było zresztą długo czekać – uwikłany w kuriozalną rozgrywkę wokół Kataru Rijad niemal całkowicie wypadł latem 2017 roku z gry o przyszłość Lewantu, tracąc możliwość oddziaływania na sytuację w Syrii i jej otoczeniu. A działa się tam rzeczy niezwykle ważne: wspierany od lat przez Rosję i Iran reżim prezydenta Baszszara al-Asada odbił większość terenu zajmowanego dotychczas przez Państwo Islamskie. Przy okazji na defensywie znaleźli się jednak także sunniccy rebelianci z Wolnej Armii Syryjskiej, do niedawna wspierani politycznie i finansowo głównie właśnie przez Arabię Saudyjską oraz... Katar.

Chociaż rolę sponsorów i adwokatów syryjskiej „demokratycznej” opozycji sunnickiej próbują przejąć Jordania i Turcja, to los przeciwników rządu w Damaszku wydaje się przypieczętowany. Al-Asad zdołał utrzymać się u władzy i ktokolwiek wygra w Rijadzie walkę o schedę po królu Salmanie, stanie przed koniecznością zmierzenia się w przyszłości z tym problemem. A dla Saudów będzie to duży problem, syryjski dyktator bowiem doskonale zapamiętał, kto szczerze wspierał zbrojną rebelię w Syrii podczas krwawej wojny domowej, rozpoczętej w 2011 roku.

WSTĘP DO OTWARTEGO KONFLIKTU

Będący w strategicznej defensywie Rijad desperacko szuka nowych punktów zaczepienia dla polityki regionalnej. Bliski Wschód aż huczy od pogłosek o zacieśniającej się nieoficjalnej i tajnej współpracy Saudów z Izraelem, i to już nie tylko w postaci dość luźnych kontaktów wspólnot wywiadowczych obu państw, lecz także bar-

dziej sformalizowanych inicjatyw. Rzecz niebywała i świadcząca o skali frustracji Rijadu. Podobnie można odczytywać zaskakujące otwarcie Arabii Saudyjskiej na Rosję. Bezprecedensowa wizyta króla Salmana w Moskwie oraz podpisanie umów o współpracy bilateralnej i zakupach rosyjskiego sprzętu wojskowego to dowód na próbę wyjścia z międzynarodowego impasu, w jakim znalazł się Rijad. Nie bez znaczenia zapewne jest i to, że Rosja to bliski sojusznik Iranu, współpracujący z nim w Syrii i Iraku.

Równie zaskakująca jest polityczna akcja Saudów wymierzona w Hezbollah. Ugrupowanie to, realizujące w Lewancie interesy Iranu, nigdy nie miało dobrych relacji z Rijadem, ale od czasu zakończenia przed 26 laty libańskiej wojny domowej udawało się obu stronom unikać poważniejszych zadrażnień. Taki stan utrzymano nawet podczas obecnej wojny w Syrii, gdzie Hezbollah aktywnie wspierał rząd w Damaszku, Saudowie zaś zaangażowali się po stronie sunnickiej rebelii. Liban pozostawał w tym czasie nieformalnym terenem neutralnym – chodziło o uniknięcie sytuacji, w której kraj ten zostaje uwikłany w wojnę trawiającą sąsiednią Syrię. Nie bez znaczenia była tu też konieczność walki z Państwem Islamskim – wspólnym wrogiem tak dla Rijadu, jak i Teheranu.

Poza tym swoistą tradycją (przynajmniej do śmierci króla Abdullaha w 2015 roku) było koncyliacyjne podejście Saudów do najbardziej nawet palących kwestii polityki międzynarodowej. Tym większe było więc zaskoczenie obserwatorów, gdy pod koniec 2016 roku Arabia Saudyjska podjęła serię agresywnych działań wymierzonych bezpośrednio w Hezbollah. Rijad wzmógł również naciski na premiera Libanu, Sada al-Hariri, ponieważ chciał wymusić na nim podjęcie zdecydowanych działań przeciwko Hezbollahowi, co było w istocie zadaniem niewykonalnym, bo to ugrupowanie ma swych ministrów w libańskim rządzie. Do eskalacji kryzysu doszło 4 listopada 2017 roku, gdy przebywający z wizytą w Rijadzie Sad al-Hariri niespodziewanie ogłosił rezygnację ze stanowiska premiera. W ten sposób wywołał największy od lat kryzys polityczny w swym kraju i zwiększył napięcie w relacjach między głównymi rozgrywającymi w regionie. W Teheranie te działania Saudów zostały wprost odebrane jako zerwanie nieformalnego rozejmu odnoszącego się do Libanu i Iraku.

Wielu ekspertów obserwujących rozwój sytuacji w regionie – zwłaszcza w Libanie, Syrii i Jemenie – nie ma wątpliwości, że wydarzenia te stanowią wstęp do otwartego już, gorącego konfliktu między Arabią Saudyjską a Iranem, dojrzewającego od dawna, który dla całego Bliskiego Wschodu może się okazać tym, czym I wojna światowa stała się dla Europy. ■



POD BUKA-
RESZTEŃSKIM
ŁUKIEM TRIUMFAL-
NYM PRZEMASZEROWA-
ŁO 3,5 TYS. ŻOŁNIERZY
I PRZEJECHAŁO
350 POJAZDÓW BOJO-
WYCH.

ROBERT SENDEK

Wojsko nie od parady

Rumunia modernizuje swoją armię. W planach jest zakup systemu rakietowego Patriot, transporterów opancerzonych, samolotów bojowych i śmigłowców oraz budowa czterech korwet dla marynarki wojennej.

Z okazji narodowego święta Rumunii, które przypada 1 grudnia, w Bukareszcie odbyła się wielka parada wojskowa. Relacjonujące defiladę media skrupulatnie odnotowały, że pod bukareszteńskim łukiem triumfalnym przemaszewowało 3,5 tys. żołnierzy, przejechało 350 pojazdów bojowych różnych typów, a nad głowami zebranych widzów przeleciało 50 śmigłowców i samolotów. Była to, jak twierdzili komentatorzy, najbardziej imponująca parada wojskowa zorganizowana w Rumunii w ostatnich latach.

Rzeczywiście, pokaz robił wrażenie, liczby imponowały, maszyny mogły się podobać widzom. Najważniejsze jednak, że można było zaobserwować, że armia jest w znacznie lepszym stanie niż jeszcze kilka lat temu. Po okresie zaciskania pasa nadszedł czas intensywniejszego rozwoju. Wprawdzie wciąż wiele pozostało do zrobienia i zdecydowanie nadal jest na co narzekać, ale zmiany w rumuńskiej armii są już widoczne.

Warto również zauważyć, że wśród paradujących ulicami Bukaresztu żołnierzy nie małą grupę, liczącą około 300 osób, stanowili wojskowi z 15 krajów sojuszników. Znaleźli się wśród nich m.in. żołnierze z Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Rumunii. Na grudniowej defiladzie prezentowano więc najlepszą i najnowocześniejszą stronę rumuńskiej armii, pokazując równocześnie, w jakim miejscu znajduje się współczesna, modernizująca się armia jednego z krajów członkowskich NATO.

NADCHODZĄ PIĘKNE DNI

O planach i nadchodzących zmianach w rumuńskich siłach zbrojnych chętnie i dużo mówią tamtejsi politycy, w tym przede wszystkim nowy, pełniący funkcję od września 2017 roku, minister obrony narodowej Rumunii, Mihai Fifor. Właściwie od chwili objęcia przez niego urzędu media regularnie donoszą o kolejnych planach, podpisywanych umowach i terminach związanych z dostawą nowego sprzętu. To istotne, bo właściwie od chwili, kiedy w Rumunii upadł komunizm, kolejne rządy nieustannie powtarzały, że wojsko jest niedoinwestowane i nie ma pieniędzy na modernizację.

Tym razem pieniędzy jest nieco więcej niż było w przeszłości, m.in. za sprawą przyjętych na szczycie NATO w Newport w 2014 roku wytycznych w sprawie zwiększenia wydatków na obronność. Rumuni już w ubiegłym roku postavili sobie za punkt honoru osiągnięcie w wydatkach na wojsko poziomu 2% PKB. Za sprawą prezydenta Klausa Iohannisa udało się wynegocjować ponadpartyjne porozumienie w kwestii zwiększe-

nia wydatków na wojsko, począwszy od roku 2017 przez kolejnych dziesięć lat.

Ważnym impulsem modernizacyjnym okazała się także zmieniona sytuacja geopolityczna po zajęciu przez Rosję Krymu oraz tłący się na wschodzie Ukrainy konflikt. Oba te elementy, wraz z koncepcją wzmocnienia wschodniej flanki NATO, okazały się nader motywujące dla rumuńskich polityków w sprawie odkładanych od dawna inwestycji na własną armię.

Przyjęty przez Najwyższą Radę Obrony Narodowej (CSAT) w sierpniu 2017 roku plan modernizacji sił zbrojnych na lata 2017–2026 przewiduje kilka programów na ogólną sumę 9,8 mld euro. Co istotne, uwzględnia on nie tylko niezbędne zakupy sprzętu wojskowego, lecz także przewiduje długofalowe zaangażowanie rodzimego przemysłu obronnego w jego produkcję i modernizację. Pozwoli to w dłuższej perspektywie zmniejszyć zależność od zagranicznej pomocy w dziedzinie np. napraw czy serwisu, ale także ułatwi w przyszłości kolejne zamówienia.

PIRANIE W KARPATACH

Jednym z głównych celów wskazanych w przyjętym przez CSAT planie modernizacyjnym rumuńskich sił zbrojnych jest zakup elementów systemu obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej Patriot. Międzyrządowa umowa w sprawie zakupu pierwszej partii zestawów w ramach amerykańskiego programu sprzedaży sprzętu wojskowego za granicę (Foreign Military Sales) została podpisana przez Fifora pod koniec listopada 2017 roku. Według przedstawionego przez ministra kalendarza, pierwszy zestaw patriotów z siedmiu, o które trwają starania, powinien dotrzeć do Rumunii do połowy 2019 roku, natomiast zdolność operacyjną ma osiągnąć rok później. Przewidywany koszt zakupu systemu wynosi 3,9 mld dolarów.

Istotnym elementem planów modernizacji rumuńskich sił zbrojnych ma być wzmocnienie artylerii dzięki zakupowi zestawów wyrzutni rakietowych HIMARS (High Mobility Artillery Rocket System). Kongres USA wydał we wrześniu 2017 roku zgodę na sprzedaż Rumunii 54 wyrzutni M142 systemu HIMARS wraz z niezbędnym wyposażeniem. Ten program jest w fazie negocjacji oraz omawiania spraw technicznych dotyczących finalnej konfiguracji.

W końcowej fazie realizacji jest natomiast program zakupu kołowych transporterów opancerzonych (KTO). W połowie ubiegłego roku prasa pisała, że w planach jest pozyskanie 628 pojazdów, a kilka miesięcy później ogłoszono jednak, że Rumunia zdecydowała się ostatecznie na 227 egzemplarzy maszyn typu Piranha 5. W ich produkcję



PO LATACH ZACISKANIA PASA NADSZEDŁ CZAS INTENSYWNIJSZEGO ROZWOJU

zostanie zaangażowany rumuński przemysł wojskowy. Pierwsze 30 pojazdów ma być bowiem dostarczone przez producenta, którym jest należąca do General Dynamics szwajcarska wytwórnia Mowag, a pozostałe 197 powstanie już na miejscu, w Rumunii. Piranie mają sukcesywnie zastępować wciąż eksploatowane w rumuńskich siłach zbrojnych pojazdy typu TAB, będące wersjami licencyjnymi jeszcze sowieckich BTR-ów.

SKRZYDLATA RUMUNIA

W ostatnim czasie doszło także do zmian w lotnictwie wojskowym Rumunii. Po wielu latach debat, planów i ciągłego przesuwania terminów udało się doprowadzić do końca programu zakupu 12 używanych samolotów wielozadaniowych F-16. Podpisana w 2013 roku umowa z Portugalią obejmowała modernizację wyprodukowanych jeszcze w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku maszyn do standardu F-16 Block 15 MLU. Uzgodniono także wyszkolenie pilotów i techników, wsparcie logistyczne oraz dwuletni okres wsparcia technicznego. Samoloty są dostarczane do Rumunii partiami od jesieni 2016 roku. Ostatnie trzy egzemplarze Portugalczycy przekazali pod koniec września 2017 roku.

Dwanaście maszyn to dla rumuńskich sił powietrznych nowa jakość, jest ich jednak zbyt mało, by mogły w pełni zastąpić wciąż pozostające w wyposażeniu przestarzałe MiG-21. Z tego względu rozważa się zakup kolejnej partii samolotów. Minister Fifer wspominał w tym kontekście o 36 płatowcach F-16 od Amerykanów.

ŚMIGŁOWCOWE TRIO

Trwają również rozmowy w sprawie zakupu 60 nowych śmigłowców. Mają to być aż trzy typy: wielozadaniowe Airbus Helicopters H215M i Bell UH-1Y Venom oraz szturmowe AH-1Z Viper. Najbardziej zaawansowane są starania o pozyskanie tych pierwszych. Sprawa w tym

wypadku jest o tyle oczywista, że Airbus Helicopters (wcześniej pod nazwą Eurocopter), od 2002 roku działa w Rumunii jako konsorcjum IAR-Airbus i ma fabrykę w miejscowości Ghimbav pod Braszowem. Szczegóły nie są znane, mówi się, że śmigłowców ma być 15 albo 16.

Nieco trudniejsza sprawa jest ze śmigłowcami Venom oraz Viper. Na początku sierpnia poprzedni szef rumuńskiego MON-u Adrian Țuțuianu, w towarzystwie przedstawicieli rumuńskiego przedsiębiorstwa Romarm, podpisał memorandum w sprawie współpracy z amerykańską firmą Bell Helicopter. Rumunom zależy jednak na tym, by zamawiane śmigłowce były przynajmniej w części wyprodukowane na miejscu, do uruchomienia produkcji szturmowych viperów oraz transferu technologii konieczna jest natomiast zgoda amerykańskiego kongresu. Według szefa rumuńskiego resortu obrony plany obejmują zakup 21 średnich śmigłowców transportowych Venom oraz 24 viperów.

ROK MARYNARKI

W przeddzień grudniowej defilady szef rumuńskiego ministerstwa obrony zapowiedział zmianę priorytetów na rok 2018 dotyczących inwestycji w sprzęt. Ponieważ – jak powiedział – w ostatnim czasie bardzo dużo uwagi poświęcano lotnictwu oraz siłom lądowym, rok 2018 będzie rokiem marynarki wojennej. Zapowiedział, że w ciągu 12 miesięcy powinien zostać rozstrzygnięty przetarg na budowę czterech korwet wielozadaniowych, o których mówi się już od jakiegoś czasu. Mają być one budowane w rumuńskiej stoczni w Gałaczu we współpracy z partnerem zagranicznym. Podobno pierwsze dwa okręty powstaną w ciągu dwu lat.

Kolejnym zadaniem będzie modernizacja, dobrojenie i doposażenie nieco już leciwych fregat „Regele Ferdinand” oraz „Regina Maria” w nowe systemy radarowe oraz raketowe. Planowano załatwić tę sprawę w 2017 roku, ale nic z tego nie wyszło. ■

Kwestia cypryjska od wielu lat odgrywa znaczącą rolę w geostrategii Republiki Turcji. Stanowi również jedno z priorytetowych zagadnień w ramach prowadzonej przez nią polityki zagranicznej. Jej symbolem stał się desant tureckich sił zbrojnych przeprowadzony w lipcu 1974 roku w północnej części wyspy. Grecy cypryjscy niezmiennie określają go mianem inwazji oraz aktu agresji, podczas gdy tamtejsi Turcy używają terminu „operacja pokojowa”. Bez względu jednak na polityczne opinie turecka obecność wojskowa na Cyprze pozostaje faktem. Ze strategicznego punktu widzenia druga największa armia NATO w pełni kontroluje sytuację na wyspie, a także dominuje w jej przestrzeni powietrznej i na morzu.

(NIE)PODZIELONY CYPR

Jeszcze większe emocje budzi faktyczny podział wyspy, który poważnie komplikuje sytuację nie tylko na samym Cyprze, lecz także we wschodnim regionie Morza Śródziemnego. Strona grecka utrzymuje, że z formalnego punktu widzenia wciąż istnieje i funkcjonuje Republika Cypryjska, ustanowiona na mocy kompromisu zawartego między przedstawicielami obu społeczności w 1960 roku. Państwo to nadal formalnie posiada gwarancje bezpieczeństwa ze strony Wielkiej Brytanii, Grecji oraz Turcji. Grecy cypryjscy oskarżają jednak władze tureckie o okupację części suwerennego

kraju oraz trwałe naruszenie integralności terytorialnej. Z kolei Turcja oraz władze nieuznawanej przez społeczność międzynarodową Tureckiej Republiki Cypru Północnego (TRCP) podkreślają znaczenie faktycznego podziału oraz równoległe istnienie dwóch niepodległych państw.

Nikt poza Turcją nie uznaje jednak tego podziału, formalnie zatem Republika Cypryjska obejmuje wyspę w całości. Unia Europejska, przyjmując Cypr w poczet członków w 2004 roku, podkreśliła, że całe terytorium stało się częścią wspólnoty. Jednocześnie zawiesiła stosowanie do

roboku prawnego UE na obszarach znajdujących się „poza efektywną kontrolą władz Republiki Cypryjskiej”. Tym samym Turcy cypryjscy stali się obywatelami UE, ale zamieszkującymi tereny, na których nie mogą korzystać z przysługujących im praw. Są dwie przyczyny takiego stanu: utrzymywanie administracji państwowej TRCP oraz stacjonowanie tureckich oddziałów.

Mimo co najmniej kilkunastu propozycji pokojowego rozwiązania problemu, Cypr ciągle pozostaje faktycznie podzielony, a konflikt nie jest uregulowany od 1974 roku. Gwarantem bezpieczeństwa państwa Turków cypryjskich jest armia z Ankary, której żołnierze stacjonują w bazach rozsiadanych na północy wyspy. Dla Greków cypryjskich są to siły okupacyjne, które nie tylko zagrażają bezpieczeństwu ich społeczności i struktur państwowych, lecz także uniemożliwiają

PRZEMYSŁAW OSIEWICZ

Wyspa niezgody

Cypr jest jednym z najbardziej zmilitaryzowanych miejsc na świecie. Gdyby jednak potencjał wojskowy przekładał się tam na intensyfikację dialogu pokojowego, problemy w tym rejonie już dawno zostałyby rozwiązane.





pojednanie i ostateczne uregulowanie sporu. Niektórzy analitycy przedstawiają, nieco ironicznie, kwestię cypryjską jako rywalizację 30 tys. tureckich żołnierzy z 30 tys. greckich prawników. I choć władze Republiki Cypryjskiej zawyżają liczbę wojskowych, to ich przewaga jest niepodważalna i ma rzeczywisty wpływ na układ sił między obiema cypryjskimi społecznościami.

Najlepszym przykładem takiego stanu jest fiasko negocjacji w szwajcarskim Crans-Montana, w których trakcie Grecy zwracali uwagę na zagrożenie ze strony tureckiej armii oraz brak zgody na zawarcie jakiegokolwiek porozumienia zakładającego dalsze stacjonowanie obcych wojsk na wyspie. Władze Republiki Cypryjskiej niezmiennie wskazują, że budowa wspólnego państwa pod lufami tureckich karabinów zagrażała by bezpieczeństwu greckiej społeczności. Rozmowy mające przerwać ten trwający od 40 lat konflikt zakończyły się zatem fiaskiem.

SIŁA LICZB

Ilu tureckich żołnierzy faktycznie stacjonuje na Cyprze? Na mocy postanowień z 1959 roku Grecy mogli utrzymywać tam kontyngent liczący maksymalnie 950 żołnierzy, Turcy zaś – 650. Gwardia Narodowa została zdominowana przez Greków cypryjskich, którzy mieli wyraźną przewagę nad społecznością turecką. Przez kilkanaście lat społeczność Turków cypryjskich była podporządkowana greckim oddziałom wojsko-

wym oraz paramilitarnym. Wielu ludzi musiało wtedy żyć w enklawach na terenach wiejskich, praktycznie odciętych od świata.

Sytuacja zmieniła się diametralnie latem 1974 roku. Nieudany prawicowy pucz progreckich nacjonalistów pod wodzą Nikosa Sampsona, inspirowany przez juntę czarnych pułkowników i, zdaniem niektórych analityków, popierany przez CIA, doprowadził do bratobójczych walk. Gdy puczyści zapowiedzieli zmianę porządku konstytucyjnego i wyrazili wolę przyłączenia Cypru do Grecji, Ankara podjęła radykalne kroki. Skorzystała wtedy z przysługującego jej statusu państwa gwaranta, choć legalność podjętych działań do dzisiaj budzi kontrowersje wśród prawników.

Wielu analityków podkreśla, że Turcja użyła pretekstu, by przeprowadzić od dawna planowany podział wyspy. Ostatecznie w dwóch operacjach desantowych „Attyla” wzięło udział około 40 tys. żołnierzy. Nie napotkawszy większego oporu, jednostki tureckie zajęły ponad 30% terytorium wyspy. Po wynegocjowaniu zawieszenia broni tureckie oddziały w takiej sile stacjonowały na północnym Cyprze aż do początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia.

RELIKT ZIMNEJ WOJNY

Wraz z końcem zimnej wojny zmieniła się również sytuacja w regionie wschodniego Morza Śródziemnego. Obniżeniu napięcia w relacjach międzynarodowych nie towarzyszyło jednak

Analitycy przedstawiają kwestię cypryjską jako rywalizację 30 tys. tureckich żołnierzy z 30 tys. greckich prawników.



Niczego nie zdobędzie się bez poświęcenia, a wolności bez krwi – to jeden z napisów umieszczonych na murze w strefie buforowej dzielącej Cypr na dwie części. Stare miasto w Nikozji.

ograniczenie deficytu wzajemnej nieufności między przedstawicielami obu społeczeństw. Władze TRCP nadal podkreślały konieczność stacjonowania tureckiej armii. Teraz liczy ona około 17 tys. żołnierzy, choć według ONZ może ich być nawet 30 tys.

Największe bazy wojskowe znajdują się w Paşaköy, Degirmenlik oraz Calimbel. Wraz z siłami zbrojnymi Turków cypryjskich, szacowanymi na około 9 tys., wojska tureckie wyraźnie dominują nad Gwardią Narodową Republiki Cypryjskiej, mającą 12 tys. członków. Biorąc pod uwagę relatywnie niewielki obszar wyspy (około 10 tys. km²), nikogo nie może dziwić, że Cypr bywa nazywany jednym z najbardziej zmilitaryzowanych miejsc na świecie.

Turcy mają również przewagę pod względem uzbrojenia. Dysponują 248 czołgami M48A5T1 i M48A5T2, 361 transporterami opancerzonymi M113A1, kilkuset bojowymi wozami piechoty, wieloprowadnicowymi wyrzutniami raketowymi, 96 haubicami, a także ponad 600 moździerzami. Turcy cypryjscy mogą też liczyć na wsparcie i ochronę ze strony sił powietrznych Ankary, których supremacja we wschodniej części Morza Śródziemnego nie budzi wątpliwości. Myśliwce F-16, stacjonujące w bazach w południowej Turcji, regularnie wykonują loty zwiadowcze nad północną częścią wyspy, za każdym razem formalnie naruszając przestrzeń powietrzną Republiki Cypryjskiej. Na stałe jest tam utrzymywanych też 30 wielozadaniowych śmigłowców AS532 Cougar.

MILITARNA MOZAIKA

Jeśli do układu sił na wyspie dodamy dwie suwerenne bazy brytyjskie w Dhekelii oraz Akrotiri, uzyskamy obraz

Cypru, który stanowi potencjalnie jeden z największych punktów zapalnych nie tylko wewnątrz Unii Europejskiej, lecz także w całej Europie. Jakakolwiek konfrontacja grecko-turecka wymagałaby zaangażowania sił brytyjskich, a te, przynajmniej zgodnie z oficjalnym stanowiskiem Londynu, popierają Greków cypryjskich, konsekwentnie odmawiając uznania TRCP za państwo, a tureckie oddziały uważają za siły okupacyjne. Całość wojskowej mozaiki uzupełniają 858 wojskowych członków misji pokojowej ONZ, w której skład wchodzi mundurowi z Argentyny, Austrii, Brazylii, Chile, Kanady, Chin, Chorwacji, Paragwaju, Peru, Węgier, Wielkiej Brytanii, Serbii oraz Słowacji.

Gdyby potencjał wojskowy na wyspie przekładał się na intensyfikację dialogu pokojowego, kwestia cypryjska została już dawno uregulowana. Tymczasem jest wręcz odwrotnie. Stacjonowanie tam nieproporcjonalnie dużych sił tureckich utrudnia zawarcie kompromisu oraz wpływa na zwiększenie deficytu wzajemnego zaufania. Zarówno rząd Turcji, jak i prezydent Recep Tayyip Erdoğan postrzegają północny Cypr jako „młodsza ojczyznę”, a prezydent TRCP Mustafa Akinci podkreśla partnerski charakter więzi łączących jego państwo z Turcją. Trudno zatem się spodziewać jakichkolwiek ustępstw nie tylko odnośnie do wycofania żołnierzy z północnego Cypru, ale nawet poważniejszego ograniczenia ich liczby. ■

PRZEMYSŁAW OSIEWICZ jest profesorem nadzwyczajnym na Wydziale Nauk Politycznych i Dziennikarstwa Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, stałym współpracownikiem the Middle East Institute w Waszyngtonie.

Niezależnie od dnia tygodnia poranek w Wake mie wygląda zawsze tak samo. Zanim nastanie świt, rybacy wypływają na wody Irawadi, aby zarzucić sieci bądź zebrać połów. Na leżącym w centrum miasteczka targu kobiety wykładają sprzedawane przez siebie towary. Zmurszałe stragany uginają się pod ciężarem warzyw, mięs, przypraw oraz kwiatów. W powietrzu unosi się feeria zapachów – od ostrych, wręcz drażniących węch, po słodkie, a nawet mdłe. Kilka przecznic dalej pielęgniarzka odkurza schody prowadzące do miejscowej kliniki, a dziewczyna nakłada gościom obfite porcje ryżu. Wszystkie te miejsca oplata gęszcz ciasnych uliczek, którymi nieustannie pędzi wielokolorowy strumień rowerów, ryksz oraz skuterów. W tłumie można wyłapać owiniętych w czerwone szaty mnichów lub ubranych w zielone stroje uczniów.

Po uzyskaniu niepodległości w 1948 roku wiele wskazywało na to, że w Birmy demokracja zagościła na stałe. Kraj bardzo szybko rozwijał się gospodarczo, a dzięki ustaleniu regionów autonomicznych wielonarodowego społeczeństwa nie dotykały krwawe konflikty. Obraz ten zmienił się jednak diametralnie już na początku lat sześćdziesiątych. W wyniku zamachu stanu władzę przejęła Birmańska Partia Programu Socjalistycznego, za którą bezpośrednio stała armia. Dla mieszkańców oznaczało to blisko trzy dekady krwawej dyktatury.

RZĄDY ZZA KULIS

Mieszkańcy Rangunu, centrum gospodarczego Birmy i zarazem jej wieloletniej stolicy (od 2005 roku jest nią Naypyidaw), wciąż pamiętają sierpień 1988 roku. W masowych protestach przeciwko wojskowej juncie zginęło od kilkuset do nawet 2 tys. osób. Upór Birmańczyków doprowadził do upadku rządu, ale niemal natychmiast kraj ogarnęła anarchia, w efekcie czego władzę przejęła nowa junta. Jednocześnie wydarzenia te pozwoliły zaistnieć opozycji, na której czele stanęła Aung San Suu Kyi.

„Od 1988 roku nastąpił podział polityczny wewnątrz Birmy. Armia zachowała władzę, ale bez poparcia społecznego, które z kolei przypadło Aung San Suu Kyi. Mimo wygranych wyborów nie pozwolono jej jednak sprawować żadnych rządów. W tym samym czasie zdobyła ona ogromne poparcie na Zachodzie, stała się symbolem demokracji i nadziei dla Birmy. To właśnie po jej prośbach nałożono na ten kraj sankcje. Kilka lat wcześniej przyznano jej pokojową Nagrodę Nobla, ale mało kto pamięta, że ojcem Suu Kyi był generał, który założył birmańskie siły



MICHAŁ ZIELIŃSKI

Wszystkie odcienie BIRMY

Mimo upadku junty wojskowej oraz stopniowej demokratyzacji Birma wciąż zмага się z licznymi problemami wewnętrznymi. Fasadowy rząd, konflikty na pograniczu oraz exodus Rohingjów utrudniają ustabilizowanie pozycji tego kraju na arenie międzynarodowej.

zbrojne. Na dobrą sprawę ta kobieta walczyła o władzę, a jej spór z generałami był kłótnią w rodzinie armii”, tłumaczy dr Michał Lubina z Instytutu Bliskiego i Dalekiego Wschodu Uniwersytetu Jagiellońskiego, autor biografii Suu Kyi. Jego zdaniem najbardziej na zaistniałej sytuacji skorzystały Chiny, które nie odcięły się od Birmy gospodarczo. Jednym z namacalnych świadectw tego sojuszu stało się zawetowanie sankcji przez Państwo Środka podczas obrad Rady Bezpieczeństwa ONZ w 2007 roku. Tydzień później podpisano porozumienie zakładające budowę gazociągu prowadzącego z Birmy do Chin (projekt został już zrealizowany).

Stan dominacji Chin w regionie trwał do 2011 roku. Generałowie nawiązali kontakt ze Stanami Zjednoczonymi, co doprowadziło do zbliżenia między birmańską armią



MICHAŁ ZIELIŃSKI



Mordy, gwałty i masowe przesiedlenia. Dla birmańskich władz – poddawani różnorodnym oraz nieludzkim formom dyskryminacji Rohingjowie – to temat tabu.

a Aung San Suu Kyi. W jej publicznych wystąpieniach pojawiły się wypowiedzi o reformach wprowadzanych przez wojskowych oraz poprawiającej się sytuacji materialnej mieszkańców Birmy. Była to gra mająca służyć osiągnięciu władzy. Ostatecznie zakończyła się zwycięstwem w wyborach w 2015 roku. „Tak naprawdę w Birmy jest dwuwładza. Wygrana z 78-procentowym poparciem zaskoczyła generałów i pozwoliła Suu Kyi stanąć na czele rządu, ale jej możliwości mocno ogranicza konstytucja. Trzy ważne ministerstwa – obrony, służb wewnętrznych oraz pogranicza – są wojskowe. Jednocześnie istnieje przepis, że w razie zagrożenia integralności narodowej armia może dokonać zama-

chu stanu. W praktyce oznacza to, że Suu Kyi od dwóch lat robi wszystko, żeby nie drażnić generałów. Oni z kolei rządzą zza kulis”, podsumowuje dr Michał Lubina.

Zainteresowanie Amerykanów sytuacją wewnętrzną Birmy jest bezpośrednio związane ze zwrotem w kierunku Azji, chęcią zmniejszenia wpływów Chin oraz ograniczenia ich dostępu do Oceanu Indyjskiego. Tradycyjna polityka zagraniczna Birmy opiera się na dystansie wobec świata zewnętrznego, dlatego generałowie chętnie zawiązali nowy sojusz, aby zachować równowagę. Ma on jednak symboliczne znaczenie i mimo zachodniej (a także japońskiej) obecności gospodarczej w Birmy, w marginalny sposób



wpływa na pozycję Chińczyków. Zwłaszcza że na relacjach birmańsko-amerykańskich bardzo szybko pojawiła się rysa.

ZBRODNI PRZECIWKO LUDZKOŚCI

Pogranicze Birmy od blisko sześciu dekad jest ogarnięte wojną ze względu na niepodległościowe dążenia regionów autonomicznych oraz prawo, które traktuje mniejszości etniczne jako obywateli drugiej kategorii. Północną część kraju przejęły oddziały partyzanckie, które mimo reform nie przystąpiły do porozumień o zawieszeniu broni. Jedną z najbardziej wpływowych bojówek jest Armia Wyzwolenia Kaczinu, która kontroluje fragment pogranicza Birmy i Chin. Od dawna ma ona charakter grupy przestępczej, zajmującej się handlem kruszcami oraz opium.

Zupełnie inaczej sytuacja wygląda w leżącym na granicy z Bangladeszem stanie Arakan, zamieszkanym m.in. przez ponadmilionową mniejszość etniczną – Rohingjów. Jako muzułmanie, ludność ta jest uznawana za napływową oraz oskarżana o działanie przeciwko wyznającym buddyzm Arakańczykom. Począwszy od końca lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia stanowi cel ataków rządu Birmy. Ze względu na brak obywatelstwa, które odebrano im w 1982 roku, Rohingjowie nie mogą korzystać z powszechnej edukacji oraz nie są objęci opieką służby zdrowia. Dyskryminacja wielokrotnie przyjęła jednak znacznie tragiczniejsze oblicze. Powracające falami mordy, masowe przesiedlenia oraz gwałty były legitymowane przez władzę. Ostatni exodus rozpoczął się w sierpniu 2017 roku i doprowadził do ucieczki ponad 530 tys. Rohingjów. Przedstawiciele organizacji pozarządowych, w tym Amnesty International oraz Human Rights Watch, jednogłośnie stwierdzają, że w Birmy dochodzi do czystek etnicznych, zbrodni przeciwko ludzkości, a być może nawet do ludobójstwa.

„Ludobójstwo jest celowym wyniszczeniem poszczególnych grup etnicznych, narodowych, religijnych lub rasowych. Pod tym względem Rohingjowie jako grupa etniczna i religijna spełniają tę przesłankę. Czyny te mogą obejmować m.in. zabójstwo, eksterminację, niewolnictwo, gwałt, tortury oraz działania ograniczające narodziny. To, co wyróżnia ludobójstwo na tle innych zbrodni przeciwko ludzkości, to celowy plan wyniszczenia. Jeżeli zostanie zamordowana choćby jedna osoba, ale taki plan istnieje, to wówczas możemy mówić o ludobójstwie. Trudności polegają na tym, że wymaga ono określonego działania ze strony społeczności międzynarodowej. Birma to strefa wpły-



Ludność zamieszkująca tereny Birmy to głównie ubodzy rybacy i rolnicy.

wów Chin, dlatego każda interwencja może odbić się na sytuacji międzynarodowej”, przekonuje dr Piotr Łubiński z Instytutu Bezpieczeństwa i Edukacji Obywatelskiej Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie. Zaznacza przy tym, że kwestia Rohingjów już dawno dotyczy regionu. W Tajlandii znajdują się groby zamordowanych muzułmanów, zarazem Bangladesz, jedno z najgęściej zaludnionych państw na świecie, przyjmuje setki tysięcy uchodźców.

Pretekstem do tegorocznych czystek był atak partyzantek muzułmańskich na 30 posterunków armii birmańskiej. W odpowiedzi wojsko nie tylko nawiązało otwartą walkę z bojownikami, lecz także przystąpiło do masowego przesiedlenia oraz niszczenia wszystkich miejscowości, w których wykryto ich aktywność. Podobną strategię przyjmowały siły brytyjskie w Malezji w latach pięćdziesiątych



Niski poziom usług publicznych, w tym służby zdrowia, bezpośrednio przekłada się na standard życia wszystkich mieszkańców.

etnicznej. Podkreśla jednak, że w każdej chwili mogą się pojawić informacje, które być może zmieniają ten stan.

JESTEŚMY TACY SAMI

Konflikty toczące się na pograniczu oraz fasadowy rząd to niejedynie problemy, którym muszą stawić czoła Birmańczycy. Niski poziom usług publicznych, w tym służby zdrowia, bezpośrednio przekłada się na standard życia wszystkich mieszkańców. Wielu z nich ma kłopoty nawet z dostę-

NA KAŻDYM KRAŃCU ŚWIATA WYZNAWANE WARTOŚCI I POTRZEBY SĄ NIEMAL TAKIE SAME. CHCEMY MIEĆ ZDROWĄ RODZINĘ, DOSTĘP DO EDUKACJI I PRACY



MICHAŁ ZIELIŃSKI (4)

ubiegłego wieku oraz siły amerykańskie w pierwszych latach wojny w Wietnamie, jednak z punktu widzenia prawa międzynarodowego stosowanie odpowiedzialności zbiorowej względem cywilów jest niedopuszczalne.

„Sytuację tę można porównać do tej ze Srebrenicy. Do momentu ludobójstwa serbskiego na ludności muzułmańskiej bojówki Nasera Orića mogły wymordować wokół tej miejscowości nawet 3 tys. Serbów, popełniając w ten sposób zbrodnię wojenną, a być może zbrodnię przeciwko ludzkości lub ludobójstwo. Nie zwalnia to jednak z odpowiedzialności sił serbskich. Analogicznie, nawet jeżeli bojówki Rohingjów dopuszczają się aktów barbarzyństwa, nie uzasadnia to zbrodni strony rządowej”, tłumaczy dr Piotr Łubiński. Sytuację w Birmie ocenia jako zbrodnię przeciwko ludzkości bez planu celowego wyniszczenia mniejszości

pem do czystej wody. „Wynika to z tego, że kraj ten wciąż się rozwija. Dużo rzeczy zostało już wdrożonych, na przykład pod kątem ochrony przed katastrofami naturalnymi, ale dostęp do czystej wody wciąż jest utrudniony. Zdarza się, że nawet studnie głębinowe są zbyt płytkie, a więc woda nie nadaje się do użytku. Ciągłe panuje przekonanie, że ta z rzeki służy do tego, by się w niej kąpać, by prać oraz wykorzystywać ją do gotowania posiłków. Wynika to także z tego, że rzeka to najczęściej jedyne źródło wody, ale tradycja ta jest mocno zakorzeniona. Dlatego największą wartością jest edukacja od podstaw”, mówi Ewa Piekarska, prezes Polskiej Misji Medycznej, która w ramach działalności tego stowarzyszenia od zeszłego roku prowadzi w Birmie nie tylko akcję edukacyjną, lecz także szczepień przeciwko wirusowemu zapaleniu wątroby typu B. Polscy lekarze oraz wolontariusze zapewniają Birmańczykom również różną pomoc medyczną oraz szkołę miejscowy personel. Jak podkreśla Ewa Piekarska, mimo niejasnej sytuacji w Birmie działalność organizacji jest apolityczna i będzie kontynuowana: „W regionie pracy Polskiej Misji Medycznej jest biednie, ale nie ma epidemii głodu. Dlatego nie powiedziałabym, że ludzie ci żyją w skrajnym ubóstwie. Ze względu na uwarunkowania kulturowe żyją inaczej niż my, ale jesteśmy do siebie bardzo podobni. Na każdym krańcu świata wyznawane wartości oraz cele są niemal identyczne. Chcemy mieć zdrową rodzinę oraz dzieci, które mają dostęp do edukacji i dobrej pracy. Chcemy, żeby nasi bliscy nie zaznali głodu, wojny czy katastrof naturalnych”. ■

Gdy zakończyła się zimna wojna, w strukturze dowodzenia NATO funkcjonowało kilkadziesiąt dowództw różnych szczebli z personelem liczącym 23 tys. osób. Sojusz, mając nadzieję na dobre relacje z Federacją Rosyjską, odszedł od utrzymywania dużych zgrupowań wojsk w pobliżu wschodniej granicy i dowództw odpowiadających za konkretny obszar geograficzny. Równocześnie w tym czasie rozpoczął się, trwający około dwóch dekad, proces redukowania struktur dowódczych. Obecnie pozostało zaledwie siedem dowództw i około 7 tys. osób personelu.

W ostatnich latach zmieniła się jednak sytuacja w Europie, wzrosło m.in. ryzyko konfliktu konwencjonalnego z Rosją. W związku z tym już niedługo w strukturach dowodzenia sojuszu nastąpią kolejne zmiany. O konieczności ich wprowadzenia rozmawiano podczas szczytów NATO w Newport i w Warszawie. Oficjalnie o planach utworzenia

ność) oraz magazynowanie zapasów, a także za kontrolę ruchu, transport oraz obsługę i serwis. HNS jest szczególnie ważne w przypadku państw Europy Środkowej, takich jak Polska, Czechy, Słowacja czy Węgry, choćby dlatego, że w „Akcje stanowiącym o podstawach wzajemnych stosunków, współpracy i bezpieczeństwa”, który NATO i Rosja podpisały 27 maja 1997 roku w Paryżu, znalazła się deklaracja o nierozmieszczaniu przez sojusz na terytoriach nowych państw członkowskich dużych zgrupowań wojsk. W tej sytuacji szybki przerzut sojuszniczych sił i zdolność do ich przyjęcia zaczęły mieć kluczowe znaczenie dla bezpieczeństwa środkowoeuropejskich członków.

„Sojusz musi działać szybko lub szybciej niż siły Federacji Rosyjskiej, aby nasze odstraszanie było skuteczne”, stwierdził dowódca US Army w Europie gen. por. Ben Hodges, który od dawna opowiadał się za stworzeniem „wojskowej” strefy Schengen.

TADEUSZ WRÓBEL

Droga bez barier

Po latach angażowania się w misje zewnętrzne NATO odbudowuje zdolności do kolektywnej obrony.

dowództw logistycznego i dla obszaru Atlantyku poinformował 25 października 2017 roku przewodniczący Komitetu Wojskowego NATO gen. Petr Pavel. Dwa tygodnie później, podczas kwartalnego spotkania 8 listopada 2017 roku w Brukseli, ministrowie obrony państw członkowskich sojuszu zdecydowali o podjęciu prac nad uszczegółowieniem koncepcji stworzenia dwóch dowództw szczebla operacyjnego. Jedno z nich ma się zajmować logistyką i mobilnością wojsk, a drugie zapewnieniem bezpieczeństwa liniom zaopatrzenia przez Atlantyk. „Jest to niezbędne dla naszego transatlantyckiego sojuszu”, powiedział po tym spotkaniu sekretarz generalny NATO Jens Stoltenberg.

SZYBCIEJ I PROŚCIEJ

Dowództwo logistyczne nie będzie tworzone od zera, gdyż istnieje już współpraca w tej dziedzinie w NATO. Przykładem jest wsparcie udzielane przez państwo-gospodarza (Host Nation Support – HNS). W jego ramach państwo przyjmujące bierze na siebie odpowiedzialność m.in. za zapewnienie dostaw zaopatrzenia (woda, paliwo i żyw-

Sam fakt utworzenia dowództwa nie rozwiąże wszystkich problemów. Wiele państw będzie musiało zmodyfikować wewnętrzne prawo w odniesieniu do tranzytu i pobytu obcych żołnierzy na swych terytoriach. Jako przykład można wymienić kwestie granicznych odpraw celnych, które wydłużają czas przemieszczania się wojsk. Niezbędna będzie też lepsza wymiana informacji o infrastrukturze komunikacyjnej w poszczególnych państwach, w tym o nośności mostów i wiaduktów, czy też dostępnych pasach lotniskowych. O umiejscowienie siedziby dowództwa logistycznego na swym terytorium ubiegają się Polska i Niemcy. Gen. Hodges uważał, że ze względu na położenie geograficzne i posiadane zdolności powinna ona być u naszych zachodnich sąsiadów.

Historia dwóch wojen światowych pokazuje, że jednym z kluczowych czynników prowadzących do zwycięstw na europejskim teatrze działań operacyjnych było utrzymanie kontroli nad liniami komunikacyjnymi pomiędzy Ameryką Północną a Europą. W obu przypadkach dostarczano przez nie zaopatrzenie, a potem przerzucano ame-

rykańskich żołnierzy. Dlatego też w okresie zimnej wojny jedną z dwóch struktur dowódczych szczebla strategicznego było utworzone w 1952 roku Dowództwo Sił Sojuszniczych na Atlantyku, ACLANT, ulokowane w Norfolk (stan Wirginia) w Stanach Zjednoczonych. Jego strefa odpowiedzialności rozciągała się od bieguna północnego po zwrotnik Raka na południu, od wybrzeża Ameryki Północnej na zachodzie po wybrzeża Afryki Zachodniej i Europy na wschodzie, z wyjątkiem kanału La Manche, Wysp Brytyjskich i Wysp Kanaryjskich. Ten wielki obszar był rozdzielony między trzy dowództwa regionalne – Zachodniego Atlantyku w Norfolk, Wschodniego Atlantyku w Northwood w Wielkiej Brytanii

tego komponentu sił morskich. W rosyjskiej Flocie Północnej jest kilkadziesiąt okrętów podwodnych o napędzie atomowym lub konwencjonalnym, które w razie konfliktu mogą stanowić ogromne zagrożenie dla atlantyckich linii zaopatrzeniowych sojuszu. Co prawda, Rosjanie mają mniej jednostek podwodnych niż w czasach zimnej wojny, jednak NATO dysponuje też o wiele mniejszą liczbą okrętów mogących eskortować konwoje.

TO DOPIERO POCZĄTEK

Na razie nie wiadomo, gdzie będzie siedziba nowego dowództwa, które ma odpowiadać za północny Atlantyk i Ocean Arktyczny. Może ona być w USA, Portugalii,

KOMENTARZ

WOJCIECH LORENZ



Jeszcze kilka lat temu prawdopodobieństwo konfrontacji z Rosją było niewielkie. Od 2008 roku obserwujemy intensywne próby modernizacji, a aneksja Krymu i agresywne działania u granic NATO sprawiły, że ryzyko poważnie wzrosło. Z tego względu sojusz musiał, oprócz rozmieszczenia niewielkich sił w państwach bałtyckich i Polsce,

dostosować także strukturę dowodzenia do dużej misji kolektywnej obrony, która może wymagać użycia nawet trzech korpusów. Nie oznacza to zasadniczej zmiany poziomowej strategii. Sojusz jest organizacją polityczno-wojskową, a więc czynnik polityczny kształtowania bezpieczeństwa odgrywa w nim istotną rolę. NATO będzie

dalej pokazywać, że jest gotowe na współpracę z Rosją, jeśli ta będzie przestrzegać zasad, takich jak respektowanie suwerenności i nienaruszalności granic innych państw. Jest to ważne choćby dlatego, że utrudnia Kremlowi przedstawianie NATO jako organizacji, której działania są wymierzone przeciwko Rosji. ■

WOJCIECH LORENZ jest ekspertem Polskiego Instytutu Stosunków Międzynarodowych.

i Atlantyku Południowego (do 1999 roku Obszaru Atlantyku Iberyjskiego) w Lizbonie, stolicy Portugalii. ACLANT przestało istnieć 19 czerwca 2003 roku, a zamiast niego utworzono Dowództwo Sił Sojuszniczych do spraw Transformacji. Jednak do 2012 roku przetrwało Sojusznicze Dowództwo Sił Połączonych w Lizbonie.

W tym czasie wydawało się, że Europa jest bezpieczna, a głównym obszarem zaangażowania NATO będą operacje zewnętrzne w innych regionach świata. Pojawiło się jednak niebezpieczeństwo ze strony rosyjskich okrętów podwodnych, których aktywność wzrosła w strategicznym dla sojuszu rejonie oceanu pomiędzy Wielką Brytanią, Islandią i Grenlandią. Stąd też Amerykanie rozpoczęli rozmowy z Islandczykami w sprawie powrotu do bazy lotniczej w Keflavik ich morskich samolotów patrolowych, przystosowanych do zwalczania jednostek podwodnych.

Moskwa nawet w czasach, gdy państwo rosyjskie miało ogromne problemy ekonomiczne, inwestowała w rozwój

Hiszpanii, Wielkiej Brytanii lub nawet we Francji. Utworzenie dowództw stanowi część procesu odtwarzania przez NATO zdolności do kolektywnej obrony po okresie, gdy jego uwaga koncentrowała się na misjach reagowania kryzysowego. Obecnie trwają uzgodnienia dotyczące ich wielkości, siedzib i związanych z tym kosztów, które ministrowie obrony mają zatwierdzić podczas spotkania 18 lutego 2018 roku. Nowe dowództwa mają być tego samego szczebla co już istniejące sojusznicze dowództwa sił połączonych w holenderskim Brunssum i włoskim Neapolu.

Prawdopodobnie ostateczne decyzje zapadną w trakcie tegorocznego szczytu sojuszu, który odbędzie się 11–12 lipca w Brukseli. Zmiany w strukturach dowodzenia na tym się raczej nie zakończą. Rozważane jest utworzenie dowództw wyższego szczebla (armii) dla wojsk lądowych. Obecnie najwyższym są dowództwa korpusów, których jest dziewięć, w tym jedno w Szczecinie. ■

RÓWNOWAGA STRACHU

Z Łukaszem Kamieńskim

o klubie państw broni nuklearnej i ryzyku wybuchu wojny jądrowej rozmawia Małgorzata Schwarzgruber.

Czy Korea Północna stanowi zagrożenie dla światowego pokoju?

Dużo się na ten temat mówi. Nie uważam jednak, że znajdujemy się na skraju wojny nuklearnej, jak w październiku 1962 roku podczas kryzysu kubańskiego.

Kim Dzong Un jest młody i ambitny, a na dodatek nieobliczalny. Skąd taka pewność?

On uważa, że Stany Zjednoczone nie zaatakują reżimu, który posiada broń nuklearną. Pełni ona funkcję ostatecznego instrumentu zapewnienia bezpieczeństwa i odstraszenia – tak myśli o niej Kim, mając w pamięci obalenie Saddama Husajna czy zlikwidowanie Muammara Kadafigo. Gdyby ci przywódcy mieli broń nuklearną, Amerykanie nie dokonaliby zmiany reżimu. W obliczu eskalacji północnokoreańskich zbrojeń – kolejnych prowokacyjnych testów rakietowych – nie można jednak wykluczyć uderzenia USA. Zawsze istnieje też ryzyko wybuchu wojny nuklearnej z powodu błędu człowieka lub systemu, mylnej oceny sytuacji lub nieautoryzowanego użycia siły. W kultowym filmie „Doktor Strangelove, czyli jak przestałem się martwić i pokochałem bombę” Stanleya Kubricka z 1964 roku doprowadza do niej opętany antykomunistyczną fobią generał. Podczas zimnej wojny supermocarstwa zdawały sobie sprawę z konsekwencji ataku nuklearnego po obu stronach, były więc ostrożne. Przeszły tzw. proces nuklearnego

uczenia się, z najpoważniejszą lekcją – kryzysem kubańskim w 1962 roku. Przypomnę, że Kubańczycy zestrzelili amerykański samolot rozpoznawczy U-2, a Amerykanie, na szczęście, nie odpowiedzieli. W wypadku tzw. nowych proliferantów, czyli państw, które niedawno uzyskały zdolności nuklearne, nie mamy już do czynienia z takimi wypracowanymi w wyniku wieloletnich relacji zasadami postępowania. Nie można więc wykluczyć ryzyka wybuchu wojny, w której zostanie użyta broń nuklearna.

To mało optymistyczny scenariusz...

Wyobraźmy sobie rozwój wypadków, który niedawno nakreślił na łamach „Washington Post” Jeffrey Lewis z Instytutu Studiów Międzynarodowych w Monterey. Otóż jest marzec 2019 roku i USA przygotowują się do wspólnych ćwiczeń wojskowych z Koreą Południową. Cywilny samolot południowokoreań-



WIZYTÓWKA

DR HAB.
ŁUKASZ
KAMIEŃSKI

Jest adiunktem w Instytucie Amerykanistyki i Studiów Polonijnych Uniwersytetu Jagiellońskiego.

skich linii lotniczych przypadkowo narusza przestrzeń powietrzną sąsiada z północy, a ten uznaje, że jest to początek ataku i zestrzeliwuje maszynę z 250 pasażerami na pokładzie. W odpowiedzi Korea Południowa dokonuje ograniczonego konwencjonalnego ataku. Północna natomiast uważa, że to początek zachodniej inwazji i przypuszcza ograniczony atak nuklearny: na sąsiada z południa i amerykańskie bazy, np. na Okinawie. Kim liczy na zastraszenie USA i zaszokowanie prezydenta Trumpa. Amerykanie odpowiadają jednak zmasowanym konwencjonalnym atakiem bombowo-rakietowym. Nie używają broni nuklearnej, bo podważyłoby to istotę całej operacji, którą jest wyzwolenie ludności Korei Północnej, a nie totalna zagłada. Kim oczywiście nie wie, że Amerykanie nie użyli broni nuklearnej, wysłał więc na terytorium USA rakiety międzykontynentalne Hwasong-14 i 15 wyposażone w 100-, 200-kilatonowe głowice. Stany Zjednoczone obalają reżim Kima. Bilans ofiar śmiertelnych konfliktu: kilka milionów.

Amerykańskie terytorium chroni jednak system antyrakietowy. Zda on egzamin?

Ten system nie do końca jest sprawdzony. Może zneutralizować powiedzmy 11 pocisków, a według ekspertów tyle posiada Kim. A gdyby wysłał jednak 12? Jeden doleci i uderzy w Manhattan. Amerykański system antyrakietowy dysponuje ograniczoną liczbą antyrakiet – 44. Przeciwno każdemu nadlatującemu pociskowi wstrzeliwanych będzie od czterech do pięciu antypocisków. Kim, próbując obejść ten system, zwiększa liczbę rakiet międzykontynentalnych i pracuje nad tzw. wabikami, pustymi głowicami, które mogą zmylić tarczę antyrakietową przeciwnika.

Rakieta, która doleciałaby na Manhattan, zamieniłaby go w kupę gruzu.

28 listopada 2017 roku Kim przeprowadził eksperyment z ogromnym pociskiem Hwasong-15, który może pomieścić trzy głowice. Wymaga to ich miniaturyzacji, ale Korea zdobędzie i takie zdolności. Gdyby jedna północnokoreańska głowica dotarła na Manhattan, straty byłyby o wiele większe niż te, które znamy z Hiroszimy – pewnie nawet ponad 300 tys. ofiar.

Ostatnio Amerykanie testowali na Hawajach system ostrzegania dźwiękowego przed atakiem nuklearnym. 385 syren informowało mieszkańców o uderzeniu, które miałyby nastąpić za około 20 minut. Czy taki system się sprawdzi?

To klasyczny system obrony cywilnej. Podczas II wojny światowej dźwięk syren oznaczał, że zbliża się nalot bombowy i trzeba zejść do schronu. Przed północnokoreańskimi próbami rakietowymi w podobny sposób są ostrzegani mieszkańcy Japonii. Oczywiście ani w Japonii, ani na Hawajach miejsc w schronach nie wystarczy dla wszystkich, wybuchnie więc panika, zapanuje chaos.

Niektórzy analitycy twierdzą, że padliśmy ofiarą dezinformacji wymyślonej w Moskwie w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Straszono nas, że wojna nuklearna oznacza eksterminację ludzkości.

Eksperci ostrzegali również, że po takiej wojnie dojdzie do gwałtownych zmian klimatycznych i nowego zlodowacenia – „nuklearnej zimy”. Taka wizja dotyczyła totalnej wojny nuklearnej w latach osiemdziesiątych XX wieku. USA miały wówczas ponad 23 tys. głowic, Związek Radziecki ponad 30 tys. Istniała równowaga strachu, bo oba kraje wzajemnie utrzymywały się w szachu. Tak naprawdę jednak, gdy chodzi o wojnę nuklearną, nie wiemy, jak dokładnie może wyglądać jej przebieg. Mamy tylko przypuszczenia i symulacje. Hannah Arendt trafnie mówiła w kontekście broni atomowej nie o faktach, lecz o pseudofaktach.

Prezydent Donald Trump zapowiedział kontynuację zapoczątkowanego przez jego poprzednika programu modernizacji arsenału nuklearnego o wartości ponad biliona dolarów.

Amerykański arsenał nuklearny jest przestarzały i wymaga odnowienia. Co ciekawe, po raz pierwszy od ponad 40 lat podczas senackich przesłuchań pojawił się – w kontekście Korei Północnej – temat nuklearnego odstraszenia. Na broń atomową jest przeznaczana jedna trzecia rosyjskiego budżetu. Także Chiny, które przez długi czas były nuklearną płótką, wzbogacają swój arsenał



i intensywnie inwestują w okręty podwodne oraz mobilne baterie rakietowe.

W jakim stopniu agresywna polityka Putina może się stać zagrożeniem? Jak traktować groźby rosyjskich polityków, że „rozlokowywanie wojsk NATO w krajach bałtyckich może mieć nuklearne konsekwencje” czy że „Rosja może obrócić Amerykę w nuklearny pył”?

Nie obawiam się wojny nuklearnej między mocarstwami. Nie leży to w naszym interesie. Broń nuklearna jest ostatecznym gwarantem odstraszania i zapewnienia bezpieczeństwa. Dostrzegam jednak ryzyko, że prezydent Putin może zechcieć wywołać konflikt konwencjonalny, aby odciągnąć uwagę od wewnętrznych problemów Rosji. Byłaby to wojna hybrydowa, wykorzystująca m.in. dezinformację i sabotaż. Odwieczny dylemat bezpieczeństwa polega na tym, że działania, które my postrzegamy jako defensywne, np. rozlokowanie większej liczby wojsk czy rozwój nowych systemów obronnych, nasi rywale oceniają jako ofensywne.

Media informowały o zgubieniu przez USA w 2007 roku sześciu rakiet z pociskami jądrowymi czy o kolizji w 2009 roku dwóch okrętów podwodnych, amerykańskiego i francuskiego, wyposażonych w napęd nuklearny i rakiet balistyczne. W jakim stopniu niebezpieczne są takie incydenty atomowe?

Amerykanie w czasie zimnej wojny zgubili kilkadziesiąt bomb z nuklearnymi głowicami. 24 godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu jakaś eskadra bombowców B-52 musiała znajdować się w powietrzu – na wypadek konieczności odpowiedzi na atak radziecki. Dochodziło do awarii, przymusowych lądowań czy zrzućć ładunków. Takie wypadki nie są jednak bezpośrednim zagrożeniem dla światowego pokoju.

Jakie zatem widzi Pan zagrożenia?

Konsekwencje ocieplenia klimatu. Do 2050 roku temperatury w Afryce Północnej i na Bliskim Wschodzie osiągną latem do 46 stopni. Nastąpi fala migracji klimatycznych. Skala tego exodusu będzie znacznie większa niż migracji, których jesteśmy dziś świadkami. Z tak dużym przemieszczaniem się ludności wiąże się różne konsekwencje, m.in. groźba wybuchu epidemii. Z kolei epidemiolodzy są zgodni, że w ciągu jednej, dwóch dekad wytworzy się mikroorganizm, który wywoła globalną pandemię.

Według Pana, jaka jest przyszłość broni nuklearnej?

Arsenał jądrowy się starzeje, część systemów musi być utylizowana i zastępowana nowymi rodzajami broni – mam na myśli głowice kolejnej generacji. Chcąc za-

Gdyby północnokoreańska głowica uderzyła w Manhattan, straty byłyby większe niż w Hiroszynie – pewnie nawet ponad 300 tys. ofiar

chować pozycję supermocarstwa, USA muszą także unowocześniać środki przenoszenia – bombowce, rakiet i okręty podwodne. Również inne kraje to robią. Sądzę, że broń nuklearna będzie się rozprzestrzeniać, ale w sposób ograniczony. Jak do tej pory, klub państw nuklearnych, tych legalnych i nielegalnych, jest bardzo wąski – to dziewięć krajów.

Jest Pan autorem książki „Technologia i wojna przyszłości. Wokół nuklearnej i informacyjnej rewolucji w sprawach wojskowych”. O jakiej nuklearnej rewolucji Pan pisał?

Z rewolucją w wojskowości mamy do czynienia, gdy do użytku wchodzi nowa broń, która zasadniczo wpływa na strategię i taktykę oraz wymusza zmiany w organizacji sił zbrojnych. Właśnie taka była bomba atomowa. Rewolucja nuklearna doprowadziła do dużych przeobrażeń: na poziomie dyplomatycznym, strategicznym i psychologiczno-etycznym. Zmieniła także podejście do użycia siły jako narzędzia polityki. Przed 1945 rokiem możliwa była wojna totalna z użyciem wszystkich dostępnych środków. Wraz z nadejściem broni absolutnej okazało się, że jest ona militarnie bezużyteczna, bo za jej pomocą nie można osiągnąć zwycięstwa. Jej skuteczność wiąże się z czynnikiem psychologicznym: samo zagrożenie użyciem pozwala osiągnąć określone cele polityczne. Eskalacja przemocy w dobie nuklearnej może oznaczać armagedon. ■

TOMASZ OTŁOWSKI

Hybrydyzacja konfliktów

Literackie wizje społeczeństw budzących się rano pod rządami obcej potęgi, która skrycie w ciągu kilku godzin opanowała państwo, stają się bardziej realne niż kiedykolwiek wcześniej.

P o kilku tygodniach szybko pogłębiającego się kryzysu politycznego na Ukrainie i rosnącego napięcia w relacjach między Kijowem a Moskwą, wczesnym rankiem 28 lutego 2014 roku, jeszcze w ciemnościach zimowej nocy, na ulicach miast i miasteczek Krymu pojawili się doskonale uzbrojeni i równie dobrze wyszkoleni ludzie w mundurach połowych rosyjskiego kroju, ale bez jakichkolwiek dystryktów i oznaczeń. Szybko stało się jasne, że te tajemnicze „zielone ludziki”, jak ich natychmiast nazwano, realizują w precyzyjny i planowy sposób interesy rosyjskojęzycznej większości mieszkańców Półwyspu Krymskiego, a tym samym także interesy Moskwy. Efektem ich działań było całkowite przejście Krymu, a ostatecznie – oderwanie półwyspu od Ukrainy i jednostronne wcielenie go do Federacji Rosyjskiej. Wszystko odbyło się niemalże bez jednego strzału, cicho i sprawnie niczym w sensacyjnym filmie. Skutki – polityczne i geopolityczne – tamtych wydarzeń odczuwamy jednak do dziś.

W sierpniu 2017 roku świat obiegły zdjęcia i nagrania z brutalnej egzekucji Mohsena Hodżdżadźiego, młodego podoficera irańskiego Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej, dokonanej na pograniczu iracko-syryjskim przez islamistów z Państwa Islamskiego (IS). Hodżdżadźi, jako instruktor i doradca sztychów formacji paramilitarnych walczących z IS, przebywał w Iraku razem z żołnierzami z Paskaran, formalnie urlopowanymi. Miał pecha, został bowiem pojmany i zgładzony. Dramat ten stał się jednak przyczynkiem do ujawnienia prawdziwej skali zaangażowania Iranu w wydarzenia na Bliskim Wschodzie. Okaza-

ło się, że Teheran też ma swoje „zielone ludziki”, którymi całkiem sprawnie posługuje się, realizując własne interesy w regionie.

KLASYKA DO LAMUSA

Na pierwszy rzut oka oba przykłady są od siebie tak odległe, jak w sensie geograficznym oddalone są Krym i Lewant. W rzeczywistości wydarzenia te wiele łączy, bo doskonale wpisują się one w nowe tendencje w sposobach prowadzenia wojny, jakie uwidaczniają się od pewnego czasu. Zaskoczyły one większość obserwatorów i analityków, choć wiadomo, że charakter konfliktów militarnych i metody ich prowadzenia podlegają stałym zmianom, od samego zarania wojny.

Pojęcie „wojna hybrydowa” zrobiło w minionych kilku latach zawrotną karierę i stało się symbolem kolejnego przełomu w wojskowości. Samo zjawisko znane jest od bardzo dawna, lecz pod innymi nazwami. Jako przykład mogą posłużyć działania choćby takich XIX-wiecznych flibustierów, podbijających, nieformalnie w imieniu rządu Stanów Zjednoczonych, miasta i regiony w Ameryce Środkowej, albo niemieckiego „ochotniczego” Legionu Condor, walczącego w hiszpańskiej wojnie domowej po stronie frankistów.

Istotą dzisiejszego procesu hybrydyzacji konfliktów jest unikanie przez państwa otwartej konfrontacji militarnej – prowadzonej z odsłoniętą przyłbicą, zgodnie z klasycznymi regułami ius ad bellum (prawo do prowadzenia wojny). Zdążyliśmy już się przyzwyczaić do tego, że dzisiaj wojny nie wypowiedzi się oficjalnie, przez noty dyplomatyczne, co jeszcze 70 lat temu było regułą. Mamy za to do czynienia z rodzącymi się zupełnie nowymi formami

WOJNA
jest nieodłącznym elementem cywilizacji i ulega podobnym przemianom, co inne aspekty życia państw i społeczeństw. Od niedawna jesteśmy świadkami kolejnego etapu tej ewolucji – znane nam klasyczne konflikty konwencjonalne przechodzą do historii. W cyklu „Anatomia wojny współczesnej” pokazujemy nowe strategie, taktyki oraz uzbrojenie.





WSPÓŁCZESNE STOSUNKI MIĘDZY- NARODOWE STAJĄ SIĘ CORAZ BAR- DZIEJ ZAMGLONĄ SFERĄ NIESTABIL- NOŚCI POLITYCZNEJ I STRATEGICZNEJ

wojowania – różnego rodzaju wojnami zastępczymi (proxy wars), hybrydowymi czy asymetrycznymi. Niezależnie od nazwy ich wspólną cechą jest korzystanie przez adversarzy państwowych z form i podmiotów o charakterze niepaństwowym lub tworzenie fikcyjnych formacji nieregularnych o „nieznanym pochodzeniu”. A także sięganie po całą gamę środków do niedawna niewchodzących w skład arsenałów militarnych. W efekcie tworzy to rozmyty, niewyraźny obraz sytuacji w ramach danego kryzysu, którą – tak długo, jak to jest możliwe – celowo utrzymuje się poniżej progu jawnego, otwartego konfliktu militarnego o charakterze klasycznej wojny. Jednocześnie dąży się do uzyskania korzyści i przewagi, które normalnie byłyby możliwe do zdobycia wyłącznie z użyciem twardej siły, podczas operacji regularnej armii.

Nic zatem dziwnego, że kiedy spojrzymy na mapę trwających na świecie konfliktów zbrojnych, to nie znajdziemy żadnego, który toczy się między dwoma (lub więcej) państwami według klasycznych reguł. Ostatnim tego typu wydarzeniem była bodajże rosyjska interwencja w Gruzji w 2008 roku.

Dzisiaj natomiast jest wiele konfliktów, które formalnie określa się jako wojny domowe, choć już dawno przestały takimi być. Przeciwnicy strony państwowej to bowiem istna mgławica ugrupowań nieregularnych, terrorystycznych lub wręcz różnego rodzaju „zielonych ludzików”, reprezentująca interesy konkretnych państw trzecich, które jednak nie występują jawnie pod swą flagą. Taką sytuację mamy zarówno w Donbasie i Syrii – gdzie trwają największe światowe konflikty zbrojne – jak i w wielu innych punktach zapalnych globu: od Libii, przez Mali, Somalię, Irak i Jemen, aż po Afganistan. Trudno nie zauważyć, że w większości tych przypadków proces hybrydyzacji konfliktów płynnie nałożył się na znaną od dawna tendencję asymetryzacji wojen.

PRYZYWOLENIE POTĘG

Dlaczego hybrydyzacja konfliktów staje się tak powszechna? Głównie dlatego, że jest na to przyzwolenie moźnych tego świata, czyli największych potęg chcą-

cych realizować swoje interesy w różnych miejscach globu jak najmniejszym kosztem własnym: zarówno politycznym, jak i finansowym oraz ludzkim. A skoro wolno tak działać mocarstwom globalnym, to czemu nie graczom regionalnym i lokalnym?

W rezultacie współczesne stosunki międzynarodowe stają się coraz bardziej zamgloną sferą niestabilności politycznej i strategicznej, obarczoną klątwą niepewności co do granicy między pokojem a wojną, między stanem kryzysu politycznego a otwartego konfliktu zbrojnego. Wszystko ztraca jeszcze do niedawna wyraźne kontury. Wojna przestaje być nią w dotychczasowym rozumieniu, a klasyczna definicja Carla von Clausewitza zaczyna nabierać zupełnie nowego znaczenia.

W takiej rzeczywistości poszczególne społeczeństwa, narody czy państwa mogą się nawet nie zorientować, że stały się ofiarą agresji i celem ataku o militarnym w istocie charakterze. Kasandryczne przepowiednie rodem z literatury political fiction o krajach budzących się rano już pod rządami obcej potęgi, która skrycie opanowała w ciągu nocy ich system polityczno-ekonomiczny i wojskowy, stają się bardziej realne niż kiedykolwiek dotąd.

Wszystko to jest możliwe m.in. dzięki burzliwym przemianom technologicznym, społecznym i kulturowym współczesnego świata oraz postępującej globalizacji. Dominującą rolę odgrywają tu zwłaszcza żywiołowa cyfryzacja kolejnych dziedzin życia społeczno-gospodarczego państw, uzależnienie współczesnych gospodarek i społeczeństw od stabilnych dostaw energii elektrycznej, a także rosnąca rola mediów społecznościowych i komunikacji wirtualnej. Stwarza to pole do rozwijania i wdrażania nowych strategii oraz sposobów działania na nowoczesnym polu walki, które nie jest już utożsamiane wyłącznie z jego dotychczasowym, ściśle militarnym znaczeniem. Hybrydyzacja konfliktów generuje więc własne, nierzadko oryginalne reguły działania i nowe taktyki, często obejmując sfery życia państw i społeczeństw do niedawna niemające wiele wspólnego z wojną. ■

TADEUSZ
WRÓBEL

Siła dolarów



W roku budżetowym 2018, czyli od 1 października, amerykański Departament Obrony będzie miał do dyspozycji około 692 mld dolarów, gdyż Kongres USA okazał się bardziej szczodry dla tego resortu niż prezydent Donald Trump. Podstawowy budżet Pentagonu wyniesie 626,4 mld. Tymczasem projekt skierowany przez Departament Obrony do parlamentu przewidywał kwotę 595,3 mld oraz 64,6 mld na operacje zewnętrzne.

Na co zostaną przeznaczone dodatkowe środki finansowe? Politycy z Kapitolu postanowili zwiększyć zamówienia na nowe uzbrojenie i sprzęt wojskowy, m.in. na niemal wszystkie typy statków powietrznych. Kongres przewidział fundusze na 90 zamiast 70 samolotów wielozadaniowych F-35, chociaż prezydent ze względu na koszty odnosi się z pewną rezerwą do kupna tych maszyn.

Choć Donald Trump wielokrotnie mówił o potrzebie znaczącego zwiększenia liczby okrętów wojennych, do 355, to w propozycji budżetu na rok 2018 uwzględniono zamówienie tylko ośmiu jednostek. Kongres postanowił jednak, że powinno być 14 nowych okrętów. Parlamentarzyści zaakceptowali też fundusze na remonty niszczycieli 7 Floty, które zostały uszkodzone w wyniku kolizji ze statkami handlowymi. Wzrost napięcia w relacjach z Koreą Północną znalazł natomiast odzwierciedlenie w zwiększonej o 4,4 mld dolarów kwocie na obronę przeciwrakietową. W ten sposób przekroczy ona 12 mld dolarów. Planuje się również większe wydatki na prace badawczo-rozwojowe, dzięki którym powstaną nowe typy uzbrojenia, oraz na misje zewnętrzne, co znakomicie wpisuje się w plan Trumpa zwiększenia liczebności sił USA w Afganistanie o 3,5 tys. żołnierzy.

Dzięki nowym funduszom można odstąpić od redukcji sił zbrojnych USA. W budżecie zagwarantowano środki na 16,6 tys. kolejnych etatów wojskowych w służbie czynnej (7,5 tys. w wojskach lądowych) oraz 3,4 tys. w Gwardii Narodowej i rezerwie. Wojskowi mogą też liczyć na podwyżkę płac o 2,4%.

Należy też pamiętać, że część programów związanych z obronnością jest poza Pentagonem. Ustawa o wydatkach obronnych, którą Senat przesłał do Białego Domu, przewiduje, że wyniosą one niemal 700 mld dolarów. W propozycji przesłanej w maju do parlamentu przez administrację prezydencką była wskazana kwota 677,1 mld.

Kiedy Trump podpisał ustawę 12 grudnia 2017 roku, stwierdził: „Historia uczy nas, że kiedy możliwości obronne zostają osłabione, wzrasta agresja”. Jest jednak łyżka dziegciu w tej beczce miodu. Pojawił się pewien problem – wydatki obronne są znacznie wyższe niż limity wyznaczone przez przepisy związane z nadmiernym deficytem budżetu federalnego.





HISTORIA

/ XX WIEK



Powitanie oddziału
saperów pod dowódz-
twem ppłk. Witolda
Butlera (w środku
z kwiatami)
na Starym Rynku.
Bydgoszcz, marzec
1920 roku

OJCOWIE POLSKIEJ ARMII

Z Mariuszem Patelskim

**o początkach Wojska Polskiego w 1918 roku
rozmawia Piotr Korczyński.**





WIZYTÓWKA

DR MARIUSZ PATELSKI

Jest pracownikiem Katedry Historii Kultury i Biografistyki Instytutu Historii Uniwersytetu Opolskiego, autorem książek naukowych, m.in.: „Generał Tadeusz Jordan Rozwadowski – żołnierz i dyplomata”, redaktorem i autorem wstępu do pamiętników gen. broni Tadeusza Jordana Rozwadowskiego „Wspomnienia Wielkiej Wojny”. ■

P

olskie formacje wojskowe pod koniec wielkiej wojny nie rokowały szybkiego stworzenia silnej armii po ewentualnym odzyskaniu niepodległości. Legiony Piłsudskiego były w rozsypce, kolejne korpusy polskie tworzone w Rosji ulegały rozproszeniu. Wpraw-

dzie we Francji mieliśmy doskonale wyposażoną Błękitną Armię, ale ona była daleko. Czy uprawnione jest twierdzenie, że najlepszą podstawą do odbudowy Wojska Polskiego w 1918 roku był tzw. Polnische Wehrmacht – Polska Siła Zbrojna, która powstała pod auspicjami Niemców w Królestwie Polskim?

Polska Siła Zbrojna – a od 12 października 1918 roku, czyli od dekretu Rady Regencyjnej ustanawiającego przejęcie władzy nad wojskiem i wprowadzenie nowej roty przysięgi, po prostu Wojsko Polskie – była do pewnego stopnia kontynuacją polskich wysiłków obliczonych na zbudowanie własnej armii w toku całej wojny. Te działania podjęły różne środowiska niepodległościowe już przed I wojną światową na terenie Galicji. Były to m.in. Związek Strzelecki, Polskie Drużyny Strzeleckie oraz Polowe Drużyny Sokole. Po rozpoczęciu wojny większość z tych

formacji scalono w ramach Legionów Polskich walczących u boku armii Austro-Węgier. Podobne działania, ze znacznie gorszym skutkiem, podjęto po przeciwnej stronie barykady – u boku armii rosyjskiej powstał Legion Puławski. W toku I wojny światowej organizowano kolejne polskie formacje, które, wraz ze zmieniającą się koniunkturą wojenną, formowano w różnych miejscach i po obu stronach frontu.

Czym wyróżniała się Polska Siła Zbrojna?

Jej siła bojowa wynikała nie z liczebności, ale z tego, że była to formacja kadrowa. Oficerowie i podoficerowie przeszkoleni zostali z obsługi różnych rodzajów broni. W sytuacji powszechnej mobilizacji mogli zapewnić kadre dla większego korpusu. W drugiej połowie 1918 roku szeregi zaczęli dodatkowo zasilać byli oficerowie Legionów zwalniani przez Niemców m.in. z obozu internowania w Beniaminowie. Początkowe obawy dowództwa PSZ przed przyjmowaniem byłych legionistów do tej formacji zdołał przełamać kpt. Kazimierz Młodzianowski „Dąbrowa”.

Działaniom tym sprzyjał gen. Tadeusz Rozwadowski, który był przekonany, że w obliczu końca wojny nie należy rozpraszać sił, ale je konsolidować. Zdawał sobie jednocześnie sprawę, że żołnierzy z byłej PSZ, tudzież weteranów z Le-

gionów, było zbyt mało, dlatego za konieczne uważał wcielenia do wojska oficerów i doświadczonych żołnierzy – Polaków służących w armiach zaborców. W czasie wojny przewinęło się przez nie prawie 3 mln Polaków.

Trzeba było zatem znaleźć sposób, żeby wykorzystać ich doświadczenie bojowe dla dobra Polski.

Dlatego jeden z pierwszych rozkazów szefa Sztabu Generalnego wydany kmr. Bogumiłowi Nowotnemu dotyczył zorganizowania powrotu do kraju marynarzy przebywających w Poli, bazie austriackiej marynarki wojennej. Było to jednak skomplikowane. Formacje, w których większy odsetek stanowili żołnierze narodowości polskiej, biły się z dala od kraju. Pułki zmobilizowane w Galicji znajdowały się w większości na froncie włoskim, a oddziały wojsk niemieckich z Wielkopolski, Pomorza i Śląska – na zachodnim. Ich powrót wymagał więc dłuższego czasu oraz porozumienia z władzami krajów, przez których tereny przejeżdżano. Krzywdząca jest zatem opinia, że Polacy służący podczas wojny w armiach zaborców ociągali się ze wstępowaniem do WP. Problem polegał na tym, że musieli najpierw wrócić do kraju, a to nie było proste. Podróż niejednokrotnie trwała od dwóch do trzech tygodni, a na miejsce docierali często ograbieni ze sprzętu bojowego i wyposażenia. Mimo to wielu niezwłocznie przystąpiło do współtworzenia pułków Wojska Polskiego.

Dlaczego to Józef Piłsudski, bądź co bądź samouk wojskowy, stanął na czele Wojska Polskiego?

Po upadku rządu Józefa Świerzyńskiego i powstaniu skrajnie lewicowego, ale nie komunistycznego Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej w Lublinie Rada Regencyjna znalazła się w politycznej próżni. Tymczasem Piłsudski, który ponad rok przebywał w niemieckim więzieniu, zyskał autorytet męczennika i przez regentów był już wcześniej typowany na ministra spraw wojskowych. W zaistniałej sytuacji politycy ci gotowi byli oddać władzę komendantowi za cenę uniknięcia wojny domowej w kraju. Do takiego rozwiązania osobiście przekonywał Piłsudskiego jeden z regentów ks. Zdzisław Lubomirski.

Józef Piłsudski w pierwszym rozkazie do Wojska Polskiego z 12 listopada 1918 roku pisał m.in.: „Liczę na to, że każdy z Was potrafi siebie przezwyciężyć i zdobyć się na wysiłek dla usunięcia różnic i tarć, klik i zaścianków w wojsku”. Czy on sam potrafił „siebie przezwyciężyć” w uprzedzeniach i nieufności do oficerów wywodzących się z innych formacji niż legionowa?

Początkowo Naczelny Wódz rzeczywiście prowadził taką politykę. W późniejszym czasie, czyli po wygranej wojnie z bolszewikami, a zwłaszcza po zamachu majowym

w 1926 roku, na stanowiska dowódcze wybierano jednak przede wszystkim byłych legionistów. Proces przyjmowania do Wojska Polskiego dowódców pochodzących z innych formacji, co należy podkreślić, rozpoczął już wcześniej gen. broni Tadeusz Rozwadowski, który wbrew obawom Rady Regencyjnej i niektórych dowódców z kręgu byłej Polskiej Siły Zbrojnej przekonywał skutecznie, by do Wojska Polskiego przyjmować, obok legionistów i oficerów byłej armii Habsburgów, także dowódców wywodzących się z armii niemieckiej, weteranów byłych korpusów wschodnich oraz żołnierzy i oficerów z armii rosyjskiej. Już w październiku i listopadzie do wojska zostali przyjęci m.in. generałowie Bolesław Olszewski i Wacław Iwaszkiewicz, pułkownicy Jan Wroczyński, Jan Rządkowski, Włodzimierz Bokszczanin, Antoni Jastrzębski, Leon Billewicz, Bolesław Jaźwiński oraz młodszy oficerowie, jak Władysław Anders czy też Tadeusz Kurcysz. W akcji tej Rozwadowskiemu sekundował płk Włodzimierz Zagórski.

25 października 1918 roku Rada Regencyjna Królestwa Polskiego powołała urząd szefa Sztabu Wojska Polskiego, na którego czele trzy dni później stanął Tadeusz Rozwadowski – wybitny fachowiec, wręcz wizjoner. Właściwie początki większości formacji Wojska Polskiego związane są z jego nazwiskiem – od artylerii, poprzez marynarkę wojenną, po jazdę, jak wtedy nazywano kawalerię. Mało kto wie, że jest to jeden z pierwszych na świecie postulujących wojsk szybkich, pancerno-motorowych.

Gen. Rozwadowski był spadkobiercą tradycji powstania styczniowego, w którego duchu został wychowany. Jego ojciec rtm. Tomisław Rozwadowski był oficerem austriackim, weteranem bitwy pod Solferino oraz powstańcem styczniowym, krytycznym wobec polskiego zrywu z 1863 roku. Postanowił wysłać swych synów do austriackich szkół wojskowych, bo, jak zaznaczył w liście do brata, „to może przydać się Polsce”. Po wybuchu I wojny światowej generał walczył w szeregach 12 Dywizji Piechoty armii austriackiej. W 1916 roku został przeniesiony w stan spoczynku. Już przed wojną sprzyjał tworzeniu polskich formacji paramilitarnych, a po jej wybuchu był polskim kandydatem na stanowisko namiestnika Galicji oraz dowódcy Legionów Polskich. Za każdym razem tę kandydaturę odrzucano, ponieważ ciągnęła się za nim opinia polskiego nacjonalisty.

W kolejnych latach wojny generał wspierał działania Naczelного Komitetu Narodowego, Tymczasowej Rady Stanu oraz Rady Regencyjnej w dziele tworzenia Wojska Polskiego. Był autorem wielu planów budowania polskiej armii, ale także rozumiał, co ważne, propagandową stronę zagadnienia. Gorąco poparł powstanie pierwszych polskich



czasopiśmie wojskowych, m.in. „Bellony”. Po objęciu funkcji szefa Sztabu Generalnego WP natychmiast przystąpił do organizowania poszczególnych rodzajów wojsk.

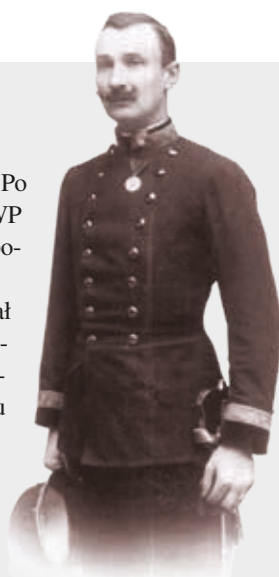
W latach dwudziestych XX wieku generał brał udział w reformowaniu polskiej kawalerii, postulował także tworzenie samodzielnych jednostek pancernych, a po zamachu majowym 1926 roku opracował plan organizowania specjalnych oddziałów wojsk szybkich wyposażonych w wozy bojowe i lotnictwo. Planów tych, niestety, nie zrealizowano.

Jakich innych dowódców nazwałby Pan ojcami Wojska Polskiego?

Niewątpliwie należy wymienić gen. broni Józefa Dowbora-Muśnickiego, dowódcę i organizatora I Korpusu Wschodniego oraz dowódcę Armii Wielkopolskiej. Mimo zasług nie został za życia uhonorowany żadnym polskim odznaczeniem bojowym. Pierwsze polskie odznaczenie – Krzyż Wielki Orderu Odrodzenia Polski – nadał wybitnemu polskiemu dowódcy paradoksalnie dopiero prezydent Aleksander Kwaśniewski. Generał za sposób dowodzenia I Korpusem oraz Armią Wielkopolską zasłużył jednak przede wszystkim na Krzyż Virtuti Militari, którego mu nie przyznano. Do ojców polskiej wojskowości należy zaliczyć także gen. Józefa Hallera za dowodzenie Polskim Korpusem Posiłkowym, Błękitną Armią i późniejsze zasługi z 1920 roku. Równie skuteczni w działaniach na rzecz polskiej niepodległości byli lokalni dowódcy, jak: gen. dyw. Bolesław Roja, dowódca wojsk polskich w Małopolsce, płk Czesław Mączyński, dowodzący obroną Lwowa, gen. dyw. Franciszek Latinik, dowódca obrony Śląska Cieszyńskiego, oraz gen. dyw. Władysław Wejtko, który z rozkazu Rozwadowskiego został kierownikiem wszelkich formacji samoobrony na Litwie i Białorusi. Na upamiętnienie zasługują pierwszy dowódca powstania wielkopolskiego gen. bryg. Stanisław Taczak oraz dowódcy z powstań śląskich, m.in. ppłk Maciej Mielżyński oraz ppłk Kazimierz Zenkteller i wielu innych. Należy także wymienić gen. broni Kazimierza Sosnkowskiego, który w przełomowych tygodniach 1920 roku odegrał ważną rolę jako minister spraw wojskowych.

Niewiele się mówi o bohaterach drugiego planu...

Każdy z polskich regionów ma swoich miejscowych bohaterów. Były to postacie wyróżniające się lokalnym kolo-rytem. Na Kresach Wschodnich na przykład ukształtował się typ dowódcy zagończyka. Do takich oficerów należeli



Gen. Tadeusz Rozwadowski był przekonany, że w obliczu końca wojny nie należy rozpraszać sił, lecz je konsolidować

m.in. bracia Władysław i Jerzy Dąmbrowscy, którzy zdołali wyprowadzić część oddziałów Samoobrony Wileńskiej i przez tereny wroga przebić się pod Brześć Litewski. Tam 9 lutego 1919 roku nastąpiło zjednoczenie oddziału wileńskiego z Wojskiem Polskim. W tym przejściu wzięły udział wybitne osobistości i dowódcy: Stanisław Cat-Mackiewicz, ks. Włodzimierz Czetwertyński, hr. Jan Tyszkiewicz, Jan Kalenkiwicz, por. Konstanty Drucki-Lubecki, Walerian Meysztowicz, a także młody harcerz ochotnik Witold Pilecki.

Mimo problemów organizacyjnych Wojsko Polskie szybko okrzepło. Prawdziwym sprawdzianem okazała się dla niego wojna z bolszewikami w 1920 roku. Wtedy żołnierze z byłej Galicji, Kongresówki, Prowincji Poznańskiej czy Ziem Zabrzanych uświadomili sobie, że tworzą jeden naród. Wcześniej bywało różnie – dezercja była zjawiskiem WP od 1918 roku na prawie wszystkich ówczesnych frontach... Dlaczego zmienilo się to pamiętnego lata 1920 roku?

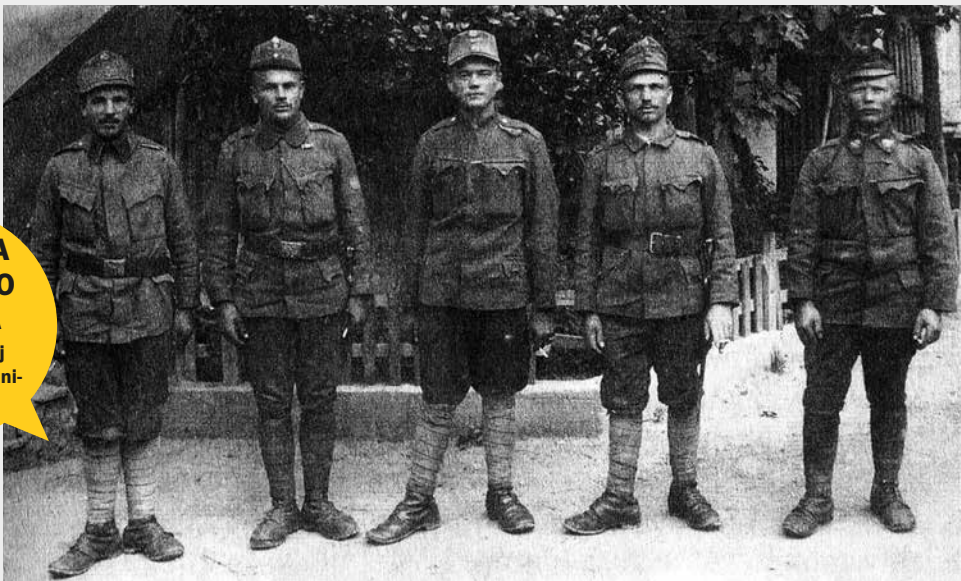
W 1918 roku nie było to wszystko tak oczywiste. „Przesady dzielnicowe”, stereotypy oraz animozje między dowódcami były siłą odśrodkową, która nie rokowała dobrze projektowi zwanemu „Rzeczpospolita Polska”. Jednak w sytuacji zagrożenia polskich granic oraz w konfrontacji z doświadczeniami wyniesionymi z kilkunastu ostatnich miesięcy wojny i pierwszych tygodni wolności Polacy, w tym oficerowie oraz wyżsi dowódcy wojskowi, zdołali się zjednoczyć w dziele wspólnej walki.

Po zakończonej wojnie w artykule dla „Bellony” Tadeusz Rozwadowski razem z Władysławem Sikorskim niezwykle celnie i obiektywnie ocenili też polską kadrę dowódczą. Według opinii tam zawartych oficerowie z armii austriackiej „na ogół wykształceni i lepiej przygotowani zawodowo, grzeszyli nadmiarem biurokratyzmu”. Armia Habsburgów dała za to „dobrych oficerów jeździe i artylerii oraz najwybitniejszych oficerów sztabu generalnego”. Oficerowie z armii rosyjskiej, zwłaszcza młodszych roczników, byli chwaleni przede wszystkim za inicjatywę oraz wyszkolenie taktyczne. Specjalne uznanie zdobyli sobie także byli oficerowie carskiej jazdy. Jeśli chodzi o oficerów legionowych, to wymieniano ich słabe wyszkolenie, ale z uznaniem pisano o inicjatywie i ruchliwości oraz umiejętności radzenia sobie z niewyszkolonymi żołnierzami. To wszystko, mimo wielu trudności, udało się spoić w szere- gach Wojska Polskiego. ■

Wiarusy z c.k. armii

HISTORIA PEWNEGO ZDJĘCIA

Koledzy z małej
wioski – Rzepienni-
ka, 1915 rok.



*Rzepienioki kurzą cygary po tym,
jak chlastali się z Moskolami
w Piekło, głosi dopisek pod nazwiskami.*

Kiedy ogląda się fotografie żołnierzy biorących udział w wielkiej wojnie, nie można mieć pewności, jakiej narodowości naprawdę są ludzie w mundurach rosyjskich, niemieckich czy austro-węgierskich. Może któryś był Polakiem wcielonym do zaborczej armii i zmuszonym do walki ze współbraćmi po drugiej stronie barykady? Takie wątpliwości mieli też sami żołnierze podrywani z okopów do tytanicznych starć: „Do kogo strzelałem?”, „Kogo zakłułem bagnietem?”...

Najtrudniej jest ze zdjęciami wielonarodowej c.k. armii. Ze starych fotografii i gazet patrz na nas przedstawicieli niemal całego Międzymorza. Czasami jednak zdarza się cud i na odwrocie ujęcia można z trudem odczytać wyblakłe, wykalgrowane ołówkiem nazwiska wojaków cesarza Franciszka Józefa. Tak jest w wypadku tego zdjęcia. Od lewej stoją: Mruk, Mierzwa, Dziadzio. To koledzy z małej wioski – Rzepiennika, znajdującej się na terenie, na którym wiosną 1915 roku rozegrała się jedna z największych bitew I wojny światowej, pod

Gorlicami. „Rzepienioki kurzą cygary po tym, jak chlastali się z Moskolami w Piekło”, głosi dopisek pod nazwiskami. „Piekło” to nazwa jednego z przysiółków graniczącej z Rzepiennikiem wsi Rozembark (obecnie Rożnowice). Choć całą tę batalię spokojnie można by nazwać tym mianem. Dziś na „piekielnej górze” leży cmentarz rosyjskich żołnierzy, którzy wtedy tam zginęli. Niestety ginący pod naporem drzew, tarniny i dzikich róż. Czy był wśród nich jakiś Polak, z którym w pokojowych czasach birbanci kurzyliby spokojnie „cygary”? PK ■



LESZEK SURAWSKI

Kapitał wiedzy i doświadczenia

Sztab Generalny Wojska Polskiego to jedna z najstarszych instytucji w państwie.



Mija sto lat od wydarzeń wyjątkowych w naszej historii. Rozpoczęliśmy rok jubileuszu odzyskania niepodległości Rzeczypospolitej Polskiej. W tym szczególnym czasie pragnę zwrócić uwagę czytelników „Polski Zbrojnej” na ciekawy rozdział dziejów oręża polskiego. Mam na myśli historię Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, instytucji powołanej do życia 25 października 1918 roku, dwa tygodnie przed proklamowaniem niepodległej państwowości polskiej. Jako jedna z pierwszych, jak również najdłużej funkcjonujących instytucji obchodzi zatem jubileusz stulecia istnienia i służby dla Rzeczypospolitej. Skłania mnie to

do podzielenia się refleksją dotyczącą wieku aktywności Sztabu.

Od samego początku Sztab odgrywał niezwykle istotną rolę głównego organizatora odradzającego się po latach zaborów Wojska Polskiego. W latach 1919–1921 przekształcił się w Naczelne Dowództwo Wojska Polskiego, a następnie wrócił do pierwotnej nazwy. W 1928 roku otrzymał miano Sztabu Głównego Wojska Polskiego. Od września 1939 roku stał się Sztabem Naczelnego Wodza, najpierw w kraju, później na Zachodzie. W 1944 i 1945 roku działało Naczelne Dowództwo Wojska Polskiego ze Sztabem Głównym. Od 1945 roku nieprzerwanie funkcjonuje Sztab Generalny Wojska Polskiego.



Plac Piłsudskiego w Warszawie, czyli historyczna siedziba Sztabu Generalnego Wojska Polskiego



NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Mijające stulecie to czas trudnej, pełnej dramatycznych zwrotów polskiej historii. Były to lata obfitujące w wydarzenia, które swoim znaczeniem i tragizmem mogłyby wypełnić kilka wieków w dziejach innych narodów. Zmieniały się warunki polityczne i społeczno-ekonomiczne Polski, granice i ustrój Rzeczypospolitej. Przeobrażały się struktury i nazwa naszej instytucji. Sztab Generalny Wojska Polskiego zawsze jednak pozostawał podmiotem o znaczeniu państwowym, a podejmowane przezeń wyzwania dotyczyły obronności oraz polskiej racji stanu.

Historię Sztabu Generalnego tworzyły indywidualne i zbiorowe losy ludzi – zarówno te wspaniałe, jak i tragiczne. Okresy niepodległej świetności przeplatały się z ponurymi latami obcych wpływów. Jesteśmy świadomi

mi stopnia złożoności spraw w procesie wykuwania niepodległości. Wiemy, jak wiele zdarzyło się przez dzieściolecie, a perspektywa czasu pozwala zrozumieć i docenić osiągnięcia kolejnych pokoleń Polaków.

Służba ojczyźnie zawsze była powodem do dumy, zobowiązaniem i zaszczytem. Szczególnie odczuwało to pierwsze pokolenie żołnierzy, którzy o wolną Polskę biłi się na frontach I wojny światowej, wojnie 1920 roku i w kampanii wrześniowej 1939 roku. Każda operacja poprzedzona była wysiłkiem planistycznym i organizacyjnym wielu oficerów Sztabu Generalnego, instytucji tworzonej przez prawdziwych patriotów. Wnieśli oni do odrodzonego Wojska Polskiego nie tylko entuzjazm, wiedzę i kulturę organizacyjną, ale też ogromny bagaż doświadczeń. Ówczesna kadra to bowiem ludzie, którzy



przybyli z armii państw zaborczych oraz Błękitnej Armii gen. Józefa Hallera.

Poświęcenie i heroizm pokolenia twórców niepodległej państwowości są inspiracją dla naszej generacji. W roku jubileuszu wspominam znakomitych poprzedników. Z pokorą chylę czoła przed Tadeuszem Jordan Rozwadowskim, Stanisławem Szeptyckim, Władysławem Sikorskim czy Józefem Piłsudskim. Pamiętamy, że dawna siedziba Sztabu Generalnego znajdowała się w warszawskim Pałacu Saskim, gdzie jest Grób Nieznanego Żołnierza. Tablice chwały oręża polskiego na kolumnadzie tego wojskowego serca Polski przypominają pola bitewne i ofiarę żołnierskiej krwi. Napawają dumą i kształtują tożsamość. Nasza pamięć buduje żołnierską świadomość i poczucie odpowiedzialności. Dzieje Sztabu Generalnego WP pozostają trwale związane z walką o niepodległość ojczyzny. Ta lekcja historii powinna dzisiaj skłaniać nas do pogłębionej refleksji.

BEZPIECZNA PRZYSZŁOŚĆ

Na fundamencie historii tworzymy systemowe rozwiązania dla obronności. Zapewnianie bezpieczeństwa narodowego jest długofalowym procesem. Wymaga konsekwentnych działań na rzecz utrzymania oraz budowania zdolności obronnych Polski. Myśląc o rozwoju sił zbrojnych, patrzymy w przyszłość. Rolą Sztabu pozostaje zapewnienie właściwego poziomu merytorycznego wszelkich rozstrzygnięć systemowych i organizacyjnych. Jedynie nieustanny rozwój Wojska Polskiego oraz jego zdolności obronnych może stanowić odpowiedź na współczesne zagrożenia. Uważnie śledzimy dynamiczne zmiany w środowisku bezpieczeństwa międzynarodowego w Europie i na świecie.

Wydarzenia ostatnich lat w oczywisty sposób wpływają na postrzeganie problematyki obronności Polski. Niezwykle ważne jest to, że pozostajemy aktywnym uczestnikiem budowania bezpieczeństwa zbiorowego w układzie międzynarodowym i sojuszniczym. Jako członek największego oraz najsilniejszego sojuszu obronnego, jakim jest Organizacja Traktatu Północnoatlantyckiego, wielokrotnie udowodniliśmy, że jesteśmy partnerem wiarygodnym i solidnym.



Marszałek Józef Piłsudski w towarzystwie płk. Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego (pierwszy z lewej), mjr. Aleksandra Prystora (czwarty z lewej), płk. Wacława Stachewicza (piąty z lewej) na ulicy Królewskiej w drodze do siedziby Sztabu Generalnego.

SZTAB GENERALNY WOJSKA POLSKIEGO ZAWSZE STANOWIŁ FUNDAMENT ARMII. PRZEZ JEGO SZEREGI PRZESZŁY POKOLENIA OFICERÓW, KTÓRZY SWOJĄ SŁUŻBĄ REALNIE WPŁYWALI NA KSZTAŁT SIŁ ZBROJNYCH RP

Wnioski z analiz uwzględniamy w planach rozwoju sił zbrojnych. Skuteczne prowadzenie transformacji i modernizacji technicznej wymaga systemowego, skoordynowanego działania, opartego na precyzyjnym planowaniu. Jest to niezbędne dla utrzymania stanu stałej gotowości obronnej państwa.

We współczesnym, dynamicznie zmieniającym się świecie, naszym zadaniem jest umiejętne przewidywanie przyszłego środowiska bezpieczeństwa i rozpoznawanie zagrożeń. Na Sztabie Generalnym spoczywa odpowiedzialność za przygotowanie strategii użycia, rozwoju oraz doskonalenia Wojska Polskiego.

Sztab Generalny jest ośrodkiem strategicznej analizy. Tu biorą początek procesy decy-

zyjne, stanowiące o konstruktywnej transformacji, modernizacji i przyszłości Wojska Polskiego. Cechuje nas stała troska o jakość proponowanych koncepcji. Jako profesjonalna instytucja planowania oraz doradzania, SGWP zapewnia obiektywne, merytoryczne wsparcie dla władz państwowych.

ŁUDZIE TWORZĄ JAKOŚĆ

Sztab Generalny Wojska Polskiego zawsze stanowił fundament armii. Tworzyły go pokolenia oficerów, którzy swoją służbą realnie wpływali na kształt Sił Zbrojnych RP. Te z kolei zawsze pozostają gwarantem niepodległości, suwerenności i integralności Rzeczypospolitej Polskiej. O ile żołnierze służący w jednostkach liniowych stanowią serce armii, o tyle Sztab niezmiennie pozostaje jej mózgiem. Powstające tu idee, koncepcje i pomysły wpływają nie tylko na bieżące funkcjonowanie, lecz także na wieloletni rozwój Wojska Polskiego. Rozwiązania te w praktyce stają się obowiązującymi rozstrzygnięciami stanowiącymi siłę napędową, która wytycza kierunki funkcjonowania sił zbrojnych.

Aby służyć w Sztabie Generalnym, trzeba wyróżniać się odpowiednimi predyspozycjami i przygotowaniem. Do tego wyzwania należy dojrzeć. Droga bywa długa, zawsze wymaga solidnej edukacji, służby w jednostkach liniowych, doświadczenia w operacjach poza granicami państwa czy instytucjach i dowództwach sojuszniczych. Trudno wyobrazić sobie oficera aspirującego do miana żołnierza kompletnego, który nie ma w swoim życiorysie doświadczenia wyniesionego ze Sztabu Generalnego. Służba tutaj pozwala spojrzeć na wojsko w sposób systemowy, zrozumieć mechanizmy, warunki i zależności regulujące wszelkie procesy w wymiarze narodowym oraz sojuszniczym. Poszerza też horyzonty i daje szansę rozwoju. Stąd wywodzili się najwybitniejsi polscy dowódcy, teoretycy i praktycy myśli wojskowej. Generałowie Tadeusz Kutrzeba, Tadeusz Piskor czy Wacław Stachiewicz zapisali chwalebne karty w historii ojczystego oręcza.

Sto lat nieprzerwanej działalności to olbrzymi kapitał wiedzy, doświadczenia i przemyśleń. Nie zawsze i nie wszystkie rozwiązania udawało się urzeczywistnić. Za każdym podejmowanym działaniem kryło się jednak osobiste zaangażowanie wielu żołnierzy oraz pracowników wojska.

W ostatnich latach podejmowaliśmy wyzwania, które wywarły wpływ na obecne rozwiązania kwestii bezpieczeństwa. Za nami wydarzenia związane z organizacją szczytu sojuszu północnoatlantyckiego w Warszawie w 2016 roku, działania dotyczące planowania, programowania rozwoju sił zbrojnych oraz korekty

planu modernizacji technicznej. Pracowaliśmy nad planem wzmocnienia sojuszu północnoatlantyckiego i stworzeniem warunków do przyjęcia sojuszniczych sił wzmocnienia. Przygotowaliśmy założenia i ramy prawne funkcjonowania polskich kontyngentów wojskowych. Sztab Generalny koordynował pracę terenowych organów administracji wojskowej, będących łącznikiem ze społeczeństwem i administracją rządową oraz samorządami lokalnymi. W wymiarze międzynarodowym kierował pracą polskich przedstawicieli wojskowych w instytucjach oraz dowództwach NATO i Unii Europejskiej.

Na piękny jubileusz składa się wysiłek wielopokoleniowej społeczności. Kolejnym zastępom oficerów Sztabu zawdzięczamy renomę i uznanie naszych zagranicznych partnerów. Służba i praca tysięcy osób złożyły się na olbrzymi dorobek, którym dziś możemy się szczycić.

AMBITNE WYZWANIA

Kierowanie Sztabem Generalnym Wojska Polskiego jest dla mnie wyzwaniem i zobowiązaniem. Uczy pokory, nakazuje stałą troskę o właściwe kształtowanie sprawnego, efektywnego mechanizmu sił zbrojnych. W roku stulecia pragnę wyrazić wdzięczność wszystkim, którzy swoją wiedzą, mądrością i doświadczeniem przyczynili się do budowania potencjału wojska. Na obecny kształt Sztabu Generalnego i Sił Zbrojnych RP ogromny wpływ mieli moi poprzednicy, kierujący działalnością instytucji w ostatniej dekadzie generałowie Mieczysław Gocuł i Mieczysław Cieniuch oraz nieodżałowany gen. Franciszek Gągor.

W przyszłości ambitnych wyzwań nie zabraknie. Już w tym roku jednym z najważniejszych przedsięwzięć będzie organizacja wyjazdowego posiedzenia Komitetu Wojskowego NATO w Polsce. We wrześniu 2018 roku szefowie sztabów generalnych i obrony państw członkowskich sojuszu północnoatlantyckiego przybędą do Warszawy. Konferencja najwyższych rangą dowódców wojskowych sojuszu jest wyrazem uznania dla roli Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej i niewątpliwie uświetni obchody jubileuszu stulecia niepodległości.

Skupiamy się na sprawach tworzących systemowe podstawy bezpieczeństwa Polski. Czekają nas zmiany w systemie kierowania i dowodzenia. Sztab Generalny Wojska Polskiego jest przygotowany do działania w nowych uwarunkowaniach. ■

Gen. broni dr LESZEK SURAWSKI
jest szefem Sztabu Generalnego
Wojska Polskiego.

PIOTR KORCZYŃSKI

Nie masz złej drogi do Polski

Budował jedną z najnowocześniejszych i najlepiej wyszkolonych jednostek odrodzonego Wojska Polskiego, które od koloru ich francuskich mundurów nazwano Błękitną Armią.

Ekspansja kolonialna Francji pod koniec XIX wieku zaprowadziła jej Legię Cudzoziemską na kontynent azjatycki. Z czasem Indochiny stały się najbardziej krwawym miejscem w historii działań tej formacji, ale w XIX stuleciu południowa Azja rozpaliała wyobraźnię kolejnych kandydatów do egzotycznej przygody. Jednym z nich był Władysław Jagniątkowski. Jako jeden z nielicznych cudzoziemców dosłużył się w Légion étrangère wysokiego stopnia oficerskiego, a doświadczenie zdobyte w wojnach kolonialnych Francji mógł spożytkować w szeregach odrodzonego Wojska Polskiego.

NA EGZOTYCZNYCH FRONTACH

Przyszły kapitan Legii Cudzoziemskiej urodził się 7 grudnia 1859 roku w Michałowie nad Pilicą. Od najmłodszych lat przejawiał zainteresowanie naukami ścisłymi i technicznymi. Skończył z wyróżnieniem Mikołajewską Szkołę Inżynieryjno-Wojskową w Petersburgu. W 1885 roku przerwał jednak karierę w armii rosyjskiej i postanowił wyjechać do Paryża. Duży wpływ na tę szokującą dla rosyjskich kolegów decyzję Jagniątkowskiego miał jego stryj – Walenty Lewandowski. Ten weteran powstania styczniowego i sybirak nie mógł się pogodzić



Plk Jagniątkowski postanowił związać swe losy z odrodzoną ojczyzną i w 1919 roku w szeregach Błękitnej Armii wrócił do Polski.



z tym, że jego bratanek będzie oficerem carskiej armii. O tym, jak ważne dla Jagniątkowskiego było zdanie stryja, świadczy fakt, że zawsze miał przy sobie jego fajkę, wystruganą w którymś z obozowisk powstańczej partii.

Brutalne realia emigracyjne zweryfikowały marzenia Władysława o szybkich awansach w armii francuskiej lub karierze naukowej. Młody Polak chwycił się każdej pracy, by przeżyć kolejne dni nad Sekwaną. Był m.in. kreślarkiem w biurze konstrukcyjnym Gustava Eiffla. Bez francuskiego obywatelstwa nie miał co myśleć o wstąpieniu do francuskiej armii, znalazł jednak pewną furtkę: 1 lipca 1887 roku wstąpił w szeregi Legii Cudzoziemskiej. W swych pamiętnikach napisał: „Odczuwałem już w sobie ducha legionisty, czułem, że jeżeli sposobność się nadarzy, to będę walczył jak lew i jeżeli kula mnie ominie, to wkrótce zostanę oficerem”.

O dziwo, marzenie Jagniątkowskiego spełniło się co do joty. Maroko, Tonkin, Annam (środkowy Wietnam), Senegal, Dahomej, Madagaskar to kolejne miejsca wyznaczające szczyble kariery legionisty, kaprała, sierżanta i wreszcie porucznika Jagniątkowskiego. Ale nie był on też zwykłym legionistą – dowództwo szybko dostrzegło wyjątkowe zdolności techniczne Polaka. Za precyzyjne wykonanie



MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO (2)

W WIELU MIEJ- SCACH ŚWIATA ORGANIZOWANO WERBUNEK DO BIAŁO- CZERWONYCH SZEREGÓW

W pobliżu miasteczka Niagara-On-The-Lake funkcjonował Tadeusz Kosciuszko Camp – ośrodek szkoleniowy dla polskich ochotników do armii polskiej organizowanej przez państwa ententy. W ośrodku przeszkolono ogółem 23 tys. żołnierzy.

planów topograficznych środkowego Wietnamu został on odznaczony przez cesarza annamskiego Than Thay'a Orderem Smoka Annamu.

W 1890 roku Jagniątkowskiemu przyznano obywatelstwo francuskie, dzięki czemu mógł przejść do armii. Został dowódcą fortów na Riwierze. W 1896 roku w La Barre pod Paryżem poślubił Polkę Magdalenę Karpińską rodem ze Śremu. Przez następne trzy lata pracował w Ministerstwie Marynarki w zespole konstruktor-skim zajmującym się torpedami. Za wynalezienie mecha-nizmu zwiększającego ich celność Jagniątkowski dostał nagrodę francuskiej admiralicji.

SŁUŻBA DLA OJCZYZNY

Gorąca krew legionisty nie pozwoliła mu długo pozostać w biurach konstrukcyjnych. W 1900 roku, po awansie na kapitana, na własną prośbę znowu znalazł się w Wietnamie, a stąd w szeregach armii francuskiej wyruszył tłumić powstanie bokserów w Chinach. Tam wykazał się męstwem jako oficer liniowy, kiedy to m.in. pierwszy wdarł się ze swą kompanią na mury Pekinu. Za kampanię chińską dostał najwyższe francuskie odznaczenie wojskowe – Legię Honorową.

W 1912 roku Jagniątkowski został przeniesiony w stan spoczynku. Wkrótce jednak wstąpił do Komendy Polskich Drużyn Strzeleckich utworzonej w Paryżu w 1913 roku. Od dwóch lat funkcjonowała tam też szkoła Związku Strzeleckiego, która przygotowywała kadry oficerskie dla przyszłego Wojska Polskiego. Zajęcia teoretyczne odbywały się co dwa tygodnie i obejmowały wykłady z taktyki ogólnej, taktyki piechoty, organizacji wojska oraz posługi-wania się mapą.

Co niedzielę w podparyskich lasach kursanci przecho-dzili ćwiczenia praktyczne: musztrę i używanie broni. Z tą ostatnią był największy problem, bo do dyspozycji było je-dynie kilkadziesiąt starych karabinów i osiem nowocze-snych. Większość przyszłych żołnierzy polskich ćwiczyła strzelanie, posługując się kijami.

Pięćdziesięciopięcioletni kpt. Jagniątkowski został w szkole wykładowcą taktyki. Jak wspominają jego uczniowie, miał zdolności pedagogiczne, a przy tym nie-zwykle bogate doświadczenie wojskowe z legionowych pól bitewnych i sztabów armii francuskiej. To właśnie dzięki Jagniątkowskiemu udało się w 1913 roku otworzyć w Paryżu strzelecką szkołę oficerską, której absolwenci zasilili potem Legiony Polskie, a następnie odrodzone Wojsko Polskie. Słuchaczami kapitana byli m.in. Jerzy Błuszczyński, Konrad Libicki, Wacław Sieroszewski, Andrzej Strug i Bolesław Wieniawa-Długoszowski.

W lutym 1914 roku, kiedy Jagniątkowski prowadził wy-kład o fortyfikacjach, do sali niespodziewanie wszedł Józef Piłsudski. Kapitan przywitał go, a ten odpowiedział, że jego słuchacze są „materiałem na oficerów przyszłych



sił zbrojnych”, jednocześnie tłumacząc, że los wiąże ich z Austrią.

Wybuch I wojny światowej zastał kpt. Jagniątkowskiego w Krakowie. Przyjechał tu do Związku Strzeleckiego. Zagrożony internowaniem przez władze austriackie, zdołał uciec z Galicji i wrócić do Francji. Jako oficer francuski otrzymał przydział do dowództwa frontu Montrouge, a od 1915 roku pracował w sztabie misji francusko-angielskiej na froncie północnym. Służba w armii francuskiej nie przysłoniła kapitanowi spraw polskich. Wiedział, że na froncie walczy złożony z polskich ochotników oddział bajonczyków, który został wcielony do 1 Pułku Legii Cudzoziemskiej i bez wahania dołączył do polskich żołnierzy, gdy tylko pojawiła się taka okazja.

FUNDAMENT BŁĘKITNEJ ARMII

Przełomem w staraniach o utworzenie armii polskiej u boku zachodnich aliantów okazał się rok 1917. 20 maja francuskie Ministerstwo Wojny zapowiedziało utworzenie Misji Wojskowej Francusko-Polskiej, która miała koordynować tworzenie oddziałów polskich. Do jej szeregów przeznaczono Polaków służących wcześniej w armii francuskiej, jeńców z armii niemieckiej oraz ochotników zza oceanu. 4 czerwca prezydent Raymond Poincaré podpisał w tej sprawie odpowiedni dekret. Jego pierwszy artykuł zapowiadał sformowanie armii polskiej „pozostającej pod rozkazami naczelnego dowództwa francuskiego i walczącej pod polskim sztandarem”.

Wiść o tworzeniu polskiej armii zastała Jagniątkowskiego w Bruay. Tak po latach wspominał tę chwilę: „Na tę wiadomość uczułem prawdziwy zawrót głowy! Armia polska! Nareszcie! Wszak każdy z nas już od najmłodszych lat o niej marzył, tworzył najdziwniejsze projekty zdobycia jej niepodległości! Ileż to razy, pamiętam jeszcze w Legii Cudzoziemskiej na Saharze, złączeni tęsknotą za krajem układaliśmy fantastyczne plany naszych przyszłych zwycięstw! A potem... w Chinach, na Madagaskarze, w Sudanie i innych cmentarzach napotykalśmy włączających się naszych rodaków!”.

Od tej chwili życie kpt. Jagniątkowskiego znowu przyspieszyło. 6 czerwca 1917 roku na szefa Misji Wojskowej Francusko-Polskiej powołano gen. Louisa Archinarda, a Jagniątkowski otrzymał z Ministerstwa Wojny polecenie niezwłocznego stawienia się do jego dyspozycji. W sztabie misji w Paryżu kapitan dołączył do kilku oficerów francuskich i polskich, którzy organizowali już werbunek do białoczerwonych szeregów. Według ich danych, w armii francuskiej służyło około 2 tys. Polaków i Francuzów polskiego pochodzenia; kolejnych 7 tys. Polaków zewidencjonowano wśród jeńców z armii niemieckiej. Najbardziej zaś liczono na ochotników z Polonii amerykańskiej.

Na pierwsze miejsce pobytu polskich ochotników przeznaczono obóz wojskowy w Sillé-le-Guillaume w departamencie Sarthe. Struktury organizacyjne tworzył właśnie kpt. Jagniątkowski. Weteran Legii Cudzoziemskiej miał doprowadzić do porządku stare baraki, tak by mogli w nich mieszkać ludzie. Z zadania wywiązał się doskonale, bo w sierpniu 1917 roku miejsce to zmieniło się nie do poznania, a pierwszych ochotników wrzucenie chwyciło za gardło, kiedy mijali bramę obozu z napisem: „Obóz wojsk polskich”. Tutaj żołnierze dostawali błękitne rogatywki z orzełkiem i polskie odznaki. Na naramiennikach kurtek i płaszczy nosili odtąd białego orła na amarantowym tle.

Jesienią 1917 roku w Sillé-le-Guillaume przebywało już blisko tysiąc ochotników. 15 listopada utworzono na terenie obozu pierwszą szkołę podchorążych i sierżantów, a na jej czele stanął niezawodny kpt. Jagniątkowski (komendantem obozu został wtedy mjr Georges M.J. Blanchard). Kształcenie żołnierzy pod okiem francuskich instruktorów trwało w szkole pół roku, następnie ochotnicy byli rozsyłani do różnych jednostek francuskich, by wyspecjalizować się we wszystkich dziedzinach wiedzy wojskowej.

W grudniu 1917 roku do Francji zaczęli przybywać ochotnicy z Polonii amerykańskiej. Pierwszy, liczący 1,2 tys. żołnierzy, oddział uroczystie powitano w Bordeaux. Wzruszony Jagniątkowski zanotował: „W mieście powiewały chorągwie polskie! Gdy okręt zbliżył się na kilkaset metrów do przystani, nasi trębacze z Sillé-le-Guillaume zaczęli grać »Jeszcze Polska nie zginęła«, na co z okrętu rodacy z Ameryki odpowiedzieli chóralną pieśnią »Boże coś Polskę«. Wzruszenie chwyciło mnie za gardło! [...] Niebawem 1200 sokołów polskich, porządnie umundurowanych przez Kanadę, wylądowało na brzegu. Ich marsowa postawa i jednolita sprawność w manewrowaniu wzbudziła ogólny podziw u Francuzów [...]. Za pierwszym oddziałem wkrótce przybył drugi, trzeci... piąty... dziesiąty! Każdy z oddziałów posiadał chorągiew narodową albo z orłem białym, albo z Matką Boską Częstochowską. Każdy z tych oddziałów przeszedł w obozie przez moje ręce! Każdy z nich witałem w imieniu oddalonej ojczyzny”.

Dzięki napływowi ochotników ze Stanów Zjednoczonych, Kanady, Brazylii i innych państw kontynentu amerykańskiego, w lutym 1918 roku w Sillé-le-Guillaume było już 16 tys. żołnierzy. Obóz pękał w szwach, więc zlokalizowano dodatkowe dwa w Laval w departamencie Mayenne, a 10 stycznia 1918 roku z rozkazu gen. Archinarda sformowano 1 Pułk Strzelców Polskich. Na jego czele stanął oficer armii francuskiej, ppłk Julian Jasiński, dowództwo zaś nad jego 3 Batalionem przypadło mianowanemu do stopnia mjr. Władysławowi Jagniątkowskiemu. Polski pułk latem 1918 roku odznaczył się na froncie w bitwach pod



TALENTY LEGIONISTY

Władysław Jagniałkowski w wielu książkach opisywał swe przygody i doświadczenia z czasów służby w Legii Cudzoziemskiej. Już same tytuły rozpalały wyobraźnię i budziły chęć do egzotycznych przygód: „Kartki z podróży po Indo-Chinach” (1909), „Z podróży po Annamie” (1909), „W krainie bokserów” (1913), „Powieść z życia afrykańskiego” (1924), „Na brzegach Senegalu” (1912), „W Legii Cudzoziemskiej” (1909) i wiele innych.

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE



**Msza polowa
w obozie Sillé-le-
Guillaume (region
Loary), gdzie po-
wstały pierwsze
polskie oddziały,
1917 rok.**

Centre-Chaiton (21 lipca) i Bois de la Raquette (24–25 lipca), a następnie na froncie lotaryńskim. Jagniałkowski objął funkcję dyrektora naukowego Szkoły Podchorążych w Camp du Ruchard.

KONSEKWENTNY W MARZENIACH

Najnowocześniejsze i najlepiej wyszkolone jednostki odrodzonego Wojska Polskiego od koloru ich francuskich mundurów nazwano Błękitną Armią. 4 października 1918 roku jej naczelnym wodzem został gen. Józef Haller. Przejął on dowództwo nad żołnierzami bitnymi i świadomymi swego patriotyzmu.

Ppłk Jagniałkowski postanowił już na zawsze związać swe losy z odrodzoną ojczyzną i w 1919 roku w szeregach Błękitnej Armii wrócił do Polski. W kraju ani myślał o zasłużonej emeryturze. Na czele 43 Pułku Strzelców Kresowych im. Bajorczyków wyruszył na Wołyń i brał udział w walkach o utrwalenie wschodnich granic Rzeczypospolitej. Następnie został członkiem międzynarodowej komisji do

spraw regulacji przebiegu granicy polsko-czechosłowackiej. W II Rzeczypospolitej powrócił również do swych profesji technicznych. Pełnił m.in. obowiązki szefa saperów Warszawskiego Okręgu Generalnego, wykładał w Szkole Podchorążych Inżynierii w Warszawie. Był także jednym z twórców planów rozbudowy Wojskowej Składnicy Tranzytowej na Westerplatte.

Władysław Jagniałkowski zmarł 8 stycznia 1930 roku w Warszawie. W jednym z przemówień do ochotników polskich w Sillé-la-Guillaume powiedział: „Nie masz złej drogi do Polski. Na dyszlu nawet usiadzemy i zajadziemy do naszej odrodzonej ojczyzny, do naszych matek, żon, dzieci”. Jego droga do Polski była wyjątkowo długa, ale jednocześnie niezwykle konsekwentna.

PRZEMYSŁAW WYWIAŁ

Kroki milowe do wolności

Po pierwszych dniach listopada 1918 roku Józef Piłsudski zyskał miano wskrzesiciela państwa polskiego.

Ranek 10 listopada 1918 roku ze specjalnego pociągu jadącego z Berlina na warszawskim dworcu wysiadł Józef Piłsudski. Towarzyszył mu wierny przyjaciel Kazimierz Sosnkowski, który przebywał z nim w twierdzy magdeburgskiej. Na Dworcu Wiedeńskim Komendanta powitała delegacja z udziałem m.in. księcia Zdzisława Lubomirskiego, członka Rady Regencyjnej, i Adama Koca z Polskiej Organizacji Wojskowej. Członkowie POW-u już od kilku dni wyczekiwali przed dworcami czy na rogatkach na przyjazd więźniów magdeburgskich. Po wyjściu z dworca Piłsudskiego powitali mieszkańcy Warszawy: z pewnością wywarło to pozytywny wpływ na Komendanta, który – przez dłuższy czas odseparowany od spraw publicznych – mógł mieć wątpliwości co do nastrojów polskiego społeczeństwa.

W ostatnich dniach wielkiej wojny Piłsudski przybywał do Warszawy w aurze legendy bojowca, twórcy Legionów i – co bardzo ważne w kontekście antyniemieckich nastrojów społeczeństwa – więźnia z twierdzy magdeburgskiej. Dotarł do ogar-

CENTRALNA BIBLIOTEKA WOJSKOWA

niętej marzeniami o wolnej Polsce stolicy, gdzie młodzi zapaleńcy już przystąpili spontanicznie do rozbrajania żołnierzy niemieckich.

POLITYCZNA MOZAIKA

Józef Piłsudski w kolejnych dniach musiał stawić czoła skomplikowanej sytuacji politycznej.

Z nadania zaborcy formalną władzę na okupowanych ziemiach Królestwa sprawowała Rada

Regencyjna, niemająca jednak szerszego poparcia społecznego. Z kolei w nocy

z 6 na 7 listopada w Lublinie powstał

Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej, którego bazą były stronnictwa

lewicy niepodległościowej, wspierane przez POW. Zapowiedział on głębokie

reformy socjalne i wprowadzenie ustroju republikańskiego w wolnej

Polsce. Kilka lat później Komendant docenił znaczenie rządu kierowanego

przez Ignacego Daszyńskiego: „W wystąpieniach rządu lubelskiego

jest nuta, której gdzie indziej nie ma. Nuta, która mówi o rządzie, a nie

o współrzędzie i dlatego jest to próba, która poszła najdalej i najsilniej w kie-

runku stania się rządem polskim. Rząd lubelski poszedł nawet tak daleko, że

przedstawiał się jako rząd jedyny i żądał od wszystkich innych prób rządu, aby mu się

poddały. To znaczy zrobił on pierwszą historyczną próbę zrobienia rządu jednolitego na całym

obszarze Rzeczypospolitej, próbę, która jednak historycznie nie dała rezultatu”.

Na przełomie października i listopada na gruzach zaborów pruskiego i austriackiego zaczęły powstawać lokalne

ośrodki władzy polityczno-wojskowej, które głosiły zrzucenie jarzma niewoli i odbudowę zrębów państwowości

polskiej. 28 października w Krakowie powstała Polska Komisja Likwidacyjna z Wincentym Witosem na czele.

Szybko – praktycznie bez oporu – przejęła ona kontrolę nad Galicją Zachodnią. Tymczasem 1 listopada wybuchły

walki polsko-ukraińskie o Lwów i Galicję Wschodnią, gdzie powołano do życia Polski Komitet Narodowy. Na

Śląsku Cieszyńskim działała natomiast Rada Narodowa, która porozumiała się z Czechami i 5 listopada –

uwzględniając różnice narodowościowe – dokonała podziału terytorialnego tej dzielnicy. 10 listopada utworzono

w Poznaniu Naczelną Radę Ludową. Z kolei w Paryżu działał cieszący się poparciem mocarstw zachodnich Komitet

Narodowy Polski, który miał ambicje przejęcia wła-

dy w kraju. Do problemów wynikających z takiej mozaiki politycznej należy dodać płynące ze Wschodu zagrożenie rewolucją (również i na terenach polskich byli zwolennicy budowy kolejnej republiki rad) oraz obecność dobrze wyposażonych i – mimo porażki na frontach – nadal zdyscyplinowanych oddziałów niemieckich (tylko w garnizonie warszawskim służyło 12 tys. niemieckich żołnierzy).

WITA MNIE WARSZAWA

Po krótkiej rozmowie z księciem Lubomirskim Piłsudski udał się do mieszkania w pensjonacie panien

Romanówien przy ul. Moniuszki, gdzie pracował Sztab Komendy Naczelnej POW. „Wiadomość o przyjeździe

Józefa Piłsudskiego rozeszła się już po Warszawie”, wspominał wiele lat później Adam Koc. „W pensjonacie

zrobiło się bardzo tłoczno – politycy i przyjaciele, znajomi, wielbiciel, wszyscy naraz chcieli tu być i witać.

Oczywiście było to niewykonalne, więc ograniczyło się te wizyty do wpisywania się do książki wyłożonej w przed-

pokoju, przy której stale dyżurował jeden z adiutantów. Tymczasem na ulicy przed domem zgromadził się tłum

ludzi, wznoszący okrzyki na cześć Józefa Piłsudskiego i wołający o ukazanie się i przemówienie”.

Ostatecznie Komendant wygłosił krótką mowę do tłumowi warszawiaków: „Obywatele! Bardzo gorąco dziękuję

wam za to przyjęcie tak serdeczne, któreście mi zgotowali. Po raz już trzeci wita mnie Warszawa, a wita mnie jako

tę, który krew i życie swoje każdej chwili ojczyźnie i ludowi polskiemu oddać gotów”.

Tak te pierwsze godziny w Warszawie zapamiętał z kolei sam Piłsudski: „Chaos, z którym się spotkałem

w Warszawie, był tak bezmierny, iż bez zastanowienia się i obeznania się z charakterem tego chaosu uważałem za

nierozsądne dla siebie przystąpić do jakiegokolwiek pracy”.

Już o północy z 10 na 11 listopada pojawiła się u Komendanta – uznając jego autorytet – delegacja niemieckiej

rady żołnierskiej, Soldenratu. Żołnierze domagali się gwarancji bezpieczeństwa i swobodnego odjazdu do kra-

ju. Gdyby ich nie uzyskali, byli gotowi przebić się z użyciem siły. 11 listopada Piłsudski ogłosił wzięcie żoł-

nierzy niemieckich pod swoją opiekę, a dwa dni później rozpoczęła się ich ewakuacja, zakończona w ciągu kolej-

nych sześciu dni. Niemcy wyjeżdżali z bronią i składali ją w punktach granicznych. W ten sposób niebezpieczeń-

stwo akcji zbrojnej z ich strony zostało zażegnane.

JAK SILNIE STANIEMY NA NOGACH

11 listopada Piłsudski otrzymał od Rady Regencyjnej władzę nad wojskiem (Polska Siła Zbrojna). Dysponował

również strukturami mobilizowanej POW. Niestety, dawało





Powitanie Józefa Piłsudskiego na Dworcu Głównym w Warszawie 11 listopada 1918 roku. W rzeczywistości zdjęcie to wykonane zostało dwa lata wcześniej – 12 grudnia 1916 roku, ale już w okresie II RP było oficjalną ilustracją przedstawiającą powrót przyszłego Pierwszego Marszałka Polski z Magdeburga.

to zaledwie około 20 tys. ludzi. Podstawowym wyzwaniem w tych dniach listopadowych było jednak, zdaniem Piłsudskiego, powołanie rządu polskiego, który stanąłby ponad podziałami politycznymi. „Nie ma stronnictwa czy partii, która by mogła powiedzieć, że własnymi siłami potrafi dać radę wszystkim przeciwnościom”, tłumaczył pod koniec listopada Bogusławowi Miedzińskiemu. „A czas przed nami jest krótki i tylko wspólnym wysiłkiem możemy zdecydować, na jakiej przestrzeni, w jakich granicach naszą wolność obwarujemy i jak silnie staniemy na nogach, zanim dojdą z powrotem do siły i pełnego głosu nasi sąsiedzi ze wschodu i zachodu”. Natychmiast przystąpił do prac nad budową rządu narodowego, którego skład i autorytet będą tak ważne dla sprawy polskiej w tych burzliwych dniach.

Pierwszym krokiem było nakłonienie rządu lubelskiego do rozwiązania się, chociaż tworzyli go bliscy współpracownicy Komendanta. Obawiał się on, że wyraźnie lewicowe oblicze gabinetu Ignacego Daszyńskiego uniemożliwi porozumienie z prawicą. Ostatecznie jednak zdecydował się sformować rząd oparty na środowiskach lewicy niepodległościowej (gdy misja budowy gabinetu nie powiodła się Daszyńskiemu, jego prezesem został Jędrzej Moraczewski). U podłoża tej decyzji leżało przede wszystkim przekonanie, że rząd polski o takim obliczu będzie potrafił zapobiec rozszerzaniu się haseł i wpływów komunistycznych. Nie bez znaczenia była też z pewnością nieufność jego oficerów z I Brygady i POW-u wobec środowisk pravicowych, które niejednokrotnie w czasie wojny i jeszcze przed nią krytykowały czy wyśmiewały strzelecko-legionowy czyn zbrojny. Rząd Moraczewskiego,

w którym Piłsudski objął stanowisko ministra spraw wojskowych, zaczął pracę 18 listopada.

W tym czasie Piłsudski miał władzę niemal dyktatorską. 14 listopada Rada Regencyjna przekazała w jego ręce pełnię rządów i się rozwiązała. W obliczu wydarzeń w kraju i całej Europie nadszedł czas na formalną notyfikację faktu odrodzenia państwa polskiego. 16 listopada w specjalnej depeszy radiowej Piłsudski – wódz naczelny Armii Polskiej – informował o istnieniu niepodległej Polski, która to „powstaje z woli całego narodu i opiera się na podstawach demokratycznych”.

Piłsudski, który sięgnął do tradycji powstania kościuszkowskiego, przyjmując obowiązki głowy państwa, przyjął też tytuł naczelnika państwa – z zaznaczeniem, że urząd ten ma charakter tymczasowy. By jednak wyjść z tego stanu tymczasowości, podjął przygotowania do przeprowadzenia wyborów, które wyłoniłyby konstituantę. Dekret o ordynacji wyborczej z 28 listopada wprowadzał bardzo demokratyczne zasady, które w tym czasie wcale nie były tak powszechne w świecie jakby się wydawało (pięcioprzymiotnikowe prawo wyborcze, prawo wyborcze dla kobiet, jednoizbowy sejm).

W Stanach Zjednoczonych na przykład kobiety otrzymały prawa wyborcze w 1920 roku (wcześniej – w zależności od rozwiązań przyjętych w danym stanie), we Francji – w 1944 roku, a w Szwajcarii pełnię praw wyborczych miały dopiero w 1971 roku! Wybory miały zostać przeprowadzone nie tylko na terenach, gdzie sięgała władza rządu Moraczewskiego (w zasadzie tylko okrojone Królestwo oraz Cieszyńskie i Lwów), lecz także na wszystkich ziemiach polskich.



**NIEPODOBNA
ODDAĆ TEGO
UPOJENIA, TEGO
SZAŁU RADOŚCI,
JAKI LUDNOŚĆ POL-
SKĄ W TYM MOMEN-
CIE OGARNAŁ. PO
120 LATACH PRY-
SŁY KORDONY.
WOLNOŚĆ!
NIEPODLE-
GŁOŚĆ! ZJED-
NOCZENIE!**



NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Powodzenie w budowaniu struktur niepodległego państwa gwarantował autorytet Józefa Piłsudskiego.

Kolejnym ważnym dokumentem wydanym przez tymczasowego naczelnika państwa był dekret wprowadzający ośmiodzinny dzień pracy i 46-godzinny tydzień pracy. Ustawodawstwo socjalne było wówczas antidotum dla hałasu bolszewickich.

WSKRZESICIEL POLSKIEGO PAŃSTWA

Dla odradzającej się Rzeczypospolitej wielkim wyzwaniem była budowa armii. W momencie przybycia więźnia magdeburgskiego do Warszawy pod bronią było około 20 tys. żołnierzy. Można było oczywiście liczyć na zgłaszających się do wojska legionistów czy weteranów armii zaborczych, ale formowanie sił zbrojnych było procesem czasochłonnym. A w tych gorących dniach czasu bardzo brakowało. Najbardziej było to widać w ogarniętej walkami Galicji Wschodniej, gdzie siły ukraińskie miały wyraźną przewagę liczebną przynajmniej do końca roku. Wysłane z Krakowa oddziały mjr. Juliana Stachewicza odbiły 11 listopada Przemyśl, co ułatwiało prowadzenie dalszych działań na wschodzie. Nocą z 21 na 22 listopada siły polskie pod dowództwem ppłk. Michała Karaszewicza-Tokarzewskiego wyparły Ukraińców ze Lwowa. Nie był to jednak koniec zmagania: potrzeba było kolejnych oddziałów, żeby kontynuować walkę z Ukraińcami.

„Niepodobna oddać tego upojenia, tego szału radości, jaki ludność polską w tym momencie ogarnął. Po 120 latach prysły kordony. Wolność! Niepodległość! Zjednoczenie! Własne państwo. Będziemy sami sobą rządzić. Cztery pokolenia nadaremno na tę chwilę czekały, piąte doczekało”, wspominał atmosferę tych listopadowych dni Jędrzej Moraczewski.

Przed odbudowywanym z takim trudem państwem polskim i stojącym na jego czele Naczelnikiem jawiły się jednak kolejne wyzwania: potrzeba porozumienia z państwami ententy i działającym na Zachodzie, a zdradzającym duże ambicje, Komitetem Narodowym Polskim, formowanie struktur cywilnych i wojskowych państwa, wytyczenie jego granic (wkrótce wybuchnie powstanie wielkopolskie, potem będą trzy zrywy śląskie), przeciwdziałanie groźbie ze strony rewolucji bolszewickiej.

Prawne, polityczne i wojskowe fundamenty pod przeprowadzenie tego dzieła zostały już jednak w tych listopadowych dniach zbudowane. Gwarantował je autorytet Józefa Piłsudskiego, a do legendy bojowca, twórcy Legionów i więźnia magdeburgskiego doszło jeszcze miano wskrzesiciela państwa polskiego. ■

PRZEMYSŁAW WYWIĄŁ jest historykiem wojskowości, pracownikiem Uniwersytetu Pedagogicznego im. KEN w Krakowie.

Józef Piłsudski po przybyciu do Warszawy w listopadzie 1918 roku musiał stawić czoła skomplikowanej sytuacji politycznej.

ROBERT CZULDA

BUNT WYZWOLICIELI

Senegalscy żołnierze walczyli o wyzwolenie Francji, ale zamiast podziękowań czekało ich odesłanie do Afryki.

Francja w 1944 roku miała powody do radości – po kilku latach odzyskała wolność. Podobne nastroje panowały wśród Senegalczyków, którzy o interesy swych francuskich panów walczyli co najmniej od 1857 roku, kiedy we Francuskiej Afryce Zachodniej powołano wierne Paryżowi lokalne oddziały (Tirailleurs sénégalais). W 1943 roku zaangażowano je w wyzwolenie Korsyki, a następnie południowej Francji. Po oswobodzeniu kraju Afrykańczycy stali się kłopotliwym ciężarem i na rozkaz generała Charles’a de Gaulle’a mieli jak najszybciej wyjechać – psuli bowiem obraz dzielnych i białych Francuzów, którzy wyzwolili się bez niczyjej pomocy, a już na pewno nie Afrykańczyków (którzy stanowili 65% sił Wolnych Francuzów).

ZŁAMANE OBIETNICE

Senegalczycy służyli dla Francji, ale nie mieli takiego samego statusu jak mieszkańcy metropolii – za nią mogli jedynie umierać. Po wycofaniu ze strefy działań wojennych pozbawiono ich mundurów, a także nie dano obiecanych na początku wojny emerytur w wysokości równej tym, jakie przyznawano Francuzom. Paryż był gotów dać im najwyżej połowę tej kwoty, a na to nie było zgody. Co więcej, Senegalczycy nie mogli doprosić się należności za okres, w którym przebywali w obozach jenieckich (wielu z nich dostało się do niemieckiej niewoli). Narzekano również na warunki bytowe w koszarach, w których umieszczono ich w okresie przejściowym – przed zwolnieniem ze służby do cywila.

Część Senegalczyków protestowała już w Europie. Do pierwszego incydentu doszło w angielskim obozie wojskowym Monshire niedaleko Huyton w hrabstwie Merseyside, gdzie kilkuset żołnierzy Tirailleurs sénégalais odmówiło wejścia na pokład statku mającego ich wywieźć do Afryki.

Dopiero obietnica, że należności otrzymają po dotarciu do Senegalu, załagodziła sprawę. Tak się nie stało.

Czara goryczy przełała się 30 listopada 1944 roku w Camp de Thiaroye niedaleko senegalskiego Dakaru. Do protestów przyłączyło się ponad tysiąc żołnierzy, głównie byłych jeńców. Francuzi nie zamierzali jednak ustąpić. Wśród oficerów krążyły wówczas plotki, jakoby wielu Senegalczyków wróciło do kraju ze sporą gotówką – według doniesień przekazanych przez Niemców, liczących, że Tirailleurs sénégalais się zbuntują. Mówiono, że Senegalczycy byli w niemieckich obozach jenieckich traktowani lepiej niż biali Francuzi i dlatego też nie im się należy.

MASAKRA OPORNYCH

Podczas protestów zatrzymano francuskiego gen. Degnana, który za zwrócenie wolności obiecał, że afrykańscy żołnierze dostaną takie same należności finansowe jak biali z metropolii. Senegalczycy zwolnili francuskiego oficera, ale on nie miał zamiaru dotrzymać obietnicy. Generał wrócił do swoich żołnierzy. Począł i rankiem 1 grudnia 1944 roku, kiedy przekonani o pokojowym rozwiązaniu sporu Senegalczycy spali, zaatakował ich obóz. W nierównej walce życie straciło kilkudziesięciu ciemnoskórych żołnierzy Francji. Źródła mówią o wykorzystaniu trzech samochodów pancernych z ciężkimi karabinami maszynowymi oraz czołgu M3. Dramaturgii wydarzeniom dodaje fakt, że do spacyfikowania tych najbardziej krnąbrnych Francuzi wykorzystali siły afrykańskie.

W momencie tłumienia rebelii na powrót do Senegalu czekało jeszcze około 10 tys. Senegalczyków, w większości byłych jeńców wojennych. Jak napisał wówczas Pierre Charles Cournarie, gubernator generalny Francuskiej Afryki Zachodniej: „jeśli nie przywrócimy dyscypliny wśród miejscowych byłych jeńców obozów – zanim dokonali repatriacji – problemy pojawiają się nieubłaganie we wszystkich bazach wojskowych i nawet w najdalszych wioskach regionu”. By sytuacja się nie powtórzyła, natychmiast przeprowadzono dochodzenie.

Francuzi doszli do wniosku, że wystąpiły trzy czynniki, które przyczyniły się do wybuchu rebelii. Pierwszym miała być domniemana niemiecka propaganda wśród Senegalczyków i bezpośrednie wsparcie Berlina, drugim „wino i białe kobiety”. Jak napisano: „francuskie społeczeństwo





Żołnierze jednego z oddziałów senegalskich, Francuska Afryka Zachodnia, 1913 rok.

AFRYKAŃSKA SIŁA

W szeregach sił senegalskich walczyli żołnierze z Afryki Zachodniej, w tym z obecnych państw, takich jak: Gwinea, Mali, Czad, Gabon, Wybrzeże Kości Słoniowej czy Togo. Jednostki te stanowiły główny oręż armii francuskiej w Afryce. Po wybuchu I wojny światowej do Francji wysłano liczne bataliony kolonialne, w tym senegalskie. Część pozostała w Maroku. Po wojnie siły kolonialne zaangażowane były w okupację Nadrenii. W przededniu II wojny światowej

we Francji stacjonowało około 40 tys. Senegalczyków. Szacuje się, że we francuskiej wojnie obronnej 1940 roku zginęło lub zostało rannych 17 tys. z nich – około 3 tys. zamordowali żołnierze Wehrmachtu w 1940 roku. Senegalczycy stanowili większość sił Wolnych Francuzów. Pod koniec 1944 roku Afrykańczyków z Europy pośpiesznie wycofano i nie pozwolono im wziąć udziału w uroczystościach z okazji wyzwolenia kraju. Ostatnią jednostkę rozwiązano w 1964 roku. ■

wykazywało się przesadnym sentymentalizmem wobec Senegalczyków i krytycznym stosunkiem do ich oficerów, co czasem prowadziło do podkopywania ich autorytetu”. Francuski minister do spraw kolonii Jacques Soustelle wyjaśniał, że przyczyną były „bliskie i długotrwałe kontakty z francuskim społeczeństwem lub przynajmniej jego częścią (i niestety nie zawsze z jego najlepszymi przedstawicielami)”. Trzecią przyczyną buntu według francuskiego dowódcztwa był kontakt Senegalczyków z czarnymi żołnierzami amerykańskimi, którzy uświadomili swych braci w kwestii emancypacji rasowej.

PROCES I AMNESTIA

Rząd Charles’a de Gaulle’a nie mógł sobie pozwolić na to, aby czarni szantażowali białych. Paryż nie chciał też psuć relacji z podległymi sobie koloniami, bo miał świadomość, że może dojść do większego buntu, a przynajmniej zmniejszenia popularności służby w armii francuskiej, a przecież w tym okresie powoli zaczynała się zaogniać sytuacja w Indochinach i potrzebowano żołnierzy. Dlatego z jednej strony podjęto decyzję, aby afrykańscy żołnierze otrzymali należne im pieniądze, a z drugiej sprawców buntu postawiono przed sądem wojskowym – w marcu 1945 roku tych, którzy przeżyli masakrę, skazano na karę

więzienia od roku do dziesięciu lat. Taki los spotkał 34 żołnierzy. W 1947 roku objęła ich amnestia.

Francuzi uznali to wydarzenie za nieistotny epizod z poważnym naruszeniem dyscypliny wojskowej, ale też mocno odcisnęło się ono na zbiorowej świadomości. Popularność zyskała myśl, która zaczęła rozwijać się wśród pewnych grup na początku XX wieku, że białym kolonizatorom nie można ufać i należy się ich pozbyć. Senegal uzyskał niepodległość w 1960 roku – to tak zwany rok Afryki, kiedy łącznie 17 jej państw uzyskało wolność.

Masakra w Thiaroye trafiła do szerszej świadomości dopiero w 1988 roku, kiedy senegalski reżyser Ousmane Sembène, weteran Tirailleurs sénégalais, a później członek francuskiej partii komunistycznej, nakręcił dramat wojenny pod tytułem „Camp de Thiaroye”. Przez wiele lat nikt nie chciał go we Francji pokazać – na DVD pojawił się dopiero w 2005 roku. Podejście do masakry zmieniło się w październiku 2012 roku, kiedy francuski prezydent François Hollande podczas swojej wizyty w Senegalu określił ją „aktem krwawych represji”. W listopadzie 2014 roku polityk odwiedził cmentarz wojenny w Thiaroye. Obiecał też, że Francja przekaże stronie senegalskiej powiązane z masakrą dokumenty z francuskich archiwów. ■

Wydarzenia z wielkiej wojny odcisnęły na Brytyjczykach szczególne piętno. Wciąż mieli w pamięci rozpoczętą przez Cesarstwo Niemieckie ofensywę podwodną, która o mało nie rzuciła ich na kolana. Zjednoczonemu Królestwu zagroziło odcięcie od dostaw, m.in. żywności, metali i paliw, bez których nie mogło funkcjonować. Dlatego, gdy zaczęło rosnąć ryzyko wybuchu konfliktu z hitlerowskimi Niemcami, Brytyjczycy rozpoczęli program, którego efektem miał być okręt eskortowy do ochrony żeglugi u wschodnich wybrzeży Wielkiej Brytanii. Zakładano, że będzie mniejszy niż niszczyciele, ale większy niż zmobilizowane do celów wojskowych trawlerzy. Dzięki temu miał być też w miarę tani i na tyle prosty, że jego budowie poddałyby małe stocznie cywilne. Jednocześnie nowy okręt musiał być przydatny w działaniach na sztormowych wodach wokół Wysp Brytyjskich i do ścigania okrętów podwodnych. Jednostkę sklasyfikowano jako korwetę. W prze-

szłości, w latach 1830–1877, w Królewskiej Marynarce Wojennej zaliczano do tej klasy małe okręty wojenne przeznaczone do ochrony żeglugi.

BOJOWY WIELORYBNIK

Do stworzenia korwety Brytyjczycy wykorzystali projekt statku wielorybniczego „Southern Pride”, zbudowanego przez stocznnię Smiths Dock Company w Middlesbrough, której specjalnością były jednostki rybackie. Ów statek miał wyporność 700 t i rozwijał prędkość do 16 w. Projekt zmodyfikowano, zwiększając wyporność do 940 t. Przy budowie nowych eskortowców postanowiono wykorzystać rozwiązania techniczne i części stosowane do budowy jednostek handlowych, znane pracownikom małych stocznii. Zamiast montowanej na okrętach wojennych turbiny parowej, siłownię skonstruowano na bazie maszyny tłokowej.

Jako że eskortowiec miał zwalczać wrogie okręty podwodne, jego uzbrojenie artyleryjskie ograniczono do dział

TADEUSZ WRÓBEL

PEKIŃCZYKI OCEANU

W latach 1940–1943 większość jednostek eskortujących konwoje stanowiły korwety typu Flower.



Vickers kalibru 102 mm (BL 4 inch Mk IX) zamontowanego na pokładzie dziobowym przed nadbudówkami. Do obrony przed lotnictwem miała służyć armata Vickers kalibru 40 mm umieszczona na platformie na końcu nadbudówki, ale czasami zastępowały ją poczwórne (w budowanych w Kanadzie – dwa podwójne) karabiny maszynowe Vickers kalibru 12,7 mm. Pierwsze jednostki były wyposażone jeszcze w dwa podwójne karabiny maszynowe Lewis kalibru 7,7 mm na stanowiskach na mostku.

Priorytetowo potraktowano uzbrojenie i wyposażenie do zwalczania U-Bootów. Na rufie okrętu zamontowano dwie zrzutnie i dwa miotacze ładunków głębinowych. Do poszukiwań skrywającego się w głębinach wroga służył sonar, znany pod nazwą ASDIC. Okręt otrzymał też wyposażenie do trałowania min morskich. Tak powstała korweta typu Flower (kwiat), choć niektórzy autorzy używają określenia typ Gladiolus (mieczyk), od imienia pierwszej jednostki. Zyskała ona też przydomek „pekińczyk oceanu”.

Pierwsze 26 „kwiatów” Royal Navy zamówiła 25 lipca 1939 roku, a następne 30 w ostatnim dniu sierpnia. W sumie do końca 1939 roku w różnych brytyjskich stoczniach złożono zamówienia na 106 korwet. W styczniu 1940 doszło do zlecenia na następnych dziesięć skierowane do firm kanadyjskich. Przed końcem tegoż roku Royal Navy zamówiła jeszcze 31 okrętów, ale w styczniu 1941 roku zredukowano zlecenie do 25. Kanadyjczycy, którym przekazano okręty zamówione przez Royal Navy w ich stoczniach w styczniu 1940 roku, zlecieli budowę jeszcze 70. Budowane w Kanadzie korwety różniły się nieco od tych powstałych w Wielkiej Brytanii. Należy też pamiętać, że różnych zmian konstrukcyjnych poszczególnych jednostek dokonywano w stoczniach podczas remontów. Stąd trudno stwierdzić, co faktycznie stanowiło standard.

Tuż po wybuchu wojny francuska marynarka wojenna postanowiła nabyć 18 korwet, z czego 12 miało powstać w stoczniach brytyjskich. Smiths Dock Company rozpoczęła budowę czterech, ale jej nie ukończyła przed zawarciem przez Francję rozejmów z Niemcami i Włochami. Sześć korwet miało być zbudowane we Francji, cztery w stoczni w Saint-Nazaire i dwie w Dunkierce. Z dwóch ostatnich Francuzi zrezygnowali. Cztery powstające w Saint-Nazaire wpadły zaś w ręce Niemców, którzy ukończyli ich budowę i wcielili do swej floty wojennej.

Korwety Flower były unowocześniane. Oprócz ASDIC zaczęto montować na nich radionamierniki wysokiej częstotliwości HF/DF, tzw. huff-duff, które pozwalały zidentyfikować na podstawie emisji radiowej, czy jednostka jest własna, czy wroga. Równocześnie na pokładach eskortowców pojawiły się różnego typu radary.

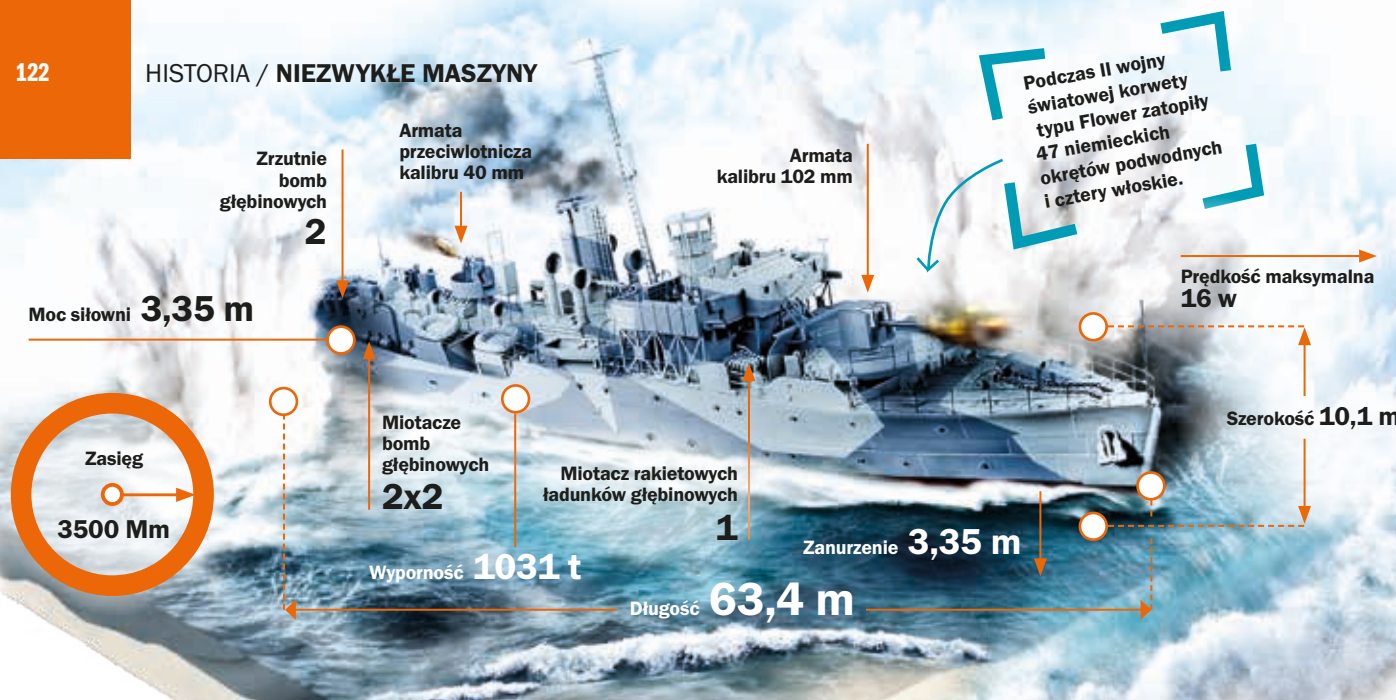
Kolejnym etapem była modyfikacja konstrukcji okrętu, w wyniku której zwiększyła się jego wyporność i długość. Jedną z widocznych zmian dotyczyła masztów. Początkowo korwety miały ich dwa – przed mostkiem i za kominem. Najpierw zrezygnowano z tego ostatniego. W zmodyfikowanej korwecie maszt postawiono za mostkiem, a przed kominem, co poprawiło widoczność z mostka. Ostatecznie zrezygnowano w tej wersji z wyposażenia do trałowania min. Podwojono liczbę miotaczy Mk II oraz zamontowano Hedgehog, miotacz rakietowych ładunków głębinowych. Wzmocniono też uzbrojenie przeciwlotnicze, co było konieczne w przypadku działań na takich akwenach, jak Morze Śródziemne. Formalnie dodano dwa działka Oerlikon kalibru 20 mm, ale na niektórych jednostkach mogło ich być dwa, trzy razy więcej.

Marynarka wojenna Kanady zamówiła 34 zmodyfikowane korwety typu Flower. Kolejnych 15 zostało zbudowanych w kanadyjskich stoczniach Royal Navy, a 12 na Wyspach Brytyjskich w latach 1941–1942. Jednak osiem z zamówionych w Kanadzie egzemplarzy Brytyjczycy



ZAWIĘTE „PEKIŃCZYKI” nie dopuściły do setek ataków wroga. Dzięki temu tysiące statków z milionami ton zaopatrzenia i ludzi bezpiecznie pokonały ocean.





FLOWER (ZMODYFIKOWANY)

przekazali w ramach programu lend-lease flocie Stanów Zjednoczonych. Amerykanie kupili bezpośrednio od Kanadyjczyków jeszcze siedem zmodernizowanych „kwiatów”.

Część brytyjskich korwet przekazano sojusznikom marynarkom wojennym – norweskiej, greckiej, holenderskiej, indyjskiej, nowozelandzkiej oraz siłom Wolnych Belgów i Wolnych Francuzów.

POLOWANIE NA U-BOOTY

Jeszcze przed wybuchem wojny Brytyjczycy najbardziej obawiali się zagrożenia ze strony niemieckiej floty podwodnej dla żeglugi handlowej na wodach przybrzeżnych oraz w rejonach głównych portów. Upadek Francji zmienił sytuację strategiczną. Niemieckie siły podwodne zyskały dogodne bazy na francuskim wybrzeżu Atlantyku. Dzięki temu zwiększył się zasięg działania U-Bootów, które były też o wiele nowocześniejsze niż ich przodkowie z czasów wielkiej wojny.

Brytyjczycy musieli zapewnić eskortę konwojom statków płynącym przez Atlantyk na całej trasie. Korwety, które w założeniach miały trzymać się blisko własnych wybrzeży, wysłano na głębokie wody. Z ich pokładów usunięto niepotrzebne podczas działań oceanicznych wyposażenie do trawienia min. To nieco poprawiło ich zasięg. Załogi korwet składały się z rezerwistów. Dowództwo okrętów powierzano często byłym kapitanom jednostek handlowych. Warunki służby nie były komfortowe, ponieważ liczba osób na pokładach była większa niż zakładali projektanci. Panował ścisk, brakowało miejsc do spania. Na Atlantyku marynarzom doskwierały zimno i wilgoć,

bo podczas sztormowej pogody fale zalewały pokłady, a część wody wpadała do wnętrza przez otwarte włazy. W takich warunkach okrętem mocno chybało i niektórzy marynarze mieli problemy z aklimatyzacją, cierpieli na chorobę morską. Podczas dłuższych rejsów szybko kończyła się świeża żywność i trzeba było się zadowolić tylko konserwami. Próba poprawy warunków były modernizacje nadbudówek.

Rejsy w eskorcie konwojów były monotonne. Do zadań załóg korwet należało szukanie znajdujących się w pobliżu U-Bootów. Alianccy marynarze, gdy wykryli wroga jednostkę na powierzchni, ruszali w jej kierunku i starali się zmusić ją do zanurzenia, wtedy bowiem malały prędkość i manewrowość U-Boota, po czym miejsce jego zanurzenia zaczynali obrzucać ładunkami głębinowymi.

Podczas II wojny światowej korwety typu Flower zatopili 47 niemieckich okrętów podwodnych i cztery włoskie. Równocześnie stracono 31 tych eskortowców – 22 z nich zatopili torpedy wystrzelone przez okręty podwodne. Pozostałe zostały zniszczone przez miny lub samoloty. Jednak zawzięte „pekińczyki” nie dopuściły do wielu ataków wroga. Dzięki temu tysiące statków z milionami ton zaopatrzenia i ludzi bezpiecznie pokonały ocean. „Kwiaty” miały ogromny wpływ na zwycięstwo aliantów w bitwie o Atlantyk, gdyż stanowiły około połowy ich jednostek eskortujących konwoje. Dzięki korwetom Flower Brytyjczycy mogli skierować do innych zadań okręty o większym potencjale bojowym, takie jak niszczyciele, których na początku wojny brakowało.

KRZYSZTOF
KUBIAK

Bojowi pływacy



Gdy mówimy o dywersji podwodnej, mamy zazwyczaj na myśli akcje elitarnych formacji szturmowych zaliczanych do sił specjalnych, złożonych z perfekcyjnie wyszkolonych i wyposażonych komandosów, których w działaniu wspierają rozbudowane struktury wsparcia i zabezpieczenia bojowego, a także agendy wywiadowcze. Jest to prawdziwy obraz, który przesłania nieco fakt, że do zadania przeciwnikowi bolesnych strat są zdolni również ludzie pozbawieni owego szafarzu techniczno-organizacyjnego, ale odpowiednio zdeterminowani. Wszakże bez żadnego wsparcia działał w czasie II wojny światowej w Grecji Jerzy Iwanow-Szajnowicz. Ten wywodzący się z polsko-rosyjskiej rodziny, wychowywany w Salonikach utalentowany sportsmen, grający m.in. w piłkę wodną w barwach warszawskiego AZS-u i greckiego klubu Iraklis, w 1940 roku trafił w Palestynie w szeregi brytyjskiego wywiadu. Po przerzucie do Grecji, wykorzystując niepospolite umiejętności pływackie, zakładał miny na zaczepach magnetycznych pod kadłubami jednostek pływających do Pharos, Aten i Pireusu. Trzykrotnie był zatrzymywany przez Włochów i Niemców, dwukrotnie zdołał jednak zbiec. Ostatecznie, zdradzony przez szkolnego kolegę, został skazany na karę śmierci i stracony 4 stycznia 1943 roku. Nawet biorąc pod uwagę fakt, że jego osiągnięcia nie zostały rzetelnie zweryfikowane, można przyjąć, że działania te wzbudziły chaos, spowodowały zamieszanie oraz wielką niepewność wśród okupujących Helladę Niemców.

Bengalscy partyzanci Mukti Bachin o Iwanowie-Szajnowiczu zapewne nie słyszeli, ale i oni skutecznie posługiwali się pływakami bojowymi, wykorzystując przy tym ich możliwości na nieporównywalnie większą skalę. Założkiem morsko-rzecznych formacji szturmowych stało się ośmiu Bengalczyków, którzy zbiegli z okrętu podwodnego przejmowanego przez pakistańską flotę we francuskim Tulonie. Kiedy przedostali się do Indii, kierownictwo ruchu niepodległościowego, ściśle współpracując z wywiadem indyjskiej marynarki, skierowało ich na szkolenie kandydatów na dywersantów rekrutowanych wśród uchodźców z Pakistanu Wschodniego. W ciągu kilku tygodni forsownemu treningowi, głównie pływackiemu i pirotechnicznemu, poddano około 500 osób. Bengalczyki uderzyli w nocy z 15 na 16 sierpnia 1971 roku. Po przeniknięciu na teren kontrolowany przez wojska pakistańskie, zeszło ostatecznie do wody, w bezpośredniej bliskości portu morskiego Cottogram oraz portów rzecznych Čandpur i Mongla, 83 pływaków.

Masowe niemal posłużenie się dywersantami wynikało z faktu, że i kierownictwo ruchu bengalskiego, i Indusi zdawali sobie sprawę, że pośpiesznie przeszkolonych bojowników nie można porównywać z żołnierzami regularnych morskich sił specjalnych. Znaczna liczba atakujących gwarantowała więc osiągnięcie celów. W wyniku bengalskiej akcji specjalnej zatonięły co najmniej cztery większe statki i kilka kabotażowców oraz barek, a dalsze kilkanaście jednostek zostało uszkodzonych. Armia pakistańska straciła około 20 tys. t rozmaitych ładunków, w tym amunicję i inne zaopatrzenie, ale – co ważniejsze – arterie rzeczne oraz przybrzeżne szlaki morskie przestały być bezpiecznymi liniami komunikacyjnymi wschodniobengalskiego zgrupowania. Prymitywnie wyekwipowani pływacy osiągnęli ogromny sukces. Po raz kolejny potwierdziło się, że to jednak nie sam ekwipunek czyni wojownika. ■



Prof. dr hab. KRZYSZTOF KUBIAK pracuje w Katedrze Krajów Europy Północnej na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach.

HORYZONTY

/ LUDZIE



PIOTR KAMINSKI/15 BZ



ANNA DĄBROWSKA

CHARYZMA UŁANA

**Był ostatnim kawalerzystą
kampanii wrześniowej i ostatnim
z kleeberczyków.**

K

wintesencja przedwojennego oficera – dżentelmen, osoba o wyjątkowej kulturze osobistej, niezwyklej charyzmie i kawalerskim duchu”, tak Michał Różyński, prezes Stowarzyszenia „Odwach” z Poznania odtworzonego żołnierzy 10 Pułku Dragonów, opisuje zmarłego w Londynie płk. Zbigniewa Makowieckiego, ostatniego kawalerzystę wojny obronnej 1939 roku.

OSTATNIA BITWA

Urodził się 11 kwietnia 1917 roku w Petersburgu, a trzy lata później rodzina przeniosła się do Warszawy. Po maturze Makowiecki trafił do Szkoły Podchorążych Rezerwy Kawalerii w Grudziądzu, a później dostał przydział do stołecznego 1 Pułku Szwoleżerów. Jednocześnie studiował w Szkole Głównej Handlowej. „Przed wybuchem II wojny światowej ppor. Makowiecki został przeniesiony do 3 Pułku Strzelców Konnych i w jego szeregach przeszedł cały szlak podczas kampanii 1939 roku”, opowiada płk Michał Rohde, szef Połączonego Centrum Operacyjnego Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych, a prywatnie prawnuk gen. dyw. Franciszka Kleeberga.

Pułk walczył w składzie Suwalskiej Brygady Kawalerii, a następnie zgrupowania kawalerii Zaza pod dowództwem gen. bryg. Zygmunta Podhorskiego. Pod koniec września weszło ono w skład Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie” Kleeberga i wzięło udział w bitwie pod Kockiem. Po czterodniowych walkach, 6 października generał, z powodu braków w zaopatrzeniu i amunicji, podjął decyzję o kapitulacji. Gen. Podhorski natomiast wydał rozkaz, aby podległe mu pułki kawalerii nie składały broni, lecz przebiegały się na południe do granicy węgierskiej. Okazało się jednak, że droga jest zamknięta przez jednostki niemieckie i rozkaz

anulowano. Ale do 3 PSK, który już wyruszył, informacja ta nie dotarła.

W miejscowości Kalinowy Dół strzelcy wpadli w zasadzkę, dostali się pod ostrzał niemieckich karabinów maszynowych. „Płk Makowiecki opowiadał, że byli tak stłoczeni między opłotkami wsi, że nie mogli zawrócić koni. Wtedy one ich uratowały, zaczęły stawać dęba, obracać się na zadnich nogach i wyciągnęły kawalerzystów z zasadzki”, dodaje płk Rohde. Niedobitki pułku przebiły się do lasu i nawiązały kontakt z gen. Podhorskim, który nakazał im kapitulację.

„W Kalinowym Dole 3 PSK stoczył ostatni bój kampanii wrześniowej”, podkreśla Karol Ponikowski, dyrektor Muzeum Czynu Bojowego Kleeberczyków w Woli Gułowskiej. Jak dodaje, płk Makowiecki o swoich walkach opowiadał zawsze ciekawie i ze swadą. „Miał niesamowitą pamięć do faktów, miejsc, ludzi i zdarzeń, można było godzinami słuchać jego wspomnień”, mówi Ponikowski.

DRAGONI NAPRZÓD

Po kapitulacji oficer trafił do niemieckiej niewoli i wojnę spędził w różnych oflagach, m.in. Colditz, Prenzlau, Gross Born (Bornym Sulinowie) i Lübeck (Lubece), gdzie 2 maja 1945 roku został wyzwolony przez Amerykanów. Ledwo odzyskał wolność, wstąpił w szeregi 10 Pułku Dragonów 1 Dywizji Pancernej gen. broni Stanisława Maczka. Przez kolejne dwa lata jego pułk pozostał w Niemczech jako wojska okupacyjne.

W 1947 roku po demobilizacji major postanowił wyjechać do Wielkiej Brytanii. Skończył studia w Londynie i pracował jako statystyk ekonomista. „Za wojenne zasługi został odznaczony m.in. Krzyżem Walecznych” dodaje płk Rohde. Jednocześnie aktywnie działał w środowisku polonijnym, m.in. był wieloletnim redaktorem pisma byłych żołnierzy 10 Pułku Dragonów „Dragoni Naprzód!” oraz „Przeglądu Kawalerii i Bro-

Płk Zbigniew Makowiecki pochodził z pokoleń, które hasło »Bóg, Honor i Ojczyzna« nosiło nie tylko na pułkowych sztandarach, ale też w sercu.



WETERAN PODKREŚLAŁ, ŻE HOŁDY, KTÓRE TERAZ ZBIERA, TO PRZYWILEJ JEGO WIEKU ZWIĄZANY Z TYM, ŻE JEST OSTATNIM ŻYJĄCYM KAWALERZYSTĄ 3 PSK

ni Pancernej”, prezesem Zarządu Zrzeszenia Kół Pułkowych Kawalerii i Artylerii Konnej w Londynie oraz prezesem Koła Pułkowego 10 Pułku Dragonów.

Włączył się w przekazywanie tradycji polskiej kawalerii jednostkom wojska oraz oddziałom kawalerii ochotniczej. „Dla naszego stowarzyszenia był niezastąpionym mentorem, skarbnicą wiedzy, strażnikiem tradycji oraz dragońskiego ducha, wielokrotnie nam doradzał, pomagał i to z jego rąk otrzymaliśmy w 2008 roku patent przyznający prawa do dziedziczenia barwy i tradycji 10 Pułku”, opowiada Różyński.

Weteran chętnie i często uczestniczył w zjazdach kawalerzystów w Grudziądzu, obchodach rocznicowych bitwy pod Kockiem, świętach 10 Batalionu Zmechanizowanego 10 Brygady Kawalerii Pancernej w Świętoszowie, który

dziedziczy tradycje 10 Pułku Dragonów oraz batalionu dowodzenia 15 Giżyckiej Brygady Zmechanizowanej, kultuwującego tradycje 3 PSK.

„Płk Makowiecki pochodził z pokolenia, które hasło »Bóg, Honor i Ojczyzna« nosiło nie tylko na pułkowych sztandarach, ale też w sercu. Był wzorem do naśladowania dla młodych żołnierzy i najlepszym symbolem tego, do czego żołnierz powinien dążyć”, mówi gen. bryg. Jarosław Gromadziński, dowódca 15 Brygady Zmechanizowanej.

W 2016 roku w Woli Gułowskiej, podczas obchodów 77. rocznicy bitwy pod Kockiem, batalion dowodzenia 15 Brygady otrzymał z rąk pułkownika replikę historycznego sztandaru 3 PSK, ufundowaną przez mieszkańców gminy Adamów. „Poznałem pana pułkownika w 2004 roku podczas obchodów 65. rocznicy bitwy pod Kockiem.



OSTATNI KAWALERZYSTA WRÓCIŁ DO POLSKI

Płk Zbigniew Makowiecki zmarł 24 października 2017 roku. Jego prochy sprowadzono do Polski. Mszę żałobną w Katedrze Polowej Wojska Polskiego odprawił 25 listopada ks. Józef Guzdek, biskup polowy Wojska Polskiego. Potem urna z prochami pułkownika spoczęła na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach. Dwa dni później, zgodnie z ostatnią wolą weterana, część jego prochów pochowano na cmentarzu parafialnym w Grudziądzu, w mieście-kolebce polskich kawalerzystów. ■



PŁK ZBIGNIEW MAKOWIECKI PRZED II WOJNĄ ŚWIATOWĄ ROZPOCZĄŁ SŁUŻBĘ W 3 PUŁKU STRZELCÓW KONNYCH I W JEGO SZEREGACH BRAŁ UDZIAŁ W KAMPANII 1939 ROKU

Ogromne wrażenie zrobił na mnie ten przystojny starszy pan, wysoki, wyprostowany, pełen życia i energii”, wspomina płk Rohde. „Mimo podeszłego wieku cały czas czuć było w nim duszę kawalerzysty, miał ogromny hart ducha, ułańską fantazję, umiał śpiewać i bawić się do późnej nocy, a w 2009 roku, chociaż miał 92 lata, jeździł jeszcze konno”, dodaje Ponikowski. Jak wspomina, godzinami można było słuchać opowieści weterana, kiedy piękną polszczyzną i z pasją mówił o swoim życiu, kawalerskich zwyczajach czy przedwojennych balach. „Do końca był aktywny, jak sam mówił – ciągle w galopie”, uzupełnia Ponikowski.

Płk Makowiecki był też wielkim patriotą o bogatej biografii, a przy tym bardzo skromną osobą. Wielokrotnie podkreślał, że hołdy, które teraz zbiera, to przywilej jego wieku związany z tym, że jest ostatnim żyjącym kawalerzystą 3 PSK. Mawiał, że honory przyjmuje w imieniu swoich kolegów, którzy wspaniale służyli Polsce, ale nie mieli szczęścia dożyć tych wszystkich ceremonii.

„Tak samo zawsze zaznaczał, że do 10 Pułku Dragonów trafił już po wojnie i nie chce zabierać splendoru i zasług oficerom służącym podczas walk”, podaje Różyński.

We wspomnieniach osób, które go poznały, pułkownik pozostał także osobą o niespotykanej serdeczności i dobroci, życzliwą, otwartą i przyjacielską. Jak opowiada Różyński, w pewnym momencie weteran wspominał, że w Kole Pułkowym Dragonów jego były dowódca Władysław Zgorzelski zaproponował, aby nie zważając na stopnie, wszyscy mówili sobie po imieniu. „I nawiązując do tej tradycji, poprosił nas, abyśmy uczynili mu ten zaszczyt i mówili mu po imieniu”, relacjonuje Różyński.

W tym roku ppłk Makowiecki obchodził swoje setne urodziny i został awansowany przez ministra obrony na stopień pułkownika. Jesienią do Londynu poleciała delegacja m.in. z 15 Brygady Zmechanizowanej i „Odwa- chu”, aby wręczyć weteranowi nominację. „Był już wtedy mocno schorowany, ale mimo to uśmiech nie schodził mu z twarzy”, mówi Różyński. ■

KWARTALNIK
BELLONA

PISMO NAUKOWE
100 LAT POLSKIEJ MYŚLI WOJSKOWEJ

1918-2018



ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 840 400

WOJSKO
POLSKIE

*Nasza interpretacja –
Wasze źródła*

P Ł K W Ł A D Y S Ł A W R O K I C K I

#RycerzeBialoCzerwonej

Służba żołnierska to dla niego najwyższy wymiar patriotyzmu.
Prezentując taką postawę i godząc się na ryzyko utraty życia dla niepodległej Polski,
pułkownik zasłużył na miano rycerza biało-czerwonej.

My też możemy do nich dołączyć!

NA ODPOCZYNEK PRZYJDZIE CZAS

Z płk. Władysławem Rokickim

**o żołnierskiej służbie w imię wolności
rozmawia Piotr Raszewski.**

Jest Pan niemal rówieśnikiem niepodległej Polski. Można o Panu powiedzieć „żołnierz Niepodległej”? Jak wyglądały Pańskie pierwsze chwile wolności?

Urodziłem się 3 grudnia 1917 roku w Krężnicy Okrągłej, w podlubelskiej gminie Bełżyce. Na pierwsze lata niepodległości patrzyłem z perspektywy wsi. Nie był to łatwy czas, zwłaszcza dla takich rodzin, jak moja. Gdy miałem dwa lata, zmarł mój ojciec. Matka została sama z trzema synami. Mój najstarszy brat, urodzony w 1905 roku, skończył szkołę stolarską i bardzo jej pomagał w prowadzeniu gospodarstwa. Dzięki temu mogła poświęcić czas na wychowywanie mnie i dwa lata starszego brata. Choć byliśmy młodszy, to również staraliśmy się pomagać. Nie było łatwo.

W jaki sposób ludzie celebrowali niepodległość?

Pamiętam naszego sołtysa, który chodził po wsi i często rozmawiał z nami o odzyskaniu niepodległości. Gromadził różne materiały na ten temat i chętnie je pokazywał. Przychodził też do nas, opowiadał i wyjaśniał wszelkie zawiłości ówczesnych czasów. Słuchało się go z ogromnym zaciekawieniem, a pamiętam, że wszystko, o czym mówił, było dla nas, młodych chłopców, niezwykle przejmujące.

WIZYTÓWKA

**PŁK WŁADYSŁAW
ROKICKI**

Urodzony 3 grudnia 1917 roku. Żołnierz września, później członek Związku Walki Zbrojnej – Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich. Zawodowym żołnierzem był do 1946 roku. Ukończył studia ekonomiczne na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Później prowadził w Lublinie działalność społecznikowską i kombatancką. ■

A skąd wzięło się u Pana zamiłowanie do munduru?

Kierownikiem mojej szkoły we Wzgórzu był major Wojska Polskiego i legionista Piotr Wiszniewski, który przez cały czas mocno wpajał nam miłość do ojczyzny. W szkolnych czasach popołudniami chodziliśmy również na spotkania Związku Strzeleckiego. Przyjeżdżał do nas sierżant Wojska Polskiego, dużo opowiadał o patriotyzmie i wojsku. Prowadził też ćwiczenia i uczył strzelania.

Później chodził Pan do szkoły ogrodniczo-szkółkarskiej w Lublinie, a w 1937 roku zgłosił się na ochotnika do wojska.

Trafiłem do kompanii łączności 3 Dywizji Piechoty Legionów w Zamościu. Wtedy w wojsku widać było ogromny postęp, także technologiczny – dokonujący się zdecydowanie szybciej niż na wsi. Wszystko szło do przodu, wyposażenie było coraz lepsze, kadra trzymała dyscyplinę.

Oficerowie byli bardzo wykształconymi ludźmi, my poborowi wiele się od nich nauczyliśmy. Jednak po 20 miesiącach, w sierpniu 1938 roku, powróciłem z Zamościa w rodzinne strony.

I po roku znów przywdział Pan mundur, bo w wyniku mobilizacji alarmowej został Pan powołany do kompanii łączności 27 Dywizji Piechoty.

Rzeczywiście, w połowie sierpnia 1939 roku trafiłem do Kowla, ale nie od razu włożyłem mundur. Na początku chodziliśmy po cywilnemu. ➔

Dopiero po kilku dniach dali nam wojskowe ubiory. Początkowo służyłem w magazynie, gdzie wydawałem umundurowanie, bo 27 Dywizja Piechoty przygotowywała się do wyjazdu na północ kraju – miała tam zostać włączona do Armii „Pomorze”. Gdy kilka dni później została przerzucona w okolice Bydgoszczy, wraz z kolegami, którzy zgłosili się do jednostki po mobilizacji, pozostaliśmy na miejscu i dostaliśmy przydział do zapasowej dywizji w Kowlu.

Kiedy wybuchła wojna, miał Pan 22 lata. Wspominał Pan kiedyś, że 1 września obudzili was nad ranem krótki komunikat do wódcy: Niemcy napadli na Polskę.

Pamiętam to doskonale. Wraz z kolegami natchmiast chcieliśmy dołączyć do naszej jednostki na froncie. Dlatego wciąż uważam, że służba żołnierska to najwyższy wymiar patriotyzmu. Żołnierz jest narażony na wszelkie przeciwności, ale chętnie idzie bronić swojej ojczyzny. To był pierwszy dzień napaści na Polskę, a ja już nie mogłem się doczekać, by walczyć za ojczyznę. Tego dnia około południa nadleciały jednak trzy samoloty i zrzuciły bomby na węzeł kolejowy w Kowlu. Pojawiły się pierwsze ofiary. Szybko zaczęliśmy organizować wyjazd z miasta i wieczorem całą zapasową dywizją byliśmy już w pociągu. Pod osłoną nocy nasz skład pomaleńku, ze stacji do stacji, dotoczył się 3 września do Lublina. Miałem tam rodzinę, więc poprosiłem pułkownika, bym mógł na przepustce ją odwiedzić. Gdy szedłem w kierunku miasta, minąłem całkowicie zniszczoną dzień wcześniej fabrykę Lubelskiej Wytwórni Samolotów. Dotarłem do centrum, na Krakowskie Przedmieście, gdzie wiatr roznosił ponadpalane banknoty, bo jedna z bomb trafiła w bank. Z kolei w Ogrodzie Saskim ludzie kopali przeciwnolotnicze rowy. Gdy wieczorem wróciłem do swojej jednostki, okazało się, że nie jedziemy dalej, do Armii „Pomorze”, tylko przemieszczamy się do koszar 8 Pułku Piechoty Legionów w Lublinie i tam na razie zostajemy.

9 września przeżył Pan największe bombardowanie Lublina.

Byłem w koszarach. Centrum miasta zostało doszczętnie zniszczone. Bomby trafiły również w nasze budynki. Tego dnia zginęło ponad stu wojskowych, a wielu zostało rannych. Wraz

To był pierwszy dzień napaści na Polskę, a ja już nie mogłem się doczekać, by walczyć za ojczyznę

z grupą żołnierzy znosiliśmy ciała w okolice dzisiejszej al. Kraśnickiej. Tu na gruntach ornych powstał cmentarz polowy. Żołnierze byli chowani w grobach zbiorowych, bez trumien.

Tuż po bombardowaniu Armia „Lublin” opuściła miasto?

Gdy Niemcy przekroczyli Wisłę, ruszyliśmy pod Kraśnik. Tam zetknęliśmy się z wojskami płk. Roweckiego, toczącymi bój z Niemcami, i włączyliśmy się do walki, która przeniosła się w okolice Biłgoraja, a później Turubina i Żółkiewki. Tam 17 września zostałem ranny. Na jednej z dróg moją jednostkę – mówię tak, bo to już wszystko było mocno pomieszane – zaatakował niemiecki patrol. Wywiązała się strzelanina, a ja zostałem trafiony odłamkiem w głowę. Straciłem przytomność, ale koledzy wyciągnęli mnie z pola walki.

Nie przeszkodziło to Panu we wzięciu niebawem udziału w kolejnej akcji...

19 września o godzinie 1.00 w nocy dowództwo mojej jednostki zdecydowało, by zaatakować zajęte przez Niemców koszary w Zamościu. Zgłosiłem się na ochotnika. Doskonale znałem ten teren, bo przed wojną odbywałem tu służbę zasadniczą. Doszliśmy do koszarowej bramy i tam raptem Niemcy zaczęli strzelać. Znowu zostałem ranny – tym razem w rękę. Pułkownik wydał rozkaz wycofania się, a chwilę później śmiertelnie go trafili... Mnie pomieszały się kierunki. Zamiast wrócić do swoich, trafiłem aż do Hrubieszowa, gdzie tworzyła się nowa jednostka – z „odwrotów” i rozbitków.

Wkrótce dostał się Pan jednak do niewoli. Jak trafił Pan w radzieckie okowy?

Nad ranem 24 września w Hrubieszowie obudziła nas informacja: atakują Ruscy. Nasz dowódca zwolnił rannych i starszych, a ze swoim wojskiem wyruszył na pomoc Warszawie. Wraz z kolegami postanowiliśmy wrócić w okolice Lublina. Szliśmy polami, oglądając, jak armia radziecka swoimi olbrzymimi samochodami i czołgami przesuwają się w głąb Polski. Namierzali nas pod Chełmem. Kazali się nam rozbroić i w niewoli iść razem z nimi do Chełma, a następnie do Lublina. Gdy dotarliśmy w okolice Świdnika, razem z kuzynem, którego tam spotkałem, udało nam się uciec. Na początku października wróciłem do domu. W tym czasie w niedalekich Szczuczku Niemcy dokonali okrutnego mord. Spędzili wszystkich tutejszych i powracających po kampanii wrześniowej mężczyzn do miejscowej szkoły i ich rozstrzelali, a następnie podpalili. Według szacunków, zginęło tam ponad sto osób.

To było zdarzenie, które zadecydowało, że wstąpił Pan do konspiracji?

O konspiracji mówiło się już pod koniec mojego pobytu w wojsku. Miałem kolegę, który słuchał audycji radiowych i informował mnie o bieżącej sytuacji, oraz znajomego nauczyciela legionistę, z którym spotykaliśmy się co jakiś czas i rozmawialiśmy o tym, co się dzieje w kraju. W pewnym momencie powiedział, że współpracuje ze Związkiem Walki Zbrojnej i chciałby, żebym do nich dołączył. Od początku 1942 roku byłem więc w ZWZ-AK. Pod koniec lutego 1942 roku uczestniczyłem w spotkaniu konspiracyjnym w Osinach. Po nim zostałem aresztowany przez żandarmerię niemiecką. Spędzili wszystkich do szkoły, bili kolbami. Niemiecki oficer wytypował nas – w sumie 14 osób – i kazał stanąć z boku, pozostałych wypuścił. Dał rozkaz swoim żołnierzom, by przynieśli kanister z benzyną i granat. Dopiero jedna z nauczycielek wyprosiła, by nas oszczędzono. Dzięki niej oficer zmienił zdanie. Kazał nas powiązać po trzech i wysłał do Opoli Lubelskiego, bo tam było więzienie. Spędziłem w nim około 20 dni.

Zaczął Pan działać w Batalionach Chłopskich...

Po pobycie w gestapowskim więzieniu byłem na rehabilitacji w Nałęczowie. 3 maja 1942 roku zostałem zwerbowany do Batalionów Chłopskich w placówce Wzgórze-Krężnica Okrągła w gminie Bełżyce. Utrudnialiśmy miejscowym Niemcom działanie. Pod Nałęczowem atakowaliśmy ich oddziały, zabierając broń, amunicję oraz żywność, bo to było wtedy najważniejsze. Cały czas utrzymywałem też kontakt z kolegami z Armii Krajowej.

Jeszcze przed końcem wojny trafił Pan do 2 Frontowej Oficerskiej Szkoły Piechoty.

W 1944 roku byłem trzy razy aresztowany przez UB i wtedy postanowiłem wstąpić do wojska na ochotnika. Zgłosiłem się do WKU w Lublinie, mówiąc sierżantowi: „Panie sierżancie, mam gnić w więzieniu? Lepiej pójść na front, bo tam albo się zginie, albo przeżyje”. Poprosił mnie do pokoju i mówi: „Tu ściany mają uszy, niech pan tak nie mówi”. Skierował mnie na Majdanek, gdzie był dziewiąty punkt zborny akowców, który szli na pomoc Warszawie. Wybrali mnie oraz kilkudziesięciu rezerwistów i przyprowadzili znów do koszar 8 Pułku Piechoty Legionów.

Tak trafił Pan do ludowego Wojska Polskiego, ale nie zamierzał w nim pozostać...

Do sierpnia szkoliliśmy się w Lublinie. Później szkołę przeniesiono do dzisiejszych Gryfic. Korzystając z okazji, poprosiłem o przeniesienie do Wojsk Ochrony Pogranicza. Tu moim dowódcą był płk Emil Czapliński, którego znałem, bo był przedwojennym dowódcą lubelskiego garnizonu. Poszedłem do niego i powiedziałem, że zapisałem się na studia i chciałbym się zwolnić z wojska. Nakazał mi znaleźć podstawę prawną. Przejrzałem „Monitory” i „Dzienniki Ustaw” i pod koniec 1945 roku przyniosłem mu całą wykładnię. W ciągu dwóch tygodni pożegnałem się z zawodową służbą. Niewielu się to udało.

Zaczął pan działalność społecznikowską i kombatancką, inicjując m.in. utworzenie wielu miejsc pamięci.

Od lat pięćdziesiątych zaangażowałem się w działalność na lubelskim Konstantynowie, gdzie tworzyła się nowa dzielnica miasta. Obok był klasztor kapucynów. W porozumieniu z zakonnikami dociągnęliśmy do działek budowlanych wodę i prąd, a później kanalizację. Duchowni pomagali nam bardzo, choć zastrzegali, żeby nie ujawniać, że z nami współpracują, bo to mogło nam zaszkodzić. W 1987 roku doprowadziłem z kolei do budowy i odsłonięcia Pomnika Obrońców Lublina. Dzięki mojej inicjatywie powstały pomniki poświęcone bohaterom bitwy o Monte Cassino oraz powstańcom styczniowym. W tym czasie byłem członkiem Wojewódzkiego Komitetu Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa przy wojewodzie lubelskim.

A teraz cały czas pozostaje pan prezesem Zarządu Głównego Stowarzyszenia Żołnierzy Batalionów Chłopskich w Lublinie.

Na spotkaniu z okazji rocznicy moich setnych urodzin, na które przyjechali szefowie kół z całej Polski, powiedziałem: „to najlepsza okazja, by wybrać nowego prezesa”. Po tych słowach na sali nagle zapadła głucha cisza. Zdaje się zatem, że na odpoczynek przyjdzie jeszcze czas... ■

DAJĄ NAM SIŁĘ

Kombatanci spotkali się na tradycyjnym oplatku.



ANNA DABROWSKA

W spotkaniu zorganizowanym przez Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych wzięło udział blisko 200 działaczy związków i stowarzyszeń kombatanckich z całej Polski, przybyli weterani walk o niepodległość, ofiary represji komunistycznych, żołnierze II konspiracji i byli więźniowie polityczni. „Życzę wam, szanowni kombatanci, abyście byli z nami jak naj-

dłużej, dzielili się waszymi wartościami i waszym sercem”, mówił przy tej okazji Jan Józef Kasprzyk, szef UdSKIOR, w sali Katedry Polowej Wojska Polskiego w Warszawie. Podkreślił, że tak jak dzisiejsi kombatanci czerpali siłę ze swoich poprzedników: powstańców i legionistów, tak my współcześnie czerpiemy ją z nich. Z kolei Marek Kuchciński, marszałek Sejmu, w liście do kombatantów życzył im zdrowia, sił i optymizmu oraz podkreślił, że to ich poświęceniu zawdzięczamy wolność i suwerenność naszej ojczyzny. „Cieszę się, że spędzam ten świąteczny czas z wami i życzę, abyśmy w przyszłym roku spotkali się w tym samym gronie”, mówił Bartłomiej Grabski, wiceminister obrony. Uczestnicy spotkania przełamali się oplatkiem, a także wysłuchali koncertu kolęd w wykonaniu artystów Reprezentacyjnego Zespołu Artystycznego Wojska Polskiego. PZ, AD ■



44 dni dla poległych

Weterani chcą uczcić polskich żołnierzy, którzy polegli w Afganistanie.

Trasę z Los Angeles do Nowego Jorku zamierzają pokonać na rowerach plut. Michał Paćko, st. kpr. Sebastian Stępnia i por. Mariusz Bęben. Odległość ponad 5600 km z zachodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych na wschodnie chcą przejechać w 44 dni, a każdy dzień jazdy poświęcić pamięci jednego polskiego żołnierza, który zginął w Afganistanie podczas trwającej 13 lat misji ISAF. Rajd ma ruszyć w czerwcu. Po drodze weterani będą odwiedzać groby amerykańskich wojskowych. Na pomysł wyprawy wpadł plut. Paćko, który został ranny podczas misji, a dziś służy w Dowództwie Generalnym Rodzajów Sił Zbrojnych na stanowisku przeznaczonym dla osób z kategorią zdolny z ograniczeniami. Dzięki tej akcji weterani chcą też pokazać, że aktywność fizyczna pozytywnie wpływa na proces rehabilitacji po misji. MS ■

Zabytek spod wody

Lufa odnaleziona na wyspie Wolin waży około 1,5 t, ma 2 m długości i należy do 12-funtowego działka. Najbardziej prawdopodobne jest to, że to część armaty odprzodowej pochodzącej sprzed 1850 roku. Lufa, znaleziona przypadkowo przez nurka, to pierwszy tak duży obiekt wyciągnięty z dna fosy, na dodatek zachowany w ide-

alnym stanie. Pracownicy Fortu Gerharda, który należy do najlepiej zachowanych XIX-wiecznych pruskich fortów nadbrzeżnych w Europie, liczą, że zabytek tam pozostanie i stanie się częścią prezentowanej kolekcji. AD ■

XVIII-WIECZNA LUF
ARMATNIA WYDOBY-
TA Z DNA FOSY FORTU
GERHARDA



Życzenia na antypody

Już po raz trzeci dzieci z warszawskich szkół podstawowych przygotowywały kartki świąteczne dla polskich weteranów mieszkających poza granicami kraju. Akcję zorganizowano pod patronatem pary prezydenckiej. Podczas spotkania w Belwedrze dzieci losowały nazwisko osoby, do której napiszą, potem przygotowywały dla niej kartkę z życzeniami. Dwa lata temu pocztówki trafiły do Wielkiej Brytanii, rok temu do Kanady, w tym roku polecą do Australii. Wśród odbiorców są m.in. żołnierze Szarych Szeregów, Armii Krajowej i Polskich Sił Zbrojnych na

Zachodzie. „Ta akcja to lekcja patriotyzmu i sposób na budowanie wspólnoty między Polakami w kraju i za granicą”, mówił prezydencki minister Adam Kwiatkowski. AD ■



MIKOŁAJKI

OD WOJSKA

Kadeci zagrali dla pacjentów Centrum Zdrowia Dziecka.

Spektakl „Ratujmy święta” zaprezentowali w Międzyzlesiu małym pacjentom, ich rodzicom i opiekunom kadeci ze Szkoły Podoficerskiej Wojsk Lądowych oraz artyści Teatru Muzycznego z Poznania. Przedstawienie opowiadało o Mikołaju, który rozchorował się na grype i muzycy razem z dziećmi musieli mu pomóc przygotować święta. Maluchy otrzymały też pre-

zenty: gry, malowanki, komiksy, zabawki oraz słodczyce. niespodzianki ufundowali żołnierze wojsk obrony terytorialnej, resort obrony oraz Wojskowe Centrum Edukacji Obywatelskiej. **Mikołajkowe koncerty kadetów odbywają się od 2009 roku.** Przedstawienie przygotowują ci muzycy, którzy w danym roku szkolą się na kursie w Poznaniu. PG ■

Listopadowe groby

Prace konserwatorskie na powstańczej kwaterze we Lwowie.

Dzięki funduszom z programu ministra kultury „Miejsca pamięci narodowej za granicą” Fundacja Dziedzictwa Kulturowego rozpoczęła prace na Cmentarzu Łyczakowskim w kwaterze powstańców listopadowych, zwa-

nej kwaterą Żelaznej Kompanii. Została ona założona w 1880 roku, w przededniu 50. rocznicy wybuchu powstania. Pochowano tam 47 uczestników zrywu. Jak podaje ministerstwo kultury, po II wojnie światowej pozostali we Lwowie Polacy pamiętali o kwaterze, jednak w latach osiemdziesiątych XX wieku rozpoczęło się jej niszczenie, m.in. zezwolono na nowe pochówki. Ministerstwo postanowiło w pierwszej kolejności poddać konserwacji dwa najbardziej okazałe obiekty: Pomnik Chwały wzniesiony

w 1886 roku w centrum kwatery oraz kamienny nagrobek Jana Pfeiffera, żołnierza 2 Pułku Ułanów. Prace będą kontynuowane w 2018 roku. AD ■

Pomnik Chwały ozdobiony rzezbami przedstawiającymi m.in. sztandar, ułańskie czako oraz kartusz z herbami Polski, Litwy i Rusi zwieńcza rzeźba orła.





Klub Dowództwa
Garnizonu Warszawa

CO IM W DUSZY GRA?

Z Tomaszem Cholewińskim

**o ofercie Klubu Dowództwa Garnizonu Warszawa
dla żołnierzy i cywilów, dla dorosłych i dla dzieci
rozmawia Anna Dąbrowska.**

Klub DGW stał się ważnym punktem na mapie kulturalnej Warszawy. Nie jest to łatwe w mieście, które ma wiele tego rodzaju ofert...

To przede wszystkim zasługa ludzi, którzy tu pracują. Mój zespół to tylko 22 osoby, ale pełne pasji, zaangażowane i ambitne. Półtora roku temu zakończyliśmy kapitalny remont siedziby przy al. Niepodległości – to ważny krok do tego, aby stać się nowoczesnym ośrodkiem kultury. Wartością jest też jakość oferowanych przez Klub projektów. Nie jest sztuką zachęcić kogoś, aby przyszedł do nas raz, lecz sprawić, aby tutaj wrócił i przyprowadził rodzinę oraz znajomych. Cieszymy się, że w większości nasi odbiorcy wychodzą z Klubu zadowoleni.

Klub jest wojskowym ośrodkiem kultury, ale jednocześnie jest otwarty dla cywilów?

Głównym celem działalności Klubu jest zaspokajanie potrzeb kulturalnych środowiska wojskowego. Dlatego nasza oferta jest skierowana głównie do żołnierzy z instytucji i jednostek stołecznego garnizonu, w tym w znacznej mierze do szeregowych i podoficerów.

Dzięki współpracy z dowódcami jednostek podległych dowódcy Garnizonu Warszawa możemy uczestniczyć w przygotowaniu zajęć z kształcenia obywatelskiego i wpisujemy się w działalność wychowawczą. Rozwija się też współpraca z klasami mundurowymi w dziedzinie edukacji historycznej, kształtowania postaw patriotycznych i obywatelskich. Jeśli jednak funkcjonujemy w Warszawie, siłą rzeczy musimy być otwarci również na mieszkańców. Taką rolę łącznika ze społeczeństwem pełni biblioteka Klubu: jest miejscem spotkań, do którego przychodzą całe rodziny.

WIZYTÓWKA

**PPŁK TOMASZ
CHOLEWIŃSKI**

Jest kierownikiem Klubu Dowództwa Garnizonu Warszawa. Wcześniej był wiceprezesem Stołecznego Wojskowego Oddziału PTTK przy Klubie Dowództwa Garnizonu Warszawa. ■

Skąd pomysł, aby ratować warszawskie teatry, udzielając im schronienia w siedzibie Klubu?

Oba teatry, najpierw Kwadrat, a potem Żydowski, znalazły się w trudnej sytuacji. Były bez dachu nad głową, szukały więc pomocy wszędzie, aż trafiły do Dowództwa Garnizonu Warszawa. Nasi dowódcy postanowili im pomóc i dali tymczasową siedzibę w gmachu Klubu przy al. Niepodległości. W zamian artyści tych teatrów wspierają nas w działalności, doradzają. Wiele pomysłów, ciekawych aran-



JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

żacji, scenografii to efekt wspólnej pracy nie zawsze spisanej w formie umowy. Z goszczącym w naszej siedzibie Teatrem Żydowskim łączy nas dobra współpraca, a aktorzy angażują się w przedsięwzięcia Klubu. Organizowaliśmy na przykład wspólnie z dyrektorką Gołdą Tencer wystawę fotografii Żydów polskich „I ciągle widzę ich twarze” powstałą z inicjatywy Fundacji Shalom.

W Państwa ofercie są zajęcia taneczne, teatralne, plastyczne, wokalne dla dzieci i dorosłych. Organizują Państwo wystawy, konkursy, koncerty... Klub stawia na różnorodność czy dąży do specjalizacji?

Dopiero drugi sezon działamy w nowej lokalizacji i cały czas szukamy kolejnych dziedzin aktywności. Już teraz naszą mocną stroną jest jednak wojskowy charakter ośrodka powołanego do budowania pozytywnego wizerunku armii oraz upowszechniania kultury narodowej i tradycji oręża polskiego. Promujemy wojsko przez kulturę, ponieważ to jedna z najprostszych i najtańszych form, z jaką można dotrzeć do społeczeństwa. Organizujemy na przykład cykliczne koncerty orkiestr wojskowych, które podlegają dowódcy Garnizonu Warszawa. Imprezom tym towarzyszą prowadzone przez muzyków warsztaty muzyczno-artystyczne dla dzieci „Dęciak fajny jest” o historii instrumentów i ich możliwościach. Z kolei w ramach projektu „Żołnierze

z pasją” organizujemy spotkania z żołnierzami, którzy spełniają swoje marzenia i rozwijają zainteresowania. Działalność turystyczna i krajoznawcza to jedno z zadań, które realizujemy wspólnie ze Stołecznym Oddziałem Wojskowego PTTK przy Klubie DGW, przygotowującym około 80 imprez rocznie. Naszą mocną stroną jest też amatorski ruch artystyczny. Mamy prężnie działające koła plastyczne, wokalne, teatralne. Działa u nas Teatr po 40 i Teatr Impresja, a także studio piosenki.

Organizują też Państwo pokazy filmów historycznych...

Kinematografia to nasze kolejne wyzwanie w tym roku. Do wyremontowanej sali kinowej kupiliśmy niedawno nowoczesny projektor, mamy też świetny system nagłośnienia i w ramach projektu „Historia na taśmie” organizujemy projekcje filmów historycznych. Mają one przypominać ważne wydarzenia z naszych dziejów, a także poszerzać wiedzę o nich. Naszym celem jest nie tylko pokazywanie samych filmów – dodatkowo wzbogacamy je krótkim wprowadzeniem historyka, reżysera czy scenarzysty, dzięki czemu odbiór jest o wiele pełniejszy.

Jakie są inne wyzwania przewidziane na ten rok?

Przygotowujemy się do jubileuszu setnej rocznicy odzyskania niepodległości. Chcemy z tej okazji wyprodukować własne przedstawienie teatralne „Niepodległa nowoczesnie”, przygotowane przez amatorów ze wsparciem profesjonalistów, ludzi teatru. Ruszymy z nim do jednostek i klubów wojskowych. Wierzymy, że uda nam się przygotować „II Garnizonową jesień z monodramem w tle” oraz projekt kulturalno-edukacyjny „Ostrogi, szable i medale” – w obu przypadkach to zadania zlecone realizowane z budżetu MON-u. Chcemy zakończyć inwestycje w naszym budynku. Marzy mi się, aby Galeria 2 Piętro, gdzie są organizowane wystawy plastyczne, stała się galerią z prawdziwego zdarzenia, z dobrą infrastrukturą wystawienniczą. Zamierzamy otworzyć na parterze budynku kawiarenkę, gdzie będzie można porozmawiać o kulturze czy po prostu się spotkać. Mam pomysł, aby urządzić kącik zabaw dla najmłodszych oraz pomieszczenie z przewijakiem, ponieważ odwiedza nas coraz więcej mam z małymi dziećmi. Na frontonie budynku planujemy umieścić neon z nazwą naszej placówki. Chcemy, aby stosunkowo nowe logo Klubu DGW stało się rozpoznawalną marką oraz zamierzamy położyć nacisk na realizację strategii promocyjnej. Nawet w jednostkach podległych DGW wiele osób nie wie, jaką mamy ofertę i że można do nas przyjść za darmo. Cały czas staramy się poszerzać spektrum naszej działalności. Chcemy być kreatywni, innowacyjni, nowocześni. Wierzę głęboko, że z tym zespołem Klubu możemy jeszcze wiele zrobić. ■

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Do zobaczenia w chmurach

To miejsce wyzwała emocje. Dziś o tych, którzy „utraceni, lecz nie zapomniani, pokonani nie w walce, lecz przez los”, zakończyli tam życie, przypomina napis wykuty na pomniku.

Jak mała jest ta przestrzeń – pomyślałam, gdy po raz pierwszy zobaczyłam miejsce, w którym stoi pomnik ku czci ofiar katastrofy. Na leśnej polanie z ziemi wyrasta statecznik. Obok ustawiono drewniany krzyż i głaz z tablicą, na której wryto nazwiska ofiar. Dookoła sosnowy las, z boku ciągną się stare tory kolejowe. Tak wygląda dziś miejsce największej katastrofy w historii polskiego lotnictwa wojskowego. 23 stycznia mija dziesięć lat od dnia, gdy pod Mirosławcem w Zachodniopomorskiem rozbił się transportowy samolot CASA. Zginęło 20 żołnierzy, w tym 16 wysokiej rangi oficerów.

Tu jest zawsze cicho – niczym mantrę powtarzają wszyscy, którzy przychodzą na polanę. „Dbamy o tę ciszę. Nie dlatego, że ktoś nam każe, ale że czujemy taką potrzebę”, mówi mjr Andrzej

ARCHIWUM 12 BBS P



gen. bryg. pil. Andrzej ANDRZEJEWSKI
plk pil. Dariusz MACIĄG
plk pil. Jerzy PILAT
ppłk pil. Zdzisław CIEŚLIK
ppłk Zbigniew KSIĄZEK
ppłk pil. Wojciech MANIEWSKI
mjr Dariusz PAWLAK
mjr Piotr FIRLINGER
mjr Jarosław HALADUS
mjr pil. Grzegorz JULGA

mjr pil. Robert MAJ
mjr Krzysztof SMOLUCHA
mjr Mirosław WILCZYŃSKI
kpt. Grzegorz STEPANIUK
kpt. Karol SZMIGIEL
kpt. pil. Paweł ZDUNEK
kpt. pil. Leszek ZIEMSKI
por. pil. Robert KUŻMA
por. pil. Michał SMYCZYŃSKI
sierż. Janusz ADAMCZYK

Dnia 23 stycznia 2008 roku
o godzinie 19.07 zginęli w katastrofie
samolotu CASA C-295 M

Utraceni, lecz nie zapomniani...
...pokonani nie w walce,
lecz przez los...

Weimann, szef sekcji operacyjnej 12 Bazy Bezzałogowych Statków Powietrznych w Mirosławcu. Ktoś go kiedyś zapytał, co symbolizuje statecznik? „Oni odeszli, ale ocalał ster, który w samolocie jest odpowiedzialny za wytyczenie kierunku lotu. Może to znak od chłopaków? Jakby mówili, róbcie swoje”.

Pomnik upamiętniający ofiary katastrofy odsłonięto 30 marca 2008 roku. Na zamontowanej na głazie tablicy znajdują się ich nazwiska umieszczone na stylizowanej lotniczej szachownicy oraz słowa: „Utraceni, lecz nie zapomniani, pokonani nie w walce, lecz przez los”.

To miejsce nie tylko poraża ciszą, ale także wyzwała emocje. Iwona Piłat, żona płk. pil. Jerzego Piłata, dowódcy 12 Bazy Lotniczej w Mirosławcu, mówi: „To grób mojego męża”. Dziwi się, że „samolot tak mocno wrył się w ziemię, a nie zniszczył tej polany”. Powalił lub ściął kilka drzew o średnicy 20–30 cm.

Małgorzata Wilczyńska, wdowa po mjr. Mirosławie Wilczyńskim, szefie sekcji techniki lotniczej w 1 Brygadzie Lotnictwa Taktycznego, wspomina, jak przed dziesięciu laty prokurator pokazał zdjęcia rzeczy znalezionych na miejscu katastrofy. Rozpoznała okulary męża. Ich wygląd wiele mówił o tej tragedii – oprawki były zwiędłe.

Gabriela Ziemska, żona kpt. pil. Leszka Ziemskiego z 40 Eskadry Lotnictwa Taktycznego w Świdwinie, wspomina, że gdy się poznali, podarowała mu obrazek Matki Boskiej Loretańskiej, patronki lotnictwa. Zawsze nosił go w portfelu. Obrazka nie było wśród dokumentów, które przekazał jej prokurator. „Myślę, że mąż zabrał go ze sobą”, mówi.

TA DZIWIŃNA CISZA

Była środa, kilka minut po 19.00. Transportowy samolot CASA zbliżał się do lotniska w Mirosławcu. Na pokładzie byli uczestnicy konferencji „Bezpieczeństwo lotów”, którzy wracali do macierzystych jednostek. Samolot z 13 Eskadry Lotnictwa Transportowego w Krakowie pilotował dowódca

czterooosobowej załogi por. pil. Robert Kuźma, który spędził w powietrzu za sterami różnych maszyn ponad 2,5 tys. godzin. Lecieli z Warszawy, z międzylądowaniami w Powidzu i w Krzesinach. Kontroler lotów w Mirosławcu przez cały czas utrzymywał kontakt z załogą.

Nic nie zwiastowało tragedii. O godzinie 19.07 obsługa lotniska zobaczyła, jak podchodzący do lądowania samolot nagle obniżył lot. Zahaczył o drzewa, rozległ się potężny huk, a po chwili nad lasem pojawiła się ognista luna. Osiem minut później na miejsce katastrofy dotarły pierwsze grupy ratownicze.

Kilka kilometrów dalej, na wojskowym osiedlu, na którym mieszkają rodziny pilotów, życie toczyło się normalnym trybem. Gdy rozległ się ryk syren, Iwona Piłat krzątała się po mieszkaniu. „W południe mąż zadzwonił z Warszawy. Powiedział, że będzie w domu o 19.30. Zawsze był punktualny”, wspomina. Wybiegła na balkon. W stronę lotniska jechały na sygnale samochody straży pożarnej i karetki pogotowia. Włączyła telewizor i na pasku jednej ze stacji przeczytała, że rozbił się samolot. Wkrótce rozdzwoniły się telefony. Jako żona pilota wiedziała, że jeśli CASA runęła na ziemię, nikt nie miał szans.

„W tę tragiczną noc moja wówczas trzynastoletnia córka podeszła do mnie i powiedziała: »Mamo, nie załamuj się, damy sobie radę«. Przedwcześnie stała się dorosła. Pomaga wychowywać brata, który w dniu katastrofy miał rok i dwa miesiące, a dla którego ojciec nadal jest wielkim autorytetem”, wspomina Gabriela Ziemska, na pokładzie Casy był jej mąż, mjr pil. Leszek Ziemski z 40 Eskadry Lotnictwa Taktycznego w Świdwinie. Kiedyś w Dniu Ojca pojechała z synem na grób. Powiedział wtedy: „Mamo, może podziękuję tacie za zabawy i opiekę?”. „Wzruszyłam się, ale też byłam dumna z syna. Dzieci mają pamiątkową kartkę, adresowaną do nich z podróży służbowej, z napisem „Kocham Was. Tata”, mówi Gabriela Ziemska.

Małgorzata Wilczyńska o katastrofie dowiedziała się z internetu. Na którymś z portali przeczytała, że rozbił się



**ONI ODESZLI, ALE OCALAŁ STER,
KTÓRY W SAMOLOCIE JEST ODPOWIE-
DZIALNY ZA WYTYCZENIE KIERUNKU
LOTU. MOŻE TO ZNAK OD CHŁOPAKÓW?
JAKBY MÓWILI,
RÓBCIE SVOJE**

samolot pod Szczecinkiem, są ranni i dwóch zabitych. Błędnie podano miejsce, ale domyśliła się, że to „ten” samolot. „W południe mąż dzwonił, że będzie w domu wieczorem. Pytał, jak czuje się nasz czteroletni synek Jędrzek, który ostatnio chorował, a tego dnia po raz pierwszy poszedł do przedszkola. Wieczorem dziwnie się poczułam, jakby nagle otoczyła mnie cisza. O 1.00 w nocy rozległo się pukanie do drzwi i tragiczna wiadomość została oficjalnie potwierdzona”, wspomina.

Płk Roman Stefaniak, zastępca dowódcy 12 BBSP w Mirosławcu, starszy kontroler ruchu lotniczego, szef pionu, w 2008 roku studiował w Akademii Obrony Narodowej w Warszawie. Świętował z kolegami zaliczenie semestru, gdy zadzwoniła żona z informacją, że rozbił się samolot. W nocy wrócił do Mirosławca. Dopiero po kilku

w Stowarzyszeniu rozumieją się bez słów. Wspierają się, a czasem także wspominają.

Iwona Piłat śmieje się, że służyła razem z mężem. Przez lata wędrowała za nim z jednej jednostki do drugiej. Dęblin, Tomaszów Mazowiecki, Paryż, Mirosławiec. „Latanie nie było jego pracą. Było pasją”, mówi. „Czasem wyobrażam sobie, że Jurek jest po prostu na kolejnym długim wojskowym obozie kondycyjno-szkoleniowym”. Podwładni wspominają pułkownika jako dowódcę opanowanego, wręcz dystygowanego. Do dziś w Wyższej Szkole Oficerskiej Sił Powietrznych w Dęblinie kandydaci na pilotów uczą się o jego wyczynach.

„Nie każdy może wznieść się ponad chmury i poczuć się powietrznym ptakiem, do tego potrzeba odwagi, samozaparcia i młodzińskich marzeń”, uważa Gabriela Ziem-

WOJSKO PAMIĘTA



Minister obrony narodowej mianował pośmiertnie na kolejne stopnie wojskowe lotników, którzy zginęli w katastrofie. Prezydent RP awansował pośmiertnie: gen. bryg. pil. Andrzeja Andrzejewskiego – na stopień generała dywizji, płk. pil. Dariusza Maciąga – na stopień generała brygady, płk. pil. Jerzego Piłata – na stopień generała brygady.

dniach, gdy z polany pod lasem zabrano już wrak samolotu, pojechał na miejsce katastrofy. „Z pokrytej śniegiem ziemi sterczały osmalone kikuty drzew. Już wtedy panowała tam ta dziwna cisza”, wspomina.

Mjr Andrzej Weimann był na konferencji w Niemczech, gdy dostał od kolegi SMS, że coś się stało z Casą. „Gdy wróciłem z konferencji, zobaczyłem stojący na parkingu przy lotnisku samochód kpt. Pawła Zdunka. Był moim przyjacielem. Wtedy poczułem, co naprawdę się stało. Zrozumiałem, że jego już nie ma”, wspomina.

W marcu 2009 roku Komisja Badania Wypadków Lotniczych Lotnictwa Państwowego, sprawdzająca przyczyny katastrofy, ogłosiła, że doprowadziło do niej wiele czynników, m.in. niekorzystne warunki atmosferyczne oraz nieświadome spowodowanie przez załogę nadmiernego przechylenia samolotu. To z kolei było powodem spadku siły nośnej, gwałtownego zniżania z utratą kierunku i wreszcie zderzenia z ziemią.

DZIEŃ KOŃCA ŚWIATA

Rok po katastrofie z inicjatywy dowódcy sił powietrznych gen. Andrzeja Błasika i jego żony powstało stowarzyszenie „W cieniu Orła”, które łączy rodziny ofiar lotniczych katastrof wojskowych. Wiceprezesem została Iwona Piłat. Wdowy po lotnikach z Casy zgodnie twierdzą, że

o takich marzeniach swojego męża mówi także Joanna Cieślik. Jej mąż płk dypl. pil. Zdzisław Cieślik, szef szkolenia z 1 Brygady Lotnictwa Taktycznego w Świdwinie, już w piątej klasie szkoły podstawowej (wtedy się poznali) wiedział, że w przyszłości będzie pilotował wojskowe samoloty. I tak się stało. W dorosłym życiu na Su-22 spędził w powietrzu niemal 1400 godzin, wyszkolił wielu pilotów. „W poprzednim wcieleniu musiał być ptakiem”, mówili koledzy. On sam żartował, że został lotnikiem, bo pierwsza książka, którą przeczytał samodzielnie, siedząc pod stołem w kuchni, nosiła tytuł „Pilot i ja”, a napisał ją Adam Bahdaj. „Poprosiłam, aby tę właśnie książkę włożono mu do trumny wraz z mundurem i osobistym listem”, mówi Joanna Cieślik.

Mjr Mirosław Wilczyński odpowiadał za przygotowanie do lotu samolotów, ale sam zostawał na ziemi. „I oto pewnego dnia wyszedł rano z domu i nie wrócił. Zginął, ale nie było ciała. Nie było pożegnania. Z dniem jego śmierci dla naszej rodziny skończył się tamten radosny świat”, mówi Małgorzata Wilczyńska.

Pogrzeb płk. pil. Zdzisława Cieślika odbył się w Olkuszu. Po ceremonii Joanna Cieślik poprosiła przyjaciół i kolegów męża, aby wpisali kilka słów pożegnania w księdze kondolencyjnej. Ktoś napisał: „Do zobaczenia w chmurach”. ■

HISTORIA

Polska Zbrojna

NOWY MAGAZYN

O TRADYCJI I CHWALE POLSKIEGO ORĘŻA



ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 840 400

WWW.POLSKA-ZBROJNA.PL

ANNA
DĄBROWSKA

Obrońcy Kresów

**Polacy na Białorusi
pamiętają o grobach
naszych żołnierzy
z 1920 roku.**



Upamiętniamy dzisiaj polskich żołnierzy, którzy polegli podczas wojny polsko-bolszewickiej w latach 1919–1920”, mówił Konrad Pawlik, polski ambasador w Mińsku, 1 listopada na cmentarzu w Miadziole na Białorusi podczas uroczystości odsłonięcia tablicy pamiątkowej.

ODNALEZIONE NAZWISKA

Zamieszkane przez 7 tys. osób miasteczko położone w obwodzie mińskim przed wojną należało do II Rzeczypospolitej i było w granicach województwa wileńskiego. Na miejscowym cmentarzu znajduje się wojenna kwatera polskich żołnierzy, którzy zginęli w walkach z bolszewikami o Miadzioł i pobliskie wsie w 1919 i 1920 roku.

Do tej pory na krzyżach umieszczonych na mogiłach nie było nazwisk poległych. Dzięki inicjatywie polskiej ambasady w Mińsku część z pochowanych tu osób upamiętniono na nowej tablicy ulokowanej w kwaterze. Znalazły się na niej dane sześciu żołnierzy odnalezione na liście strat Wojska Polskiego.

Wykuto tam nazwiska dwóch żołnierzy 5 Pułku Piechoty Legionów, którzy zginęli 28 lipca 1919 roku, czyli szer. Wincentego Gałążewskiego i Wincentego Gołaszewskiego, trzech strzelców z 47 Pułku Strzelców Kresowych poległych 2 i 3 czerwca 1920 roku, czyli Kazimierza Wojny, Kacpra Bukowskiego i Jana Siwca, oraz szer. Badury z 8 Dywizji Piechoty, zabitego 5 czerwca 1920 roku.

Tablicę ufundował Związek Gmin Wiejskich Województwa Podlaskiego, a ustawili ją na cmentarzu, na

zlecenie Ambasady RP w Mińsku, członkowie białoruskiego oddziału Związku Piłsudczyków RP i Związku Polaków na Białorusi. Jednocześnie na każdym z pięciu bezimiennych grobów umieszczono tabliczkę z napisem „Żołnierz Wojska Polskiego”.

W dniu Wszystkich Świętych nową tablicę upamiętniającą obrońców Kresów Wschodnich poświęcił ksiądz Paweł Lolito, proboszcz miejscowej parafii przy Kościele Matki Bożej Szkaplerznej. Odprawiono też nabożeństwo w intencji zmarłych, zapalono znicze i złożono kwiaty, a Konrad Pawlik podziękował wszystkim osobom zaangażowanym w opiekę nad polskimi grobami.

ZNISZCZONY OBELISK

W czerwcu tego roku prace porządkowe w kwaterze w Miadziole prowadzili pracownicy polskiego konsulatu w Mińsku i wolontariusze z Białorusi, m.in. członkowie Związku Piłsudczyków RP oraz innych środowisk polonijnych. Odmalowali nagrobki oraz betonowe słupki ogradzające kwaterę, skosili chwasty zarastające groby, zabezpieczyli od korozji łańcuchy. Prace sfinansował głównie konsulat RP, wsparli go sponsorzy, w tym polskie firmy działające na Białorusi.

Nadal jednak profesjonalnej renowacji wymaga pomnik na cmentarzu upamiętniający 15-lecie odzyskania przez Polskę niepodległości. Postawiony w 1933 roku obelisk był świadectwem patriotyzmu tamtejszej społeczności i stanowił centralny punkt wojennej kwatery. Po wybuchu II wojny światowej i zajęciu wschodnich terenów Polski przez ZSRR, żołnierze



Profesjonalnej renowacji wymaga pomnik upamiętniający 15-lecie odzyskania przez Polskę niepodległości.

AMBASADA RP W MIŃSKU (2)



Uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowej na cmentarzu w Miadziole na Białorusi.

Armii Czerwonej wysadzili obelisk w powietrze, ale nie udało im się zniszczyć go całkowicie.

Fragment obelisku, na którym znajdowały się orzeł państwowy oraz uszkodzony napis, odnaleźli w zaroślach na terenie nekropolii członkowie mińskiego oddziału Związku Polaków na Białorusi. W 2014 roku, dzięki nieocenionemu wsparciu finansowemu wydziału konsularnego polskiej ambasady, pomnik udało się podnieść, odnowić i ponownie umieścić w centrum kwatery na postumencie, na którym widnieje inskrypcja: „Dnia 11.XI.1933 roku jako w piętnastoletnią rocznicę odzyskania niepodległości Państwa Polskiego wzniosło ten pomnik poległym Bohaterom wdzięczne społeczeństwo gminy miadziolskiej”.

„Choć pomnik stoi już na postumencie, wymaga dalszej pielęgnacji i renowacji”, zaznaczył w czerwcu Adam Kaczyński, konsul RP w Mińsku. Prawie niewidoczny jest umieszczony na nim napis: „Tu spoczywają zwłoki nieznanymi żołnierzy polskich poległych w walkach w obronie ojczyzny w czerwcu 1920 r. z bolszewikami pod Miadziołem”. Wiosną obelisk oglądali specjaliści z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Mają teraz zdecydować, czy trafi on na listę polskich zabytków za granicą przewidzianych do renowacji.

Jak podkreślał Kaczyński, największym problemem mińskiego okręgu konsularnego jest wiele rozszanych po jego terenie polskich cmentarzy, które znajdują się daleko od większych miejscowości. Dlatego pracownicy konsulatu w Mińsku wraz z wolontariuszami organizują wyjazdy na cmentarze po to, aby je odnawiać i sprzątać. Z kolei 1 listopada pracownicy ambasady objeżdżają polskie groby i miejsca pamięci, składają na nich kwiaty oraz zapalają znicze.

GAŁĄZ PAMIĘCI

Latem tego roku prowadzono także prace porządkowe niedaleko Miadzioła, w polskiej kwaterze wojennej w Nowosiolkach. Spoczywa tam pięciu szeregowych z 47 Pułku Strzelców Kresowych, poległych w walkach z bolszewikami 3 czerwca 1920 roku. Rok temu polscy dyplomaci z Mińska odnaleźli na cmentarzu gałąź upamiętniającą żołnierzy, postawiony z okazji dwudziestolecia odzyskania przez Polskę niepodległości. Pomnik, choć są na nim ślady kul, zachował się w dobrym stanie i został umieszczony na grobie.

W czerwcu tego roku wolontariusze pracujący w Nowosiolkach dokonali kolejnego odkrycia. W krzakach znaleźli częściowo zakopany czarny kamień nagrobny z 1928 roku, upamiętniający 10-lecie niepodległości Polski, poświęcony żołnierzom, którzy zginęli w walkach. Kamień udało się odkopać, wydobyć i umieścić przy pomniku z 1938 roku. Uprzątnięto też teren wokół tych obiektów, ogrodzono mogiły granitowymi krawężnikami i wysypano je ozdobnym żwirem.

Podczas apelu pamięci w Brastawiu przy grobach polskich żołnierzy poległych w latach 1919–1920 ambasador Konrad Pawlik podkreślał, że na terytorium środkowej i północnej Białorusi znajduje się co najmniej kilkadziesiąt miejsc, w których pochowani są polscy żołnierze, uczestnicy wojny z bolszewikami. „W związku ze zbliżającymi się ważnymi rocznicami – odzyskania przez Polskę niepodległości w 1918 roku i wojny polsko-bolszewickiej 1920 roku – chcemy, aby wszystkie te miejsca zostały odnowione, a polscy żołnierze godnie upamiętnieni”, dodał ambasador. ■

Wyrazy szczerego żalu i współczucia
z powodu śmierci

Ojca i Teścia

Państwu Grażynie i Jackowi Trochimom

składają rektor-komendant, senat i społeczność
akademicka WSOSP.

Naszemu Koledze

ppłk. Robertowi Kowalczykowi

wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Teściowej

składają kierownictwo, kadra zawodowa
i pracownicy Departamentu
Wojskowych Spraw Zagranicznych.

Panu ppłk. Ryszardowi Wiśniewskiemu

wyrazy szczerego współczucia, wsparcia i otuchy
w trudnych chwilach z powodu śmierci

Mamy

składają szef, kadra zawodowa oraz pracownicy
Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego w Olsztynie.

Słowa wsparcia oraz wyrazy głębokiego żalu
i szczerego współczucia

Panu ppłk. Pawłowi Głowie

oraz Rodzinie i Bliskim

z powodu śmierci

Mamy

składają szef, żołnierze, strażacy oraz pracownicy
Wojskowej Ochrony Przeciwpowarowej.

Panu płk. mgr. Andrzejowi Skibie

wyrazy szczerego żalu, głębokiego współczucia
oraz wsparcia i otuchy

w trudnych chwilach z powodu śmierci

Ojca

składają komenda, kadra zawodowa i pracownicy
I Wojskowego Szpitala Klinicznego
z Polikliniką w Lublinie.

Wyrazy głębokiego i szczerego współczucia

Panu płk. mgr. Andrzejowi Skibie

z powodu śmierci

Ojca

składają komenda, żołnierze i pracownicy
I Wojskowego Szpitala Klinicznego z Polikliniką
SPZOZ w Lublinie.

Wyrazy szczerego żalu i współczucia
z powodu śmierci

Ojca

**Panu st. chor. sztab. Krzysztofowi Wyszogrodzkiemu
i Teścia**

Pani Beacie Wyszogrodzkiej

składają żołnierze oraz pracownicy
17 Wojskowego Oddziału Gospodarczego
w Koszalinie.

Panu ppłk. Sławomirowi Woźniakowi

wyrazy głębokiego żalu i współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają szef, żołnierze i pracownicy
Zarządu Planowania Użycia Sił Zbrojnych
i Szkolenia P3/P7
Sztabu Generalnego WP.

Pani Monice Zaprawa

wyrazy głębokiego współczucia
i szczerze kondolencje z powodu śmierci

Ojca

składają koleżanki i koledzy
z Oddziału Zarządzania Nieruchomościami
Departamentu Administracyjnego MON.

Pani Jolancie Mienickiej

w związku ze śmiercią

Mamy

wyrazy głębokiego współczucia i szczerego żalu
składają dowódca, żołnierze i pracownicy
9 Braniewskiej Brygady Kawalerii Pancernej.

Nekrologi przyjmujemy tylko w formie elektronicznej. Treść kondolencji należy przysyłać pod adresem: polska-zbrojna@zbrojni.pl
z nagłówkiem wiadomości: „Nekrologi”. Prosimy o telefoniczne potwierdzenie zamieszczenia kondolencji: 261 845 213,
261 845 230, 261 840 227

Ppłk. Jarosławowi Sługockiemu
z sekretariatu szefa Sztabu Generalnego
Wojska Polskiego,
Rodzinie oraz Bliskim,
wyrazy żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci
Teścia
składają szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego
gen. broni dr Leszek Surawski
oraz kierownictwo, żołnierze i pracownicy SG WP.

Panu płk. rez. Januszowi Lareckiemu
wyrazy szczerego żalu
oraz głębokiego współczucia
z powodu śmierci
Taty
składają dyrektor, żołnierze i pracownicy
Departamentu Ochrony Informacji Niejawnych
Ministerstwa Obrony Narodowej.

**Panu st. chor. szt. rez. Waldemarowi Witeckiemu
oraz Pani Violetcie Witeckiej**
wyrazy szczerego żalu
oraz głębokiego współczucia
z powodu śmierci
Mamy i Teściowej
składają dyrektor, żołnierze i pracownicy
Departamentu Ochrony Informacji Niejawnych
Ministerstwa Obrony Narodowej.

Naszemu Koledze
**st. chor. szt. Grzegorzowi Bochno
i Jego Najbliższym**
wyrazy współczucia
oraz słowa wsparcia w trudnych chwilach po stracie
Mamy
składają dyrektor generalny MON Bogdan Ścibut
wraz z koleżankami i kolegami
z Biura Dyrektora Generalnego MON.

Panu mjr. Włodzimierzowi Wiśniewskiemu
wyrazy głębokiego żalu i współczucia
z powodu śmierci
Teścia
składa dowódca
3 Dywizjonu Artylerii Rakietowej
wraz z żołnierzami.

Panu Janowi Zakrzewskiemu
wyrazy głębokiego współczucia i szczerego żalu
z powodu śmierci
Żony
składają dowódca, żołnierze i pracownicy
Dowództwa Garnizonu Warszawa.

Panu kmdr. por. Jackowi Bucy
wyrazy szczerego żalu, głębokiego współczucia
i wsparcia w trudnych chwilach
z powodu śmierci
Ojca
składają szef, żołnierze i pracownicy
Oddziału Planowania
Zabezpieczenia Logistycznego Wojsk
Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych.

**Panu mjr. Arkadiuszowi Kowalowi
oraz Jego Rodzinie i Bliskim**
wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci
Syna
składają żołnierze i pracownicy
Dowództwa 21 Brygady Strzelców Podhalańskich.

Panu mł. chor. Sławomirowi Elsonowi
wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci
Matki
składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
1 Batalionu Dowodzenia i Zabezpieczenia
w Bydgoszczy.

TYCH AKCJI BYŁY TYSIĄCE

Z Wojciechem Königsbergiem

o brawurowych akcjach Armii Krajowej, które opisał w książce „AK 75”, rozmawia Piotr Korczyński.

W e wstępie do książki „AK 75. Brawurowe akcje Armii Krajowej” podkreśla Pan, że zainspirowały Pana historie rodzinne.

Niestety nie zdążyłem poznać swoich pradziadków Jana i Katarzyny Bębnow, mieszkających przed wojną w miejscowości Głuchów Lasy na Kielecczyźnie. Wiedziałem, że byli związani z Armią Krajową, ale dopiero w szkole średniej wpadła mi w ręce książka Józefa Mrozkiewicza „W konspiracji i w walce. Z dziejów Podobwołu AK Szydłów”. Z niej się dowiedziałem, że w domu dziadków znajdowała się akowska izba chorych, w której leczyli się świętokrzyscy partyzanci. Dla mnie, chłopaka zafascynowanego dziejami polskiego podziemia, był to bodziec do zajęcia się historią AK na poważnie. Dzięki temu powstało kilka książek, w tym „AK 75”, a w przygotowaniu są kolejne. Prowadzę także działalność publicystyczną i jestem współautorem bloga historycznego „Wokół Wykusu”.

Tą książką chciał Pan upamiętnić 75. rocznicę przemianowania Związku Walki Zbrojnej na Armię Krajową 14 lutego 1942 roku. Zatem wybór 75 akcji nie jest przypadkowy. Czy nie miał Pan trudności z ich wyborem z tak bogatego dorobku bojowego AK? Jakimi kryteriami się Pan kierował?

Oczywiście, że miałem, bo tych akcji były tysiące. Każda zasługuje na upamiętnienie. Ze względu na konwencję książki mogłem opisać jedynie 75. Jak wskazuję we wstę-

pie, wybór był subiektywny. Po prostu w publikacji zawarłem te działania, które najlepiej znałem z mojej dotychczasowej pracy naukowej, wcześniej opisałem lub były mi bliskie. Musiałem uwzględnić kilka najsłynniejszych, jak

akcja „Góral”, likwidacja Franza Kutschery czy akcja pod Arsenalem. Starłem się jednak nie pokazywać działalności AK tylko przez pryzmat okupowanej Warszawy i nie skupiać się jedynie na tych znanych wydarzeniach, ale opisać również sukcesy akowców z innych terenów.



Starłem się nie pokazywać działalności AK tylko przez pryzmat Warszawy, ale również opisać sukcesy akowców z innych terenów

Która akcja zapadła Panu szczególnie w pamięć?

Jako biograf cichociemnego płk. Jana Piwnika „Ponurego” nie mógłbym wskazać innej niż rozbięcie więzienia w Pińsku. Operacja z 18 stycznia 1943 roku została przeprowadzona na wzór działań komandosów. Piwnik miał na jej przygotowanie zaledwie kilkanaście dni. Zdołał rozpoznać teren, przerzucić ludzi, rozbić więzienie w mieście, w którym stacjonował trzytysięczny garnizon nieprzyjaciela, i bezpiecznie dostarczyć uwolnionych kilkaset kilometrów dalej do Warszawy. Nic dziwnego, że plan akcji został włą-

czony w system szkolenia akowskich dywersantów, a według niektórych przekazów wykorzystywali go również Brytyjczycy na swoich kursach.

Gdyby dziś mógł Pan dopisać do książki jeszcze trzy akcje, to które by Pan wybrał?



Ze względu na konwencję książki mogłem opisać jedynie 75 akcji. Wybór był subiektywny. W publikacji zawarłem te działania, które najlepiej znałem z mojej dotychczasowej pracy naukowej, wcześniej opisałem lub były mi bliskie.

Na pewno opisałbym likwidację agenta gestapo Franza Wittka, nieudane uwolnienie żołnierzy „Wachlarza” z więzienia w Mińsku oraz akcję „Getto”, której celem była pomoc powstańcom w getcie warszawskim. Myślę, że będzie jeszcze okazja pokazania tych, a także kilkunastu innych operacji polskiego podziemia.

Ze względu na ramy książki nie brał Pan pod uwagę akcji ZWZ, który walczył z dwoma wrogami. Latem 1941 roku Sowieci oficjalnie stali się naszymi sojusznikami, ale jak to w praktyce wyglądało, mówią chociażby raporty Armii Krajowej o działalności sowieckich spadochroniarzy w Polsce. Pan opisuje jedną z akcji AK wymierzonych w komunistyczną partyzantkę, ale było ich znacznie więcej, jak na przykład ta w Puszczy Nalibockiej, gdy partyzanci por. Adolfa Pilcha „Góry” zostali zmuszeni przez Sowieców do otwartej walki. Czy nie myślał Pan o drugim tomie, by przedstawić często o wiele trudniejszą, a wciąż mało znaną walkę AK z „sojusznikiem naszych sojuszników”?

Książka z założenia miała dotyczyć wyłącznie akcji przeprowadzonych przez oddziały Armii Krajowej w okresie od 14 lutego 1942 roku do 19 stycznia 1945 roku. Mogę zdradzić jednak, że przygotowuję kontynuację „AK 75”, która powinna ukazać się na rynku z okazji kolejnej okrągłej rocznicy przemianowania ZWZ w AK. Publikacja będzie dotyczyć akcji przeprowadzonych przez Służbę Zwycięstwu Polski, Związek Walki Zbrojnej, Armię Krajową, a także inne organizacje konspiracyjne, które zostały włączone w strukturę AK. Opiszę działania wymierzone zarówno w niemieckiego, jak i sowieckiego okupanta.

Opis każdej akcji w „AK 75” jest zakończony notą „Współczesne ślady”, w której wskazuje Pan obiekty upamiętniające te wydarzenia. Co Pana zainspirowało do stworzenia takiego przewodnika?

Często mijamy różnego rodzaju pomniki, tablice pamiątkowe, groby żołnierzy podziemia. Czasami zatrzymujemy się, aby przeczytać inskrypcje, które się na nich znajdują. Częściej jednak mijamy je w pośpiechu. Chciałem zwrócić uwagę na to, że te pomniki nie są jedynie zimnymi bryłami wtopionymi w krajobraz, ale świadectwami naszej tożsamości narodowej, o czym nie możemy zapominać. Dlatego warto poświęcić chwilę, aby pomyśleć o bohaterskich żołnierzach podziemia, zapalić znicz na ich grobie, a może po prostu wziąć do ręki „AK 75” i poczytać o ich bohaterstwie.

„Współczesne ślady” uważam za kapitalny pomysł, bo Pana kompendium jest jednocześnie przewodnikiem po miejscach, które świadczą o bohaterstwie konspiracyjnej armii. Często też na tych pomnikach, nagrobkach czy tablicach można znaleźć nazwiska ludzi zamordowanych przez Niemców w odwecie za akcje AK. U niektórych, zwłaszcza młodych czytelników, może rodzić to pytanie: czy warto było? Co by im Pan odpowiedział?

Akcje podziemne dość często wiązały się z odwetem okupanta na cywilach. Pamiętajmy jednak, że podczas II wojny światowej Polska utraciła blisko 6 mln obywateli. Większość ofiar nie miała związku z podziemiem, a ich śmierć nie była następstwem działalności grup konspiracyjnych, lecz stanowiła wynik planowej polityki terrorystycznej obu okupantów. Polacy mieli zostać sprowadzeni

do roli podludzi, a niewykluczone, że czekałby nas los ludności żydowskiej. Czy było warto? Moim zdaniem powinniśmy być dumni z Polskiego Państwa Podziemnego, bohaterskich dowódców i żołnierzy AK, którzy walczyli i umierali za Polskę. Patrząc na całokształt, sądzę, że było warto. Niektóre akcje uważam jednak za niepotrzebne, co nie oznacza, że ich wykonawcom nie należą się hołd i pamięć.

WIZYTÓWKA

WOJCIECH KÖNIGSBERG

Jest historykiem zajmującym się dziejami Armii Krajowej, ze szczególnym uwzględnieniem akcji zbrojnych, cichociemnych oraz kontrwywiadu, autorem kilku książek, w tym pracy „Droga Ponurego. Rys biograficzny majora Jana Piwnika”, oraz współautorem „Wielkiej księgi Armii Krajowej”. Jest laureatem nagrody im. prof. Tomasza Strzembosza dla autora najlepszej debiutanckiej lub drugiej w karierze książki dotyczącej najnowszej historii Polski (2012).

POD NASZYM PATRONATEM

Tu leży bohater

Rekonstrukcja ostatniej drogi legendarnego dowódcy.

Zaplanowana obława, atak, pochwylenie i w końcu zabicie dowódcy Oddziału Wydzielonego Wojska Polskiego mjr. Henryka Dobrzańskiego „Hubala” – to są niepodważalne fakty znane z życia charyzmatycznego dowódcy. „Przywieźli go tu, tu go wyłożyli. Niemcy lubili się fotografować nad swoimi ofiarami i tutaj się fotografowali. Jeszcze zapraszali ludzi, żeby jego oglądali, czy go znają... No, a ja pobiegłem z ciekawości... A to był właśnie Hubal”. Do tego miejsca w historii wszystko jest nam wiadome. Ale co stało się z ciałem majora? Odpowiedź wydaje się nie do

odgadnięcia, ale nie dla tych, którzy upór i determinacja pozwalają wypełnić treścią białe karty historii. Tylko w taki sposób możemy poznać pełną opowieść o Hubalu. Strona po stronie jest ona odtwarzana dzięki kwerendom archiwalnym, niezliczonym rozmowom ze świadkami, analizom i badaniom mogił, potencjalnych miejsc spoczynku majora. Dzięki takiej misternej pracy dowiadujemy się, że „pewnego razu nauczyciel historii pochwalił się leśniczemu, że wie, gdzie jest pochowany Hubal [...] major jest pochowany pod parkanem cmentarza w Inowłodzu”. Potem czytamy, że

„szczątki Hubala zostały tam przeniesione w tajemnicy” i że „w miejscu jego pochówku została pochowana kobieta”. Zanim ciało Hubala tam się znalazło, prawdopodobnie jednak dokonano ekshumacji, lecz to tylko domniemanie, ponieważ brak jest jakichkolwiek śladów.

Dariusz Szymanowski na prawie stu stronach opisał wszystko, co dotychczas udało się ustalić na ten temat. Nie ograniczył się jednak do powszechnie znanych informacji. Prześledził wszystkie wskazane miejsca pochówku, prowadził badania terenowe, skrupulatnie analizował fakty, stawiał hipotezy. W ten sposób powstała niezwykła książka, pokazująca ostatnią drogę polskiego oficera.

MARTA SZULC

Dariusz Szymanowski, „Gdzie spoczywa Hubal?”, Stowarzyszenie „Wizna 1939”, 2017



KSIĄŻKA

JAK NA WOJNIE...

Próba zdefiniowania konfliktów w przestrzeni wirtualnej.

Niełatwo mi przypisać książkę „Cyberwojna. Wojna bez amunicji?” Piotra Łuczuka do konkretnej kategorii wydawnictw. Trudno mi też jednoznacznie ją ocenić. Z jednej strony jest ciekawa, z drugiej można odnieść wrażenie, że miejscami autor pada ofiarą chaosu definicyjnego, który próbował uporządkować. Bo proste oddzielenie grubą krechą zna-

czenia pojęć wojny informacyjnej, cyberwojny, cyberterrorizmu, netwojny itp., co Łuczek robi już na początku, nie wystarczy. Jak udowadnia autor, dopiero atak na systemy komputerowe Estonii w 2007 roku pozwolił na dokładne określenie, czym jest cyberwojna. Wyjaśnia też, czym ona nie jest, czyli na przykład, czym różni się od cyberkonfliktu. W dalszą część książki wkrada się jednak jakiś chaos, który powoduje, że podstawowy temat badań autora, czyli cyberwojna, się rozmywa, podobnie jak wcześniejsze definicje. Nie znaczy to jednak,

że tej książki nie warto czytać. Wręcz przeciwnie. Łuczek snuje wciągającą opowieść o tym, w jaki sposób świat wirtualny, który większość z nas uważa wciąż za w miarę

bezpieczny, zaczyna dominować nad realną rzeczywistością i staje się zagrożeniem. Przypomina aferę związaną z WikiLeaks, cyberataki na

systemy komputerowe m.in. Polski, Estonii i kilka innych znanych lub mniej znanych przykładów na to, kiedy wykorzystanie przestrzeni wirtualnej bezpośrednio zagraża bezpieczeństwu w czasie rzeczywistym. Całość napisana jest w dzien-

ROZWAŻANIA
O ETYCZNYM
ASPEKcie
CYBERWOJNY

Skrzydłaci Kosynierzy. Dywizjon 303 i tradycje kościuszkowskie w polskim lotnictwie wojskowym. Muzeum Sił Powietrznych w Dęblinie, ul. Lotników Polskich 1



WYSTAWA

SKRZYDLACI KOSYNIERZY

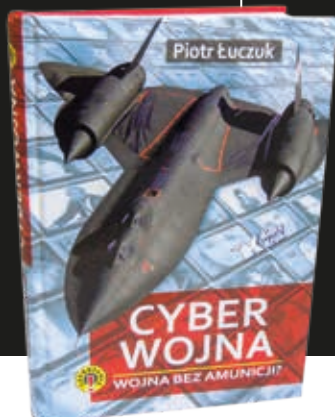
Tadeusz Kościuszko był bohaterem poprzedniego roku, więc na jego temat powiedziano niemal wszystko. Muzeum Sił Powietrznych znalazło jednak inną perspektywę, żeby przybliżyć postać tego męża stanu – przygotowało wystawę pokazującą tradycje lotników nawiązujące do dokonań generała. Mamy zatem i legendarną 7 Eskadrę Myśliwską, i Dywizjon 303. Szczególnym eksponatem jest replika domku pilota z czasu bitwy o Anglię, do którego aranżacji użyto scenografii z „Dywizjonu 303”. ■

nikarskim stylu, dlatego, mimo bardzo poważnej tematyki, lektura sprawia przyjemność.

Ostatni fragment książki Łuczuk poświęca etycznemu aspektowi cyberwojny. Jak przekonuje, ocena nie jest w tym wypadku jednoznaczna. W odróżnieniu od wojny konwencjonalnej „cyberwojna nie ma za cel utraty życia ludzkiego”. Czy rzeczywiście? W niemal żadnej wojnie utrata życia ludzkiego nie jest celem, lecz skutkiem. Oczywiście w wypadku cyberwojny straty nie będą tak dotkliwe. Czy jednak taki sposób prowadzenia działań można uznać za etyczny? ■

JOANNA ROCHOWICZ

Piotr Łuczuk,
„Cyberwojna.
Wojna bez
amunicji?”, Biały
Kruk, 2017.



KSIĄŻKA

Dobre życie

Te wspomnienia są jak gawęda opowiadana przy harcerskim ognisku.

Andrzej Glass jest postacią znaną w środowisku miłośników lotnictwa i wśród harcerskiej braci. Konstruktor, pilot szybowcowy, wielki pasjonat latania, harcmistrz z duszą, ale też mąż, syn, brat, ojciec i wychowawca młodzieży – a przede wszystkim, co można wyczytać w jego wspomnieniach, człowiek z wielkim poczuciem humoru i o niezwyklej charyzmie. Jego ojciec Henryk był również harcmistrzem, w czasie wojny oficerem Armii Krajowej, a później współpracownikiem organizacji NIE. Poszukiwany przez NKWD i UB latem 1945 roku wyjechał z Polski. Matka Andrzeja Glassa, Feliksa Grabska zwana Elą, była córką polityka – Stanisława Grabskiego.

Książka „Całe życie pod wiatr”, w której Andrzej Glass opisuje swoje dzieje, to nie tylko historia jednego człowieka, lecz także ciekawy zbiór obrazów z przedwojennej i powojennej rzeczywistości naszego kraju. Zapiski codziennego życia, beztroskich zabaw, przeplatają się z tragicznymi wydarzeniami czasu wojny i PRL-u. Wspomnienia Glassa, nawet te dotyczące bardziej dramatycznych wydarzeń, tchną jednak nieodpartym optymizmem. Mimo ciężkich doświadczeń i dramatycznych zwrotów w życiu, nie stracił on pogody ducha i radości życia.

Tytuł wspomnień to credo, które towarzyszyło autorowi od czasu okupacji. Wówczas, jak napisał, nauczył się, że trzeba iść pod wiatr, czyli być sobą i realizować to, w co wierzymy i uważamy za słuszne, niezależnie od okoliczności. W postawie tej utwierdził go okres komunizmu. Wcześniej stał się samodzielny, już jako szesnastolatek, po tym jak matka z najmłodszą córką wyjechały do ojca. On i starsza siostra Krystyna zostali w kraju z dziadkami. Szybkie wejście w dorosłość nie podziało jednak na Glassa destruktywnie. Skończył studia, założył rodzinę i całą swą energię skierował ku dwóm pasjom: lotnictwu i harcerstwu. „Całe życie pod wiatr” to historia człowieka spełnionego, pogodzonego z losem. A przy okazji przyjemnie się te wspomnienia czyta. ■

JOANNA ROCHOWICZ



Andrzej Glass, „Całe życie pod wiatr”,
Niezależne Wydawnictwo Harcerskie, 2017.



Stalinowskie wysiedlenia znad Bugu i z Bieszczad. Zdjęcie z Polskiej Kroniki Filmowej z 1951 roku.

KSIAŻKA

Przywrócić pamięć

Każde poprawianie granicy to dramat tysięcy ludzi, którzy muszą opuścić swoje domy.

My im dajemy węgiel, a oni biorą od nas cukier – taką odpowiedź usłyszał amerykański dziennikarz, kiedy zapytał Polaka, jakie mamy relacje ze Związkiem Radzieckim. Ten znany dowcip z czasów PRL-u jest znakomitą ilustracją jednego z wielu „intrańskich” dla nas układów z Wielkim Bratem, o których niewiele osób mówiło w czasach stalinowskich. „Poprawienie granicy”, jak eufemistycznie określono zmiany dotyczące terytorium naszego państwa, które nastąpiły w 1951 roku rzekomo z naszej inicjatywy, sprawiło, że oddaliśmy niezwykle urodzajne pola z bogatymi złożami węgla, tzw. kolano Bugu, za jałowe tereny Bieszczadów w okolicach Ustrzyk Dolnych. Zmuszono wówczas do przesiedlenia kilkadziesiąt tysięcy ludzi, zarówno Polaków, jak i Ukraińców.

Jak wiadomo, historia pogranicza, bez względu na to, którego rejonu świata dotyczy – Kresów, Kraju Sudetów, odległych terenów w północnych Indiach czy Ameryki Północnej – jest wyjątkowo burzliwa. Ludzie żyją tam na styku różnych narodów, kultur, religii i, co gorsza, często padają ofiarą politycznych manipulacji możliwych tego świata. Cóż bowiem znaczy przesiedlenie kilku tysięcy ludzi, pozabawienie ich domów, dobytku, rozdzielanie

z rodziną, odcięcie od korzeni, w obliczu wielkiej polityki? To tylko statystyka.

Krzysztof Potoczała, dziennikarz piszący reportaże dotyczące czasów PRL-u, a co więcej – mieszkaniec Ustrzyk Dolnych, tę statystykę rozpisal na poszczególne cyfry, za którymi stoją konkretni ludzie. W książce „To nie jest miejsce do życia” pokazał, jak Zabuzan przesiedlano w nieprzyjazne im, surowe i obce góry, a ukraińskich górąli wysyłano na odległe niziny. Ludzie z tak różnych i odległych światów przeżywali taki sam dramat. Tym większy, że wówczas nie można było o nim mówić.

Ta historia to kolejny kamyczek do ogródka wyjątkowo trudnych relacji polsko-ukraińskich. Dlatego Krzysztof Potoczała nie tylko pomaga nam zrozumieć współczesne Bieszczady przez pryzmat wydarzeń z lat pięćdziesiątych ubiegłego stulecia, lecz także pokazuje świat, którego już dziś nie ma. Trochę niczym Jolanta Dylewska w filmie dokumentalnym „Polin. Okruchy pamięci” odtworzył miejsca, gdzie od wieków współistniały ze sobą społeczności polska, ukraińska i żydowska. Te barwne wsie i miasteczka zmiotła najpierw fala rzezi wołyńskich, potem II wojna światowa i Holocaust, stalinowskie represje oraz akcja „Wisła”.

ANETA WIŚNIEWSKA



Krzysztof Potoczała, „To nie jest miejsce do życia”, Prószyński i S-ka, 2017.

polskaZbrojna

WWW.POLSKA-ZBROJNA.PL

MAGAZYN PUBLICYSTYCZNY
O POLSKIEJ ARMII



**OFERUJEMY 12 WYDAŃ
MIESIĘCZNIKA „POLSKA ZBROJNA”
W PROMOCYJNEJ CENIE 65 ZŁ.**

Warunkiem wysyłki egzemplarzy
jest złożenie zamówienia na adres

prenumerata@zbrojni.pl

oraz wpłata 65 zł

do 30 stycznia 2018 roku na nasze konto:

23 1130 1017 0020 1217 3820 0002

Wojskowy Instytut Wydawniczy
Al. Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

KSIĄŻKA

ISTOTNA CZĘŚĆ TRIADY

Prezentowana pozycja wymaga od czytelnika znajomości doktryn nuklearnych opracowanych przez NATO w czasie zimnej wojny.

Większość z nas zdaje sobie sprawę ze skutków użycia broni jądrowej. Jej czynniki rażenia, szczególnie promieniotwórcze skażenie terenu, spowodowałyby, że byłby on niedostępny dla każdej z walczących stron. Jednak mimo wiedzy o niszczycielskiej sile tej broni państwa aspirujące do światowych potęg utrzymują w swoich arsenach pokaźną liczbę głowic jądrowych, dysponują też środkami do ich przenoszenia. Właśnie o ewolucji strategicznych wojsk raketowych naszego wschodniego sąsiada, które są nierozłączną częścią triady jądrowej, czyli jej komponentem lądowym, traktuje niniejsze opracowanie. Autor sięga do początków tworzenia tego rodzaju wojsk z ich pierwszymi raketami, które były konstrukcjami niemieckimi z lat II wojny światowej. Opisując mroczne czasy dwubiegunowego podziału

świata, przypomina, jak Rosjanie starali się zmniejszyć przewagę Stanów Zjednoczonych pod względem liczby głowic jądrowych i środków ich przenoszenia. Omawia poszczególne konstrukcje rakiet balistycznych średniego zasięgu oraz międzykontynentalnych, które wchodziły do wyposażenia tego rodzaju wojsk, a także ich struktury organizacyjne. Prezentując kolejne etapy ich



**SIŁA
BRONI
NUKLEARNEJ**
w rywalizacji mocarstw
o prymat na między-
narodowej arenie

rozwoju, nawiązuje do inicjatyw międzynarodowych w postaci porozumień SALT I i SALT II, zmierzających do ograniczania liczby systemów przenoszenia broni jądrowej. Jednak porozumienia te spowodowały skok jakościowy w konstrukcjach systemów przenoszenia oraz wielogłowicowych rakiet z samodzielnym naprowadzaniem ich na cel. Rozpad Związku Radzieckiego przyczynił się do tego, że przerwano wiele projektów badawczo-rozwojowych, które były m.in. odpowiedzią na realizację amerykańskiego programu SDI. Autor opisuje proces wycofywania komponentów strategicznych wojsk raketowych z nowo powstałych państw oraz wpływ przerwania więzi kooperacyjnych sektora zbrojeniowego na kondycję sił zbrojnych Federacji Rosyjskiej. Nawiązuje do negocjacji prowadzonych z nowo powstałymi państwami w sprawie ratyfikowania traktatu START I. Idea tworze-

Marek Depczyński, „Atomowa tarcza Rosji. Strategiczne wojska raketowe”, Bellona, 2017.

KSIĄŻKA

Wszystkie twarze szpiega

Kiedy Guy Burgess zaczynał najlepsze brytyjskie szkoły, był jak czysta karta. Mógł robić w życiu wszystko. Na przykład pójść w ślady ojca i służyć na morzu jako oficer brytyjskiej marynarki wojennej. Mógł też wykorzystać wiedzę wyniesioną z Eton, a potem Cambridge i pogłębiać swoje zainteresowania

historyczne, robiąc karierę naukowca. Szybko stawał się pupilem nauczycieli, a w kolegach wzbudzał podziw i zazdrość, bo rychło dostrzegali jego ponadprzeciętną inteligencję. Jako młody chłopak był dumą rodziny, choć też outsiderem, mimo wszystko szukającym akceptacji otoczenia. **Guy Burgess mógł robić w życiu wszystko. Został szpiegiem na usługach Stalina.** Porzucił ideały, wśród których dorastał, porzucił swoją klasę społeczną i dał się uwieść ideologii komuni-

stycznej. Zdecydował się zdradzać swój kraj. Jako głównodowodzący słynnej „piątki z Cambridge” współtworzył sieć agenturalną GRU w Anglii. W otoczeniu budził skrajne emocje. Zmieniał partnerów seksualnych niczym tweedowe garnitury, które szyli mu najlepsi londyńscy krawcy, pił do upadłego. Ale też obracał się w najwyższych kręgach brytyjskiego wywiadu i polityki, był więc kopalnią wiedzy dla swych mocodawców.

Andrew Lownie w książce „Anglik Stalina” pisze: „Samo słowo

nia czysto rosyjskich strategicznych sił jądrowych oraz proces odbudowywania pozycji Rosji na arenie międzynarodowej zaowocowały opracowywaniem kolejnych zestawów rakietowych, których przedstawicielem był Topol M. Kryzys spowodował nasycenie nowymi zestawami jednostek SWR. Poprawa sytuacji ekonomicznej pozwoliła na wdrożenie jakościowo nowych systemów przenoszenia, w tym głowic z ponaddziesięciokrotnymi ładunkami manewrującymi. Rozpoczęto również prace nad głowicami zdolnymi do pokonywania obrony przeciwrakietowej przeciwnika, co może być poczytywane za odpowiedź na amerykański system globalnej obrony antyrakietowej.

Opracowanie wymaga od czytelnika znajomości doktryn nuklearnych przygotowanych przez NATO w czasie zimnej wojny, a także koncepcji użycia broni jądrowej po rozwiązaniu Układu Warszawskiego. Część tych informacji jest w książce, co pozwala lepiej zrozumieć poczynania ZSRR oraz Rosji w dążeniu do utrzymania statusu mocarstwa. ■

JAN BRZOZOWSKI

»tajne« brzmiało dla Burgessa niczym trąbka bitewna, było wyzwaniem, które zawsze podejmował, i tak gorliwie węszył za sekretami, jak tresowany pies za truflami».

Z publikacji na jego temat wiadomo, że w latach 1941–1945 Burgess przekazał swoim zwierzchnikom w ZSRR 4604 dokumenty. Zdekonspirowany, uciekł do Moskwy w 1951 roku, narażając na pośmiewisko brytyjski wywiad. ■

KATARZYNA PIETRASZEK

Andrew Lownie, „Anglik Stalina”, Bellona, 2017



Adam Bujak, „Tragedia Aleppo”, Biały Kruk, 2017.

KSIAZKA

Aleppo Anno Domini 2017

Ponad 200 zdjęć Aleppo i innych dotkniętych wojną miejsc w Syrii.



To miasto zostało zmiecione z powierzchni ziemi, niczym Warszawa w 1944 roku. Mieszkańcy Aleppo, podobnie jak nasi rodacy przed laty, starają się je przywrócić do życia.

To miasto stało się symbolem brutalnej i bezsensownej wojny w Syrii. W Aleppo zostało zburzonych ponad 80% budynków. Na znakomitych zdjęciach znanego fotografa Adama Bujaka obok stosów gruzów z fragmentami mebli i innymi śladami po dawnych właścicielach widzimy nieliczne zachowane budowle z kolorowymi napisami propagandowymi chwalcymi reżim Al-Asada. Co jednak zdecydowanie ważniejsze, widać też, jak w tym miejscu życie bierze górę nad śmiercią i zniszczeniem. „Tragedia Aleppo” to pewnego rodzaju album z podróży po kraju zdewastowanym

przez wojnę, w którym jednak nie umarła nadzieja na lepsze jutro. Niezwykle ważny jest ten osobisty aspekt wydania, chociażby ze względu na chrześcijańską perspektywę, z jakiej został pokazany tamten świat. Dlaczego właśnie taka? Po pierwsze, ze względu na samego autora, Adama Bujaka, który przez lata towarzyszył papieżowi Janowi Pawłowi II w pielgrzymkach, m.in. do Syrii w 2001 roku. Po drugie, książka powstała we współpracy z sekcją polską Papieskiego Stowarzyszenia Pomoc Kościołowi w Potrzebie, które niesie pomoc dotkniętym wojną mieszkańcom Syrii. ■

ANETA WIŚNIEWSKA



ANDRZEJ
FĄFARA

Warszawa wolna!



Gdy 17 stycznia 1945 roku 1 Armia Wojska Polskiego, będąca częścią 1 Frontu Białoruskiego, wkraczała do Warszawy, nikt nie wiedział, jaki kształt przybierze przyszła Polska. Do Berlina był jeszcze kawał drogi. Z każdym kilometrem zbliżającym wojska radzieckie do stolicy Niemiec rosła potęga decyzyjna Józefa Stalina. Mimo to mnóstwo osób naiwnie wierzyło, że po rozgromieniu III Rzeszy Armia Czerwona wróci grzecznie do koszar i generalissimus w swojej wielkiej wspaniałości pozwoli Polakom dokonywać jakichkolwiek wyborów.

Na razie jednak 1 Armia WP wyzwoliła Warszawę. Tak się wtedy mówiło, a potem powtarzało przez 44 lata. Jak się niebawem okazało, było to wyzwolenie poprzez zniewolenie. Pomijając już to, że wyparcie Niemców z Warszawy przyszło Polakom i Sowietom wyjątkowo łatwo. Hitlerowcy nie zamierzali bronić ruin, w które zamienili miasto podczas trwającego kilka miesięcy wcześniej powstania, a poza tym wycofali główne siły, gdyż bali się okrążenia. Pozostawili więc w Warszawie tylko oddziały osłonowe, które w zasadzie pozorowały walkę. Godne uwagi starcia miały miejsce w okolicy Łasku Bielańskiego, Dworca Głównego oraz na skrzyżowaniu Nowego Światu z Alejami Jerozolimskimi. Trwało to zaledwie kilka godzin.

Dwa dni później odbyła się defilada zwycięstwa, która wyglądała równie żałośnie jak samo miasto. Zachowały się zdjęcia, na których widać ośnieżone kikuty domów i maszerujące oddziały w długich szynelach. Obserwowała paradę garstka tych, których Niemcom nie udało się wygonić z miasta po powstaniu. Ciekawe są relacje tych ludzi, a zwłaszcza ich motywacje, które sprawiły, że wrócili do zrównanej z ziemią Warszawy.

Czytałem kilka lat temu opowieść o tamtych dniach autorstwa Marii Ginter (pt. „Galopem pod wiatr”), „kobiety renesansu”, pisarki, malarki, rzeźbiarki, a także tenisistki – stąd nasza znajomość. Pani Maria pisała: „Na wieść, że Warszawa jest wolna, wysiedleńcy zapragnęli powrotu. Niezrażeni faktem, że miasto nie istnieje, że domy są spalone i zburzone, pośpieszyli, by przekonać się o tym na własne oczy. Niekończące się tłumy ciągnęły w stronę stolicy wszystkimi drogami, wszelkimi możliwymi środkami lokomocji. Nikt nie uwierzył, że można zrównać z ziemią milionowe miasto. Każdy się łudził, że zamieszka gdzieś kątem, że znajdzie chociaż ślady swojego dawnego życia. Wielu, stanąwszy przed domem, z którego pozostała tylko kupa gruzów, odchodziło z rozpaczą. [...] A jednak warszawiacy twardo zdecydowali, że stolica musi pozostać na miejscu. Z niesamowitą energią i przedsiębiorczością wnosili życie w umarłe miasto. To ci sami ludzie, którzy jeszcze niedawno walczyli o jego wolność i którzy teraz zapragnęli je wskrzesić wbrew wszelkiej logice. Niemcy postanowili, że Warszawy nie będzie, warszawiacy temu zaprzeczali”.

Tych powracających optymistów z dnia na dzień przybywało. W maju 1945 roku liczba mieszkańców Warszawy wynosiła już 378 tysięcy. ■



PRZEGLĄD SIŁ ZBROJNYCH

ŹRÓDŁO WIEDZY O UZBROJENIU,
TAKTYCE POLA WALKI I SZKOLENIACH



ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 840 400

WOJSKO
POLSKIE

Wasza siła – Nasze bezpieczeństwo

Polecam!

Krzysztof Wilewski, redaktor wydawniczy

TERYTORIAŁSIE!

ACS
NOWY WYMIAR
BEZPIECZEŃSTWA

Szukasz

stabilnej i perspektywicznej
pracy w sektorze bezpieczeństwa?



DOŁĄCZ DO MŁODEGO I DYNAMICZNEGO ZESPOŁU
zajmującego się KONTROLĄ BEZPIECZEŃSTWA
na Lotnisku Chopina oraz w innych prestiżowych
miejscach w Warszawie.

ZDOBĄDŹ NOWE KWALIFIKACJE I UPRAWNIENIA,
pozwalające na pracę w sektorze bezpieczeństwa:

- certyfikat Operatora Kontroli Bezpieczeństwa,
- wpis na listę kwalifikowanych pracowników
ochrony,
- pozwolenie na posiadanie broni.

OFERUJEMY:

- atrakcyjne warunki wynagrodzenia
i świadczenia pozapłacowe,
- stałą i perspektywiczną pracę,
- specjalistyczne szkolenia na koszt pracodawcy.

Zadzwoń: **605 140 850**

Wyślij cv: **rekrutacja@a-cs.pl**

Sprawdź ogłoszenia: **a-cs.pl**

PS. GWARANTUJEMY UMOWĘ O PRACĘ!